



Biblioteka Politechniki Krakowskiej



10000231562

4955. H. Nowak

18/124



BIBLIOTEKA  
LAUREATÓW  
NOBLA

MAURYCY  
MAETERLINCK



INTELIGENCJA  
KWIATÓW





*BIBLIOTEKA  
LAUREATÓW NOBLA*

*POD REDAKCJĄ  
DRA STANISŁAWA LAMA*

*TOM 13.*

*MAURYCY MAETERLINCK  
INTELIGENCJA KWIATÓW*



*LWÓW—POZNAŃ 1922  
NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO*



MAURYCY MAETERLINCK

INTELIGENCJA KWIATÓW

PRZEŁOŻYŁ Z ORYGINAŁU  
F. MIRANDOLA



LWÓW—POZNAŃ 1922  
NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO

I 29.539



WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

---

..... ODBITO NA PAPIERZE BEZDRZEWNYM .....  
POZNAŃSKA DRUKARNIA I ZAKŁAD NAKŁADOWY T. A., POZNAŃ

Akc. Nr. K-1847/58

*INTELIGENCJĄ KWIATÓW.*



## 1.

Pragnę zwrócić tu uwagę na kilka, znanych zresztą dobrze botanikom, szczegółów. Nie dokonywam żadnych odkryć, a przyczynek mój skromny ogranicza się do elementarnych jeno faktów. Nie zamierzam, oczywiście, czynić przeglądu wszystkich dokumentów inteligencji, jaką spotykamy u roślin, albowiem są one niezliczone. Napotykamy je ciągle, zwłaszcza pośród kwiatów, w których skupia się pęd życia wegetatywnego ku światłu i świadomości.

Zdarzają się kwiaty i rośliny niezręczne i niefortunne i te jednak nie są pozbawione w zupełności rozsądku i sprytu, wszystkie zaś zmierzają do spełnienia swego zadania, wszystkie pałają bohaterską żądzą ogarnięcia całej powierzchni globu, mnożąc do nieskończoności te formy bytu, których są przedstawicielami. Z racji praw natury wiążących je nierozzerwalnie z ziemią, z powodu swej nieruchomości mają rośliny do zwalczania nierównie więcej trudności w roz-

mnażaniu się niż zwierzęta. To też zazwyczaj uciekają się do sztuczek, podstępów i forteli, a nawet do wynalazków mechanicznych, które uprzedzają niejednokrotnie wynalazczość ludzką i każą przypuszczać znajomość balistyki, awjacji oraz trafną obserwację zwyczajów i budowy organicznej owadów.

## II.

Zbyteczną jest tutaj rzeczą kreślić ponownie obraz wielkiego systemu zapładniania roślin, mówić o zachowaniu się pręcików i słupka, uwodzicielskiej roli zapachu i optycznym działaniu barw harmonijnych i jaskrawych, oraz produkcji nektaru, zgoła niepotrzebnego roślinie, a służącego jeno dla zwabiania obcych wyswobodzicieli i posłanników miłości, a więc pszczół, trzmieli, much, motyli i ciem, przynoszących kwiatowi pocałunek dalekiego, nieznanego, niewidzialnego i nieruchomego oblubieńca.

Korona rośliny to kwiat, z pozoru przepojony pokojem, rezygnacją, gdzie wszystko godzi się z koniecznością, trwa w ciszy, posłuszeństwie i skupieniu. Tymczasem jest zgoła inaczej, nigdzie bowiem może niema tyle buntu i upornej walki z losem, jak właśnie pośród roślin. Przedewszystkiem główny organ, narząd odżywczy

rośliny, a więc korzeń jej łączy ją nierozdzielnie z podłożem gleby. Jeśli trudno nam, ludziom powiedzieć które z najrozmaitszych praw natury nęka nas najdotkliwiej, to dla rośliny, nie ulega żadnej kwestji, najokrutniejszą jest konieczność nieruchomości bezwzględnej od urodzin do śmierci. Roślina wie lepiej od nas, którzy rozpraszamy wysiłki swoje, przeciw komu buntować się przede wszystkim, to też niezrównane jest widowisko owej walki, w której wyzwala się cała energia idei zasadniczej korzeni, celem zorganizowania całej budowy i rozpostarcia w pełnym świetle listowia i kwiatów. Wydobycie się z fatalizmu, jakiemu podlega dół rośliny przez rozwój górnych jej części, oto cel jej główny, bowiem idzie tu o obejście ciężkiego prawa mroków, wyzwolenie się zeń, przekroczenie ciasnego obrębu, stworzenie sobie skrzydeł lub ziszczenie na pośredniej drodze sposobu wydostania się jak najdalej w przestrzeń z więzienia natury i zbliżenia się do innego, odmiennego zgoła królestwa ruchu i życia.

Zadziwia nas wielce, iż czyn taki udaje się roślinie, albowiem jest to dzieło równie trudne, jak byłoby dla nas wydobycie się z szranków czasu, które nam los narzuca, lub sięgnięcia w sferę wolną od najuciążliwszych praw materji. Przekonamy się, że roślina daje człowiekowi

zdumiewający przykład nieposłuszeństwa, odwagi, wytrwałego uporu i pomysłowości. Gdybyśmy użyli część bodaj energii, na jaką zdobywa się kwiat w ogrodzie dla zwalczania różnych utrapień życia, które nas gnębią, a więc cierpień starości, czy śmierci, los nasz zmieniłby się niezawodnie.

### III.

Potrzeba ruchu i lanknienie przestrzeni przejawia się jednocześnie w kwiatach i owocach różnych roślin. Odnośnie do owocu, formę, w jakiej przejawia się owo pożądanie, dostrzegamy stosunkowo dosyć łatwo, nie natrafiając na komplikacje problemu. Przeciwnie jak się rzecz ma w królestwie zwierzęcem, roślina macierzysta jest skutkiem nieubłaganego prawa bezruchu, pierwszym i najgorszym wrogiem nasienia, a przeto potomności własnej. Znajdujemy się w dziwnem państwie żywych istot, gdzie niezdolni do ruchu rodzice uświadamiają sobie w pełni, iż są zmuszeni ogłodzić i wytepić dzieci swoje. Nasienie padające u stóp drzewa, czy jakiegokolwiek rośliny skazane jest na śmierć, lub co najmniej, na nędzne wegetowanie w niedostatku. Stąd bierze swój początek niezmierny wysiłek, skierowany ku zrzuceniu jarzma i zdobyciu ekspansji przestrzennej,



stąd też biorą się wszystkie, przedziwne systemy rozsiewania, rozrzucania nasion i przenoszenia ich powietrzem, napotykanie ustawicznie w lasach i po łąkach. To właśnie jest punktem wyjścia śmigi powietrznej drzew z gatunku klonowatych, skrzydełka lipy, spadochronów wszelkich ostów, kaczynca i salsifji, przedziwnych sprężyn eutrobjum, bomb tryskających momordyki, haczyków włoskowych wełnianki łąkowej, oraz mnóstwa innych przyrządów mechanicznych, budzących podziw. Niema, powiedzieć można, nasienia, któreby nie wytworzyło specjalnych, właściwych sobie, narzędzi w celu wydostania się jak najdalej poza cień rośliny macierzystej.

Ten, kto nie zapoznał się potrochu bodaj z botaniką, nie uwierzy, ile twórczości wprost genialnej mieści się w zieleni, którą lubują się oczy nasze. Spójrzmy bodaj na naczyńko nasienne kurzyślepu, pięć plewek balsaminy, pięć strzelających kapsulek geranium itp. Zwrócić należy uwagę na zwyczajną, znaną nam dobrze, główkę maku. Owa poczciwa, wielka głowa mieści rozsądek i ideje godne najwyższych pochwał. Wiemy, iż zawiera tysiące krągłych, małych czarnych ziarenek. Idzie o rozrzucenie posiewu tego w sposób tak zręczny, by ziarnka padły jak najdalej. Gdyby głowa rozłupała się od dołu,

albo spadła na ziemię, cały ten cenny zapas utworzyłby jedną kupę u stóp lodygi i zmarniał niewątpliwie. Ziarnka mogą wydostawać się atoli tylko otworami, umieszczonemi u góry, pod daszkiem nakrywkowym. Makówka po dojrzewaniu schyla się na bok, wiotczeje i za lada powiewem wiatru wykonywa wahadłowe ruchy, przypominające do złudzenia rzut ręki siewcy. W ten sposób ziarna rozsypują się szeroko na wszystkie strony.

Przelotnie wspomnieć tu trzeba o ziarnach, liczących się z możliwością roznoszenia przez ptaki i otoczonych, jak to czyni jemiola, jałowiec i jarzębina, osłonką zawierającą słodki sok. Widzimy tu tak wielki zakres rozumowania, takie zrozumienie skutków ostatecznych, że nie będziemy się zatrzymywali dłużej nad tym tematem z obawy popadnięcia w naiwne błędy de Saint-Pierra. Dodamy jeno, że trudno sprawę inaczej wyjaśnić, bowiem osłonka, mieszcząca cukier, nie jest zgoła potrzebną ziarnu, podobnie jak nektar, przywabiający pszczoły, zgoła niczem jest dla samego kwiatu. Ptak zjada owoc, ponieważ jest słodki i połyka jednocześnie ziarno, nie podlegające strawieniu. Potem leci i wydala z żołądka częściowo nasienie w stanie, w jakim je połknął, a ziarnko uwolnione z osłonki pada zdala od nie-

bezpiecznych dlań miejsc rodzinnych, w stanie gotowym do kiełkowania.

#### IV.

Powróćmy jednak do urządzeń prostszych, zasadniczych. Zerwijmy jakiegokolwiek dźbło rosnące przy drodze, w pierwszej lepszej kępie trawy, a przekonamy się, że mamy przed sobą mikroskopijny intelekt, zajęty pracą wytrwałą, świadomą celu, nieznużoną i zdumiewającą w rezultatach. Mamy w ręku dwie marne roślinki pełzające, napotykaną tysiące razy i to wszędzie w najjałowszych zakątkach, gdzie leży bodaj szczypta gleby. Są to dwie odmiany lucerny (*medicago*) dzikiej, dwa zielska w najskromniejszym tego słowa znaczeniu. Jedna posiada kwiatostan różowawy, druga coś w rodzaju żółtej czapeczki wielkości grochu. Patrząc, jak się trwożnie prześlizgują po zagonie, kryjąc pomiędzy pysznymi, wyniosłymi odmianami traw, nie przypuścilibyśmy nigdy, że one to, wcześniej niż słynny syrakuzkański geometra i fizyk odkryły i wprowadziły śrubę Archimedesą nie tylko do podnoszenia cieczy, ale także do lotnictwa. Układają nasiona swe w lekkie spirale o trzech, czy czterech skrętach, subtelnie skonstruowane, wiedząc że to opóźni ich spadek na ziemię, a tem samem,

przy pomocy wiatru przedłuży znacznie ich podróż powietrzną. \* Jedna z nich, żółta, udoskonaliła jeszcze nawet ten mechanizm, dodając na zewnętrznej stronie śruby szereg ostrych haczyków w zamiarze przyczepienia całego aparatu do ubrania przechodniów, czy sierści zwierząt. Najwyraźniej chciała w ten sposób połączyć zalety zoofilji, to jest rozsiewania ziarn przez owce, kozy, króliki itp. z zaletami anemofilji, czyli rozsiewania przez wiatr.

Wzruszającym jest tutaj, że cały ten wielki wysiłek jest bezpożyteczny. Biedna, różowa zarówno jak i żółta lucerna omyliły się najzupełniej, a śruby nie przynoszą im żadnego pożytku. Aparat mógłby funkcjonować, spadając z pewnej, znacznej wysokości, naprzykład z drzewa, lub przynajmniej smukłej trawy. Skonstruowany nisko, dotyka ziemi, uczyniwszy zaledwo ćwierć obrotu. Mamy tu ciekawy przykład błędów, pomyłek, szukania omackiem, zawodów i rozczarowań przyrody. Zdarzają się one tak często i są tak oczywiste, że tezę o nieomyślności natury przypisać musimy tym, którzy jej nie badali wcale.

Dodać należy, że inne odmiany lucerny, nie mówiąc już o koniczynie, inne pastewne motylkowate rośliny, bardzo zbliżone do opisywanych powyż, nie przyjęły wcale aparatu lotniczego lu-

cerny i trzymają się dalej zwykłych strączków. U pewnej z nich, *medicago aurantiaca*, widać wyraźnie formę przejściową aparatu rozsiewczego od krętego strąka do śmigi aeroplanowej, u innej zaś, *medicago scutellata*, śmiga ta przybiera kształt maczugi czy granatu ręcznego. Mamy tedy przed oczyma zdumiewające widowisko całego gatunku, pracującego wynalazczo, widzimy, jak członkowie jednej rodziny wysilają się, by celowo i świadomie zapewnić swemu rodowi najkorzystniejsze warunki przyszłości. Prawdopodobnie lucerna żółta, zawiódłszy się w ciągu ustawicznych prób na śmidze aeroplanowej, dorzuciła do wynalazku swej siostry ząbki i haczyki włoskowate, rozważwszy z racją zupełną, że skoro owce pasą się chętnie jej listowiem, to winny podjąć również sprawę bytu potomstwa. Może też właśnie temu nowemu wysiłkowi zawdzięcza lucerna żółta swe, nierównie większe rozpowszechnienie po świecie, czem przewyższa znacznie silniej zbudowaną kuzynkę swą o różowawym kwiecie.

## V.

Mnóstwo śladów inteligencji żywej i świadomie działającej znajdujemy nie tylko w nasieniu, czy kwiecie rośliny, ale również w niej całej, w łodydze, liściu i korzeniu. Wystarczy schylić

się i spojrzeć na tę skrytą, skromną, a ustawiczną pracę. Wspomnijmy bohaterskie wysiłki gałęzi, która walczy o wydostanie się na światło, lub genialne i zacięte boje drzew, wystawionych na niebezpieczeństwo. Nie zapomnę nigdy przedziwnego przykładu heroizmu stuletniego drzewa laurowego, jakiego byłem świadkiem w dzikich, a zarazem przepięknych wilczych jarach Prowancji, rozkwieconych fiołkami i przepojonych zapachem. Konwulsyjnie, desperacko powykręcane konary lauru mówiły wyraźnie o mękach życia, spędzonego w trudnej, upornej walce ze śmiercią.

Ptak, czy wiatr, władcy losów zaniósł ziarno w szczelinę skały, spadającej prostopadle w przepaść, niby dekoracja kamienna, i drzewo tutaj się zrodziło, na wyżynie dwustumetrowej, zawieszona ponad dzikim potokiem górskim pośród rozpalonych i jałowych głazów. Od pierwszej zaraz chwili laur wysłał ślepe korzenie swoje na długą i znojną wędrówkę po wodę i glebę, jakieby gdzieś odkryć mogły. Ale troska owa była jeno dzie dzicznie przekazywanem przez pokolenia zadaniem gatunku, oswojonego z jałowizną południa. Młodą roślinkę czekał problem znacznie poważniejszy i zgoła niezwykły. Ziarno zakiełkowało w szczelinie pionowej skały, przeto wierzchołek miast

wznosić się w niebo, zwisał nad przepaścią. Należało tedy wbrew wzrastającej wadze konarów prostować ciągle pień, przyciskając go rozpacznie do boku skały i podtrzymywać ciężką koronę listowia nieustannem napięciem woli i skurczem tkanek strony wewnętrznej, podobnie jak płynący głowę zadziera w górę.

Wkoło tej zasadniczej, żywotnej kwestji zgrupowały się wszystkie wysiłki rośliny, w jej rozwikłaniu przejawiała się cała energia i świadoma jej inteligencja. Skręt pnia utworzył potężny, gruby, potwornie wybijały łokieć, a poszczególne jego zwoje były miarą pełnych niejako strachu myśli, wzbudzonych w roślinie przez burze i wichry. Korona stawała się z roku na rok coraz to cięższa, zajęta tem jeno by bujać coraz to świetniej w słońcu i ciepłe, tymczasem jednak ramię, dźwigające ją rozpacznie w przestrzeni, uległo straszliwemu rakowi, który wżerał się coraz to głębiej, zamieniając w próchno jedną wiązkę tkanek po drugiej. W tym momencie stała się rzecz dziwna, oto utajone gdzieś pod korą dwa silne korzenie boczne, pod wpływem niepojętego instynktu ukazały się nagle i, rosnąc szybko, przywiązały pień silnemi sploty do wyskoku skały w wysokości około dwu stóp ponad chorem miejscem łokcia drzewnego. Niewiadomo

czy czyn ten wywołany został rozpaczłą sytuacją, czy może w przewidywaniu tego, co się stanie, korzenie owe zdawien dawna czekały godziny ostatecznego niebezpieczeństwa, by pospieszyć z ratunkiem. A może był to jeno szczęśliwy przypadek? Oko ludzkie nie dojrzy zapewne nigdy zawiązku i rozwoju owych cichych dramatów, bowiem przebieg ich trwa za długo w porównaniu z krótkim życiem naszym.\*)

## VI.

Gdy mowa o roślinach, które dają najoczywistsze dowody inicjatywy, te, które możnaby nazwać uduchowionemi, lub wrażliwemi, zasługują na obszerniejszą wzmiankę. Poprzestanę na przypomnieniu, jak reaguje na wrażenie znana wszystkim sensytywa, *mimosa pudica*. Mniej wiemy o innych gatunkach, obdarzonych ruchem dowolnym, jak n. p. o *hedysarum gyrans*, esparciecie, czyli koniczynie francuskiej, poruszającej

---

\* Zanotować tutaj należy inny akt inteligencji korzenia, o którym wspomina Brandis, w swem dziele „Ueber Leben und Polarität.“ Korzeń ten napotkał na drodze swej podziemnej starą podeszwę trzewika. Celem przebycia przeszkody, z jaką po raz pierwszy zapewne miał do czynienia, korzeń rozdzielił się na tyle wiązek ile było w podeszwie dziur po kolkach szewskich, a przebywszy zaporę połączył się znowu w jedno ramię, którego budowa nie pozostawiła śladu poprzedniego podziału.



się w sposób zdumiewający. Ta mała strączkowa roślina, pochodząca z Bengalii, a u nas zaaklimatyzowana, wykonywa rodzaj wiekuistego, wielce skomplikowanego tańca ku czci słońca. Liście jej dzielą się na trzy, z których pierwszy jest długi, kończysty, zaś dwa boczne siedzą u nasady pierwszego. Każdy porusza się oddzielnie i w inny sposób, wszystkie zaś drgają bez przerwy rytmicznie, z regularnością zegarka. Są one tak wrażliwe na światło, iż zwalniają tan swój, lub go przyspieszają, stosownie do tego, czy chmury słońca niebo, lub też się rozchodzą. Można by je nazwać fotometrami roślinnymi, lub oteoskopami, skonstruowanymi przed wynalazkiem Crooka.

## VII.

Rośliny te, do których zaliczyłyby trzeba jeszcze rosiczkę i mucholówkę, oraz mnóstwo innych, są istotami nerwowymi, przekraczającymi już próg tajemniczy i zdaje się fikcyjny jeno, dzielący królestwo roślin od państwa zwierząt. Nie mamy jednak potrzeby sięgać aż tam, albowiem znajdujemy niemal tyleż samointeligencji i oczywistej swobody ruchu celowego na drugim krańcu świata, który ras zajmuje, na niżu, gdzie roślinę odróżnić można zaledwie od kupki śluzu, czy kamienia. Mam na myśli wielką rodzinę skryto-

plciowych; że jednak badać je można jeno pod mikroskopem, przeto pominię je, mimo iż funkcje sporangjów grzyba, paproci i skrzyphu są wprost zdumiewające w pomysłowości.

Cuda nie mniejsze dzieją się również u roślin wodnych, krzewiących się po rzekach i stawach. Ponieważ zapylanie ich kwiatu nie może się odbywać pod wodą, każda z tych roślin wynalazła odrębny system dla rozsiewania na sucho pyłku pręcików. Alga, czyli zwyczajna trawa morska, z której robią materace, zamyka swój kwiat starannie w istnym dzwonie nurkowym, nenufar zaś wysyła swój kwiat na powierzchnię, gdzie rozkwita, dowożąc mu soki niesłychanie długimi łodygami, które się przedłużają w miarę podnoszenia się stanu wody. Nenufar fałszywy (*villarsia nymphoides*), nie posiadając wydłużalnych łodyg, wyrzuca poprostu swekwiaty na wierzch, gdzie pękają niby bańki. Kasztanwodny (*trapa natans*) wyposaża je w pęcherzyki powietrzne. Kwiaty wydostają się na powierzchnię, otwierają się, a po zapłodnieniu pęcherzyki miast powietrza nabierają śluzowatego płynu, cięższego od wody i cały aparat zanurza się z powrotem do szlamu, gdzie odbywa się owocowanie.

System, stworzony przez utricularje, jest bardziej zawily. H. Bocquillon opisuje go w ten sposób w swojej „*Vie des plantes*“.

— Żabiskrzek jest nader pospolity i spotykamy go w stawach, rowach, młakach wszelkiego rodzaju, oraz torfiastych bagnach. Roślina ta spoczywa przez zimę na dnie, w szlamie. Długie, poplątane łodygi okryte są liśćmi zredukowanymi do rozgałęzionych bardzo włókien. U nasady tak przetworzonych liści spostrzegamy małe woreczki w kształcie gruszki z górną częścią koniczną, zaopatrzoną w otwór. Otwór ten zamknięty jest klapą, otwieralną z zewnątrz do środka. Brzegi tego woreczka obłożone są drobnymi włoskami, tworzącymi coś w rodzaju tkaniny uszczelniającej. Również i wewnątrz wysłane jest taką tkaniną aksamitną. Gdy nadchodzi czas kwitnienia, woreczki napęcznieją się powietrzem, które tem silniej przyciska klapę, im większe jest jego ciśnienie. Nadaje ono wielką lekkość roślinie i wydobywa ją na powierzchnię wody. Wtedy to rozkwitają żółte kwiatuszki, naśladujące małe pyszczki o wydętych wargach, a podniebieniu prążkowanym pomarańczowo, lub rdzawo. Przez czerwiec, lipiec i sierpień żywa ich barwa czyni powabną powierzchnię błotnych kałuż, pokrytych gnijącymi szczątkami roślin. Ale po dokonaniu zapłodnienia, w chwili kiedy owoc zaczyna się rozwijać, następuje zmiana roli. Woda naciska klapy woreczków, otwiera je, napęcznieją wydrążenia

i roślina, nabrawszy ciężaru, zanurza się na dno.

Czyż nie jest rzeczą nadzwyczaj interesującą patrzeć jak przyrząd ten, którego powstanie sięga czasów prastarych, łączy w sobie kilka najświeższych wynalazków ludzkich? Widzimy tu funkcjonowanie cylindrów, napęcznionych sprężystymi gazami, wentylów, współzależność ciśnienia powietrza i płynu, słowem, poza prawami Archimedesesa jeszcze mnóstwo zdobyczy czasów nowych. Cytowany powyż autor dodaje:

— Inżynier, który pierwszy użył ciśnienia powietrza w celu wydobycia na wierzch zatopionego statku, nie wyobrażał sobie pewnie, że przyrząd jego jest w użyciu od setek tysięcy lat.

Wydaje nam się, że my właśnie sami, siłą inteligencji i twórczego genjuszu stwarzamy rzeczy nowe w świecie nieświadomym i biernym. Tymczasem, przyjrząwszy się zbliska, dochodzimy do przypuszczenia, że wogóle trudno jest nam stworzyć coś nowego. Przybłędami jeno jesteśmy, niedawno przybyłymi na ziemię, to też odnajdujemy tylko to, co istniało dawno i powtarzamy, niby olśnione nowością dzieci, wszystko czego dokonało od wieków życie. Taki stan rzeczy jest nawet konieczny, winien on napęłnić nas otuchą, a do problemu tego powrócimy jeszcze.

### VIII.

Nie możemy rozstać się z roślinami wodnemi, nie wspomniawszy bodaj pokrótce życia romantycznej vallisnerji z rodziny hydrocharidów, której zabiegi miłosne stanowią epizod najtragiczniejszy może w państwie roślinnem.

Nie odznacza się ona niczem, nie posiada wdzięku tajemniczego nenufaru, ani też przepychu listowia niektórych podwodnych okazów flory. Przyroda wypowiedziała się jednak w niej idea niezwykłą. Całe życie tej skromnej rośliny odbywa się na dnie wody, w pewnego rodzaju półśnie i stan ten trwa aż do chwili zaślubin, która napenia ją nową, nieznaną energją. Wówczas to roślina żeńska rozwija zwolna długą spiralę swej łodygi, wznosi się, wynurza i rozwiera kielich na powierzchni stawu. Na sąsiedniej łodydze drzemią zamknięte pęki kwiatów męskich i patrzą poprzez prześwietloną wodę na to, co się dzieje. Podnoszą się także, zmierzając ku powierzchni, na gody miłosne, w inny świat, ale w pół drogi zatrzymują się, bowiem zbyt krótka łodyga, żywicielka ich, jedyne źródło życia, nie pozwala dostać się na światło słońca, gdzie mogłoby nastąpić zespolenie pręcików ze słupkiem.

Czyż istnieje w naturze dysharmonja większa, lub okrutniejsza próba? Trudno sobie przed-

stawić w całej pełni, jak tragiczne jest owo po-  
żądanie, owa niesiężność tego, co jest tak blisko,  
oddzielone przejrzystą, fatalną, niedostrzegalną,  
a nieprzewyciężoną przeszkoda.

Podobnie jak nasze dramaty, tragedia  
miłosna vallisnerji byłaby nierozwiązalną, gdyby  
nie wmieszał się w nią czynnik zgoła niespodzie-  
wany. Kwiaty samcze przeczuwały od początku,  
zda się, swój zawód i każdy z nich przechował  
w łonie swem bańkę powietrza, podobnie jak  
dusza kryje uporną, rozpacziwą myśl wyzwo-  
lenia. Przez czas pewien wahają się, walczą ze  
sobą, potem zaś niezrównanym, bohaterskim wprost  
wysiłkiem, zrywają nić łączącą je z życiem, by  
osiągnąć szczęścia. Jest to akt najcudowniejszy,  
jaki znam zarówno w życiu roślin, jak i owadów.  
Odrywiają się od łodygi i z rozmachem pośpiechu,  
pośród wrzenia baniek powietrza pękają na powierz-  
chni. Śmiertelnie ranne, ale radosne i wolne pływają  
przez czas jakiś obok niewiedzących o niczem oblu-  
bienie swoich, następuje zapłodnienie, straceńcy  
giną jeden po drugim, a małżonka, matką już będąc,  
zamyka koronę, w który tkwi ostatnie tchnienie ko-  
chanków, zwija spiralę łodygi i zstępuje na dno, gdzie  
dojrzewa owoc bohaterskiego uścisku miłosnego.

Ten wierny, dosłowny obraz, oglądany ze  
strony słonecznej, ukaże nam pewne luki, braki

i cienie, jeśli nań spojrzymy ze strony odwrotnej. Ale właśnie od strony ciemnej dostrzega się nieraz prawdy co najmniej równie interesujące. Owa tragedia uwypukla się doskonale, gdy patrzymy na nią pod kątem interesów i nadziei gatunku. Jeśli weźmiemy atoli pod uwagę indywiduum, to przekonamy się, że często zachowuje się niezdarne i wprost wbrew swym celom idealnym. Kwiaty męskie wypływają nieraz na powierzchnię mimo, że niema w pobliżu kwiatów żeńskich, gotowych do zapylenia, a zdarza się też, iż stan wody jest tak niski, że mogłyby z łatwością dosięgnąć swych oblubienic, nie zrywając łączności z życiem. Czynią to jednak zawsze, całkiem mechanicznie i bez potrzeby. Stwierdzamy tu raz jeszcze, że cały genjusz tkwi w gatunku, przyrodzie, czy życiu, a osobnik jest niemal bezrozumny. Jedynie u człowieka istnieje współzawodnictwo realne tych dwu intelektów z tendencją coraz to wybitniejszą, coraz to żywotniejszą do osiągnięcia równowagi, która jest właśnie najistotniejszą treścią naszej przyszłości.

## IX.

Rośliny pasorzytnicze dają nam również mnóstwo przykładów takiej genjalności. Na pierwszy plan wybija się tu *cuscuta*, czyli ka-

nianka, zwana też mniszą bródką. Nie posiada ona liści, a zaledwo łodyga jej dosięgła kilku centymetrów długości, kanianka zrywa wszelką łączność z korzeniem swoim i owija się wokół upatrzonej ofiary, wpijając w nią swe ssawki. Odtąd żyje wyłącznie kosztem swego życiodawcy. Daremnąby było rzeczą chcieć zmylić jej czujną baczność, nie zgodzi się na żadne podłoże, które jej nie odpowiada i odbędzie raczej długą wędrówkę, by znaleźć łodygę konopi, chmielu, lucerny lub lnu, które odpowiadają jej gustom i usposobieniu.

*Cuscuta* zwraca uwagę naszą na rośliny pnące, odznaczające się obyczajami szczególnymi i o nich to trzeba tu słów parę powiedzieć. Każdy z nas, kto żył potrochu bodaj na wsi, miał niejednokrotnie sposobność podziwiać instynkt, czy coś w rodzaju spostrzegania wzrokowego, przy pomocy którego witki chwytne, czyli wąsy winorośli lub powoju kierują się ku podporze. Może nią być nawet rękojeść łopaty lub motyki, opartej o mur. Przesuńmy to narzędzie, a nazajutrz spostrzeżemy, że wąsy odwróciły się w inną stronę i znalazły poszukiwany przedmiot. Mnóstwo obserwacyj odnośnych i doświadczeń tego rodzaju znajdziemy w pracy A. Schoppenhauera, p. t.: „*Über den Willen in der Natur*“, w rozdziale trak-



tującym o fizjologii roślin. Nie mogąc ich tu zamieścić, odsyłam czytelnika do wspomnianego rozdziału, gdzie znajdzie rozliczne wskazówki i źródła. Nie potrzebuję także chyba dodawać, że od lat pięćdziesięciu, czy sześćdziesięciu dowodów tych i faktów przybyło bardzo dużo, a wszystko świadczy o nieustannym wzroście materiału.

Pozwolę sobie dla zilustrowania podstępu i przezorności roślin, przytoczyć przykład sprytu *hyoseris radiata*, roślinki o kwiatach żółtych, podobnych do kaczyńca, spotykanej bardzo często na starych murach Riwiery. W celu zabezpieczenia sobie jednocześnie mnożenia gatunku i jego trwałości, wydaje dwa rodzaje ziarn. Jedne, odpadające łatwo, zaopatrzone są w skrzydełka celem przenoszenia przez wiatr, drugie zaś, pozbawione tego narządu, tkwią wewnątrz korony kwietnej aż do czasu jej rozkładu i potem dopiero dostają się do ziemi.

Inna roślina, *Xantium spinosum*, świadczy, do jakiej doskonałości doprowadzone zostały niektóre systemy rozsiewcze i jak wybornie funkcjonują. Chwast ten obrzydliwy, najeżony barbarzyńskimi kolcami, do niedawna był jeszcze nieznany w Europie zachodniej, a nikomu się oczywiście nie śniło nawet aklimatyzować go u nas. Triumf swój zawdzięcza haczykom, mie-

szczącym się na powierzchni plewek ziarnistych, czepiającym się sierści zwierząt. Ta pochodząca z Rosji roślina dostała się do nas wraz z ładunkami wełny ze stepów rosyjskich i możnaby wyznaczyć na mapie pochód zdobywcy tej wielkiej wędrowczyni, która zagarnęła dla siebie nowe kraje o doskonałych warunkach klimatycznych.

W innym kierunku poszły idee i wysiłki małej roślinki o białych kwiatach, rosnącej obficie pod drzewami oliwnymi, zwanej *silene italica*. Będąc bardzo trwożliwą i delikatną, zaopatruje swe łodyżki w gruczoły, wydzielające ciecz kleistą i w ten sposób chroni się od drapieżnych i natrętnych owadów. Ciecz ta tak doskonale spełnia swe zadanie, że chłopci umieszczają łodygi po stancjach jako łapki na muchy. Niektóre odmiany uprościły bardzo ten system ochrony. Obawiały się przedewszystkiem mrówek, a doświadczenie nauczyło je zapewne, że wystarczy przy każdym kolanku łodygi umieścić klejki pierścień. W ten sposób chronią sadownicy drzewa owocowe przed liszkami, malując krąg smołą na pniu.

To nam zwraca uwagę na środki ochronne roślin. Henryk Coupin w swej doskonałej, popularnej książce p. t. *Les plantes originales*, do

której odsyłam czytelnika żadnego szczegółów i faktów, rozwija temat tych nieraz dziwacznych środków obronnych. Przedewszystkiem tedy kwestje kolorów, co do których prof. Sorbony, Lothelier, poczynił dużo ciekawych odkryć. Roślina zatracza kłujące organa swoje w cieniu i wilgoci. Przeciwnie, im jałowsze i bardziej spalone żarem słońca jest miejsce, na którym rośnie, tembardziej najeża się zbroją obronną, jakby pojmując konieczność wielkiego wysiłku celem uchronienia się przed wrogiem, który poza nią nie ma innego łupu wśród piaszczystej, czy wapiennej pustaci, lub skał pustyni. Podkreślić należy, że większość roślin owych zatracza w stanie kultury swe kolce i inne narządy odporu, przelewając obronę swą na Opatrzność nadprzyrodzoną, wyobrażoną w człowieku, który otoczył je swą opieką \*).

---

\*) Salata jest wymownym przykładem roślin nie broniących się przed wrogiem, w stanie kultury. Cytowany wyżej autor pisze: Jeśli zerwiemy liść salaty dzikiej, spostrzeżemy, że wypływa zeń sok biały, l a t a x, zawierający składniki piekące, którego przeznaczeniem jest odstraszanie ślimaków. Przeciwnie, w sałacie kulturowanej soku tego brak niemal całkiem. To też salata, ku wielkiemu zmartwieniu ogrodników, pożerana bywa przez ślimaki. — Dodać tu należy, że soku niema jeno w roślinach młodych, natomiast jawi on się w wielkiej obfitości, gdy salata zabiera się do owocowania i tworzenia nasienia. Tymczasem potrzebowałaby ona obrony od samej młodości, w porze kiedy listki jej są delikatne i wrażliwe. Zdaje się jakby roślina w stanie kultury traciła potrochu głowę, jeśli tak wolno mówić, i nie wiedziała dobrze, co się z nią dzieje..

Inne rośliny miast kolców mają bardzo twarde uwłosienie. Inne znów, jak pokrzywa, parzą jadowitą trucizną, lub wytwarzają ostre zapachy, by odstraszyć napastników, jak geranium, mięta i ruta. Ale najszczególniejsze są te, które bronią się w sposób mechaniczny. Zacytuję choćby skrzyp, otaczający się prawdziwą zbroją maleńkich ziarneczek krzemienego piasku. Poza tem wszystkie niemal rodzaje traw wprowadzają do tkanek swych wapno, dla odebrania gustu ślimakom i małżom wszelkiego rodzaju.

## X.

Zanim przystąpimy do badania narządów skomplikowanych, koniecznych dla celu krzyżowania, wspomnijmy o niektórych genialnych idejach skromnych kwiatów, o tych, których małżonkowie i małżonki rodzą się, kochają i umierają w obrębie jednego kwiatostanu. Typ ten wyróżnia się z pośród tysiącznych form miłosnych kwiatów ogrodów naszych i znany jest dobrze. Pręciki, organa męskie, zazwyczaj drobne i liczne otaczają słupek silnie rozwinięty i cierpliwy wielce. — *Mariti et uxores uno eodemque thalamo gaudent* — powiada wielki Linneusz. Ale układ kształty i obyczaje tych organów są różne w każdej poszczególnej odmianie, jakby przyroda miała

plan nie dający się dotąd zrealizować, lub też jakby nią władała ambicja nie powtarzania się w poszczególnych aktach twórczych. Zazwyczaj pyłek, dojrzawszy, spada z pylników pręcika na znamię słupka. Ale często pręciki i słupek mają ten sam wzrost, albo też zbyt są oddalone od siebie, a na koniec zdarza się, że słupek ma dwukrotną wysokość pręcików. W takich razach muszą one czynić ogromne wysiłki, by osiągnąć znamienia.

Czasem znowu, jak u pokrzywy, pręciki tkwią zwinięte w koronie kwiatu. W momencie zapłodnienia korona się rozkłada nagle, a woreczki pyłkowe czyli antery pylników, rzutem ich porwane, ciskają chmurę pyłku na znamię słupka. Kwaśnica kolczasta może dokonać zapłodnienia tylko w dniu pogodnym i słonecznym. Pręciki oddalone od słupka przytrzymywane są na wewnętrznej peryferji korony zapomocą dwu woreczków napelnionych cieczą. Słońce powoduje wyparowanie cieczy, a pręciki zwolnione z uwięzi rzucają się na słupek i dokonywają zapylenia. U innych kwiatów n. p. pierwiosnków słupek bywa czasem wyższy, czasem niższy od pręcików, stosownie do odmiany. U lilji, tulipana i im podobnych zbyt wysmukła oblubienica czyni co może, by pochwycić pyłek i przykleić

go do znamienia. Najoryginalniejszym atoli i najfantastyczniejszym jest system ruty (*ruta graveolens*). To niemiłe woniejące ziele lekarskie odznacza się niesłychaną metodą zapładniania. Pręciki czekają spokojnie we wnętrzu żółtej korony, otaczając pękaty, przysadkowaty słupek. W momencie zapłodnienia, posłuszne wezwaniu samicy, przyzywającej ich, rzec można, po imieniu, zbliżają się. Pierwszy dotyka znamienia i cofa się, potem przychodzi kolej na trzeci, na piąty, siódmy, dziewiąty i tak sprawa się toczy dalej, póki nie spełnią swych funkcij wszystkie nieparzyste. Następnie zaczyna drugi, czwarty, szósty itd. aż do końca. Jest to miłość na zawołanie, a kwiat umiejący liczyć, wydał mi się tak dziwnym, że, nie dowierzając botanikom, obserwowałem rzecz sam kilka razy, zanim zdecydowałem się potwierdzić owe arytmetyczne zdolności ruty.

Niema celu nużyć czytelnika przytaczaniem dalszych przykładów. Zwyczajna przechadzka po polu, czy lesie nastroczy sposobność mnóstwa obserwacyj równie ciekawych, jak fakty cytowane przez botaników. Jednak przed zakończeniem niniejszego rozdziału chcę pomówić o jednym kwiecie i to nie dlatego, by miał objawiać niezwykłą jakąś pomysłowość, ale dlatego, że jego

gest miłosny jest powabny i łatwo dostrzegalny. Mam na myśli nigellę damasceńską ((*nigella damascena*), zwaną popularnie w najrozmaitszy sposób. Lud nadaje jej nazwę: „włosów Wenery“, „djablika w krzaku“, „dziewczęcia o rozpuszczonych włosach“, słowem *nigella* stała się przedmiotem rozmaitych poetyckich zakusów. Roślina ta znajduje się w dzikim stanie w okolicach południowych, rosnąc wzdłuż dróg, lub pod drzewami laurowemi, na północy hodują ją dotąd po ogrodach, chociaż wyszła już nieco z mody.

Kwiat ma jasną barwę błękitną i kształt nader prosty i prymitywny. „Włosy Wenery“ i „włosy rozpuszczone“ są to listki drobne, liczne, wąskie i delikatne, tworzące „krzaczek“ subtelnej zieloności. Pośrodku promienistej korony tkwi pięć słupków, bardzo długich, prostych, podobnych pięciu królowym, odzianym w zielone szaty, dumnym i nieprzystępnym. Wokół nich ciśnie się tłum niezliczonych, pozbawionych nadziei, kochanków, nie sięgających im nawet kolan. W obrębie onego pałacu z turkusów i szafirów rozgrywa się w pogodny, słoneczny dzień dramat bez słów, którego zakończenie nie odpowiada jednak przypuszczeniom, jakiebyśmy snuć mogli, patrząc na owo czekanie bezsilne, daremne i nieruchome. Mijają godziny, będące latami dla

kwiatu, świetność jego znika z wolna, płatki korony opadają i smutne one objawy zdają się oddziaływać poskramiająco na pychę dumnych królowych. Poddają się nakoniec konieczności życia i w danym momencie, jakby na rozkaz tajemny i nieodporny miłości, która chce położyć koniec męczarniom czekania, wszystkie słupki razem przechylają się wstecz ruchem jednolitym, symetrycznym, przypominającym parabolę spadku wody w cysternę i z wdziękiem biorą z ust swych pokornych kochanków pył złoty małżeńskiego pocałunku.

## XI.

Niespodzianek nie brak tu, jak widzimy i trzebaby o inteligencji kwiatów napisać grubą książkę, podobną do dzieła Romanesa o inteligencji zwierząt. Ale szkic mój nie ma zgoła aspiracji stania się podręcznikiem tego rodzaju. Pragnę jeno zwrócić uwagę na kilka interesujących rzeczy, jakie dzieją się tuż obok nas, w tym samym świecie, gdzie uważamy się z taką pychą za istoty uprzywilejowane. Nie czynię w faktach tych wyboru, ale przytaczam je jako przykłady, brane wprost ze spostrzeżeń czynionych w różnych okolicznościach. Chcę w szkicu tym zająć się przede wszystkim kwiatem, gdyż utajone są w nim



największe cuda. Pomijam narazie kwiaty mięsożerne, a więc droserje, nepencje, saracenje itp., zbliżone do świata zwierzęcego i domagające się studjum szczegółowego i specjalnego. Poprzestaję na kwiecie, posiadającym wyłącznie znamiona kwiatu, uważanego przez wszystkich za niewrażliwy i bezduszny.

W celu odróżnienia faktów od teorii, mówił będę o kwiecie, jakby przewidział i obmyślił, wzorem człowieka, to wszystko, czego dokonał. Dojdziemy później do wniosku, co mu przyznać należy, a ile odmówić trzeba. Narazie sam jeden występuje na scenie, niby królewicz wspaniały, wyposażony rozumem i wolą. Nie da się zaprzeczyć, że wszystko za tem przemawia, a chcąc go pozbawić owych cech, uciekać się musimy do mętnych dopiero hipotez. Tkwi nieruchomy na lodydze, kryjąc w świetnej obłonie płatków organy reprodukcyjne rośliny. Zdawałoby się, że dość mu przyzwolić na tajemnicze zespolenie miłosne pręcików i słupka we wnętrzu swego przybytku i wiele kwiatów na tem poprzestaje. Innym atoli jawi się problem zapładniania krzyżowego, czyli krzyżowania, normalnie nierozwiązalny, a jednocześnie brzemienny w groźne skutki. Niewiadomo na skutek jakich doświadczeń i prób prawiekowych kwiaty zdobyły pewność,

iż samozapylenie, czyli zapylenie znamienia słupka przez pyłek woreczków pylnikowych, czyli anter, mieszczących się w tejże samej koronie, powoduje szybką degenerację gatunku. Przyrodnicy powiadają, że kwiaty nie doszły do żadnych wniosków i nie skorzystały z doświadczeń wiekowych, ale poprostu sama przyroda wyeliminowała zwolna ziarna i rośliny, osłabione przez samozapylenie, tak że wyginęły. Przyszedł czas, kiedy pozostały przy życiu te jeno, które skutkiem pewnej anomalji, n. p. słupka zbyt wysokiego, niedostępnego pręcikom, nie mogły zapyłać się same w łonie jednej korony. Wyjątki te pozostały przy życiu same tylko jedne, a po tysiącnych przejściach, zmianach i przystosowaniach, dziedziczność utrwaliła wreszcie dzieło przypadku, zaś typ normalny zaginął.

## XII.

Zobaczymy w dalszym ciągu, co wyjaśniają te wyjaśnienia, narazie udajmy się do ogrodu, lub na łąkę celem przyjrzenia się zbliżka kilku ciekawym odkryciom wynalazczego genjuszu kwiatu.

Tuż przy domu spostrzegamy wonny pęczek roślin, obsiedziony przez pszczoły, będący domostwem nader zdolnego mechanika. Każdy

z nas, nawet najmniej mający skłonności rustykalnych, zna pocziwą szaławę naszą. Jest to członkini rodziny wargowych bez żadnych pretensyj, a skromny jej kwiat rozwiera paszczę szeroko, łaknąc, zda się, promieni słońca. Istnieje mnóstwo odmian szałwi, a nie wszystkie... co jest szczególnie ważnym... przyjęły ten sam system zapylania, który mamy badać, lub też nie doprowadziły go do tego samego stopnia rozwoju.

Na razie idzie nam jednak tylko o najwyklejszą szaławę, pokrywającą fioletową draperją całe podmurowanie mej terasy z drzewami oliwnymi, jakby chciała rozesać dywan pod nogi nadchodzącej wiosny. Zaręczam, że żadne pałace marmurowe, czekające przybycia władców, nie miały nigdy wabniejszego, wonniejszego, niświatniejszego przystroju. Zdaje się, że światłość słoneczna pachnie w godzinie najsilniejszego żaru, kiedy bije dwunasta...

Wracając do szczegółów, zaznaczmy, że słupek, czyli organ żeński zawarty jest w wardze górnej, tworzącej rodzaj kapturka, w którym mieszczą się również dwa pręciki organu męskiego. Słupek jest dwa razy od nich wyższy, a to dlatego, by przeszkodzić zapyleniu, mimo że organy obustronne znajdują się razem, w jednej mał-

żeńskie komnacie. Stąd też pręciki skazane są na zupełną beznadziejność. Celem zabezpieczenia się przed wszelkim przypadkiem, kwiat jest pozatem *protenandryczny*, to znaczy, pręciki jego dojrzewają przed słupkiem, tak, że w chwili, gdy samica osiąga dojrzałość płciową, samcy już znikli z horyzontu. Musi się tedy zjawić siła zewnętrzna dla dokonania zapylenia, przynosząc pyłek z kwiatu innego na osierocone znamię słupka. Kwiaty wiatropylne (anemofiliczne) powierzają wiatrom tę funkcję, ale szalwja, jak większość roślin posługuje się owadami, jest owadopylna (entomofiliczna). Powołując do współpracy owady, szalwja nie zapomina, że żyje wśród świata, gdzie niepodobna liczyć z całą pewnością na sympatję i litosną pomoc czyjąkolwiek. Nie poprzestaje tedy na używaniu pszczół i nie polega na ich uczynności. Pszczoła, jak wszystkie twory walczące ze śmiercią na tej ziemi, ma na celu samą jeno siebie i swój gatunek i ani jej w głowie oddawać przysługi kwiatom, których nektarem żyje. Jakże ją tedy zmusić, by wbrew woli swej, lub przynajmniej nieświadomie spełniła zadanie matrymonjalne? Oto przedziwna zasadzka miłosna, wymyślona przez szalwję. W głębi dna kwiatowego mieści się kilka kropel słodkiego nektaru. Jest to przynęta. Tuż przed dostępem

do onej studzienki tkwią dwa równoległe pręciki, podobne do ruchomych dźwigni spuszczonego, holenderskiego mostu i tamują drogę. U szczytu każdego z nich mieszczą się woreczki czyli antery, pełne pyłu, u dołu, dwie mniejsze ampułki służą za przeciwwagę, całość zaś porusza się lekko, za dotknięciem. Pszczoła, sięgając po nektar, popycha głową wstecz ampułki dolne, które cofają się, przechylając tem samem antery górne, które obsypują głowę i cały przód ciała owada pyłem zapładniającym.

Gdy pszczoła opuści kwiat, cały mechanizm przybiera położenie pierwotne i czeka zjawienia się nowego gościa.

W ten sposób rozpoczęty dramat rozgrywa się dalej w innym otoczeniu. Na sąsiednim kwiecie, którego pręciki zwiędły już, słupek czeka zapylenia. Zwolna wynurza się z kapturka, pochyla, nagina i rozdważy w ten sposób, że tworzy rodzaj widełek tuż ponad dostępem do dna kwiatowego z nektarem. Pszczoła przesuwa swobodnie głowę popod ową bramę i wpuszcza ssawkę w dno kwiatowe, ale przy tej sposobności dotyka głową i bokami rozszczepionego słupka i to dokładnie w tych samych miejscach, które zostały obsypane pyłem pręcików. Rozwarte szeroko znamię pochłania chciwie srebrzysty proszek i zapylenie

odbywa się. Łatwo zdać sobie sprawę z przedziwnego, zdumiewającego, precyzyjnego funkcjonowania mechanizmu, wprowadzając w głąb kwiatu słomkę, lub koniec zapalki.

Odmiany szalwji są bardzo liczne i znamy ich około pięciuset. Darujemy sobie wyliczanie wszystkich, wspomnimy jeno niektóre, a więc: *salvia praetensis*, *officinalis*, hodowana w ogrodach, dalej, *salvia horminum*, *horminoides*, *glutinosa*, *salarea*, *Rocmeri*, *azurea*, *Pitsheri*, oraz *salvia splendens*, wspaniała odmiana szkarłatna, używana do bukietów. Pośród tych odmian każda niemal z nich wprowadziła pewne nowe szczegóły i modyfikacje do opisanego powyż mechanizmu. Jedne, co uważam za udoskonalenie wątpliwej wartości, podwoiły, a nawet potroiły długość słupka, tak że nie tylko wychyla się z kapturka, ale tworzy łuk występujący daleko poza płatkę korony. Przez to usuniętą zostaje możliwość, istniejąca mimo wszystko, zapylenia słupka pyłkiem pręcików tego samego kwiatu w kapturku, natomiast, o ile *protenandrya* nie jest doskonałą, pszczoła opuszczająca kwiat, może dotknąć obasypanem pyłkiem ciałem znamienia kwiatu, który dąży do krzyżowania z innym.

Niektóre odmiany rozsuwają tak dalece antery, czyli woreczki pyłkowe pręcików, że doty-

kają z wielką prezyzją boków ciała pszczoły, pomijając głowę, inne natomiast nie zdołały doprowadzić do wysokiego stopnia organizacji mechanizmu. W pobliżu szałwji fiołkowej, koło studni rośnie w mym ogrodzie odmiana o kwiatach białych, znaczonych smugami liljowemi. Niema u niej śladu dźwigni, ani żadnego planu mechanicznego. Pręciki i słupek mieszczą się w koronie kwiatowej obok siebie, a cała sprawa jest pozostawiona przypadkowi i nie uregulowana żadną myślą przewodnią. Pewny jestem, że, gromadząc wielką ilość odmian szałwji, możnaby odtworzyć całą historję i cały rozwój mechanizmu zapylania poprzez poszczególne jego etapy, zacząwszy od bezładu pierwotnego szałwji białej, aż do końcowych udoskonaleń odmiany oficynalnej. Jakież stąd jednak wnioski? Czyżby ludek ten czynił ciągle nowe wysiłki i podejmował próby, podobnie jak to czyni esparceta ze śrubą Archimedesu? Czyż doskonałość dźwigni automatycznej nie została jednogłośnie stwierdzona? Jeśli tak, to, zaprawdę, niema rzeczy niezmiennych i apriorycznych, nie podlegających próbom i rozwojowi w tym świecie, który nawykliśmy uważać za skończony i poddany fatalizmowi rutyny organicznej.\*)

\*) Od lat kilku czynię doświadczenia nad mieszaniem odmian szałwji. Usuwając wszelkie możliwości działania

### XIII.

Pomijając to, cośmy powiedzieli wyżej, stwierdzić musimy, że kwiat szalwji rozwiązał w sposób genialny wielki problem krzyżowania. Ale podobnie jak wśród ludzi każdy nowy wynalazek bywa zaraz podjęty, upraszczany i doskonalony przez mnóstwo niestrudzonych badaczy i poszukiwaczy, tak samo w świecie roślin, które możnaby nazwać „mechanicznymi“ patent szalwji został pochwycony i przetworzony na różne sposoby, oraz udoskonalony w szczegółach. Modyfikacje nader interesujące wprowadziła doń pewna roślina, napotykana często w gęstwie drzew i krzewów, nosząca nazwę gnidosza leśnego (*pedicularis sylvatica*). Kształt korony podobny ma do szalwji, słupek, oraz dwa pręciki z pylnikami mieszczą się razem w jednym kapturze.

---

wiatru i owadów, zapładniam sztucznie odmianę wyposażoną w mechanizm wielkiej doskonałości, pyłkiem odmiany prymitywnej i przeciwnie. Doświadczenia moje nie są jeszcze tak liczne, bym z nich mógł wyciągnąć wnioski, ale ujawniać się już zaczyna prawo ogólne, mianowicie zauważyłem, że szalwja prymitywna ohotnie przyjmuje udoskonalenia postępowe, natomiast ta ostatnia nie łatwo popada w błędy pierwszej. Moznaby poczynić ciekawe uwagi na temat zachowania się, obyczajów, upodobań i doskonalenia się przyrody, ale wszystko to byłoby przedwczesne, bowiem doświadczenia te są z natury powolne i uciążliwe, połączone z trudnościami zgromadzenia potrzebnych odmian, oraz licznych prób i ich kontroli.



Atoli samo wypukłe, wilgotne znamię słupka wystaje poza kaptur, zaś pręciki schowane są w jego wnętrzu. Organy płci obojga są blisko siebie, dotykają się nawet bezpośrednio w ciasnocie swego mieszkania, mimo to jednak samozapylenie jest zgoła wykluczone dzięki urządzeniu odmiennemu jak u szalwji. Pylniki pręcików tworzą dwie ampułki, pełne pyłku i posiadają każdy po jednym otworze siewnym, ale otwory te padają na siebie tak, że się wzajemnie zakrywają. Osadzone na sprężystych\* pręcikach, przygiętych i gotowych do odskoku, przytrzymane są w tej pozycji przez specjalne ząbki. Pszczoła, lub trzmiel, dostając się do kwiatu, odsuwa owe ząbki, a ampułki pylnikowe, zwolnione z nacisku, wyskakują przy pomocy sprężystych pręcików i rzucają się na grzbiet owadu.

Nie poprzestaje na tem jednak genialny kwiat. H. Mueller, który pierwszy zbadał dokładnie przedziwny mechanizm gnidosza, powiada:

— Gdyby pręciki dotykały owadu przy zachowaniu swego uprzedniego położenia wzajemnego, nie dobyłoby się na wierzch ani jedno ziarno pyłku, albowiem otwory siewne ich pylników zakrywają jeden drugi. Złemu zaradziło urządzenie zarówno proste, jak genialne. Dolna warga

korony nie jest symetryczna i pozioma, ale nie-regularna i w ten sposób pochylona, że jedna jej strona sięga na kilka milimetrów wyżej niż druga. Trzmiel, siadając na niej, zachowuje z konieczności pozycję skośną. Wynika z tego, że głowa jego potraça wypukłości korony, poza którymi czekają sprężyste pręciki, jedną po drugiej, nie zaś jednocześnie. Zwolnienie pręcików z nacisku odbywa się w tenże sam sposób, przez wolny otwór wyskakuje naprzód jeden, potem dopiero drugi i każdy z osobna obsypuje owada zapładniającym pyłem.

Kiedy trzmiel zjawia się przy sąsiednim kwiecie, zapłodnić go musi niezawodnie, bo pierwszą rzeczą, jaką napotyka na zewnątrz korony, jest znamię słupka, znamię zaś to ociera się o jego grzbiet podczas sięgania ssawki ku dnu kwiatowemu. W chwili następnej na tenże grzbiet spadają pylniki i to dokładnie w miejscu, gdzie go dotknęły pylniki kwiatu poprzedniego.

#### XIV.

Możnaby cytować w nieskończoność przykłady takie, każdy kwiat posiada swój sposób, system i nabytki doświadczenia, które mu służą w sprawie dla istnienia jego tak ważnej. Przyglądając się zbliska drobnym tym wynalazkom

i urządzeniom, mamy wrażenie, że znajdujemy się na wystawie narzędzi maszynowych, będących wyrazem twórczego, mechanicznego geniuszu człowieka. Tylko nasze zdolności tego rodzaju są tworem dnia wczorajszego za ledwo, zaś mechanika kwiatów funkcjonuje od tysięcy tysięcy lat. Kwiat, zjawiając się na ziemi, nie miał żadnego modelu, któryby mógł naśladować i czerpać musiał wszystko z samego siebie. W czasach, kiedy my władaliśmy maczugą, łukiem, czy potem, niedawno jeszcze, gdyśmy wynaleźli kółka do kusz, bloki, liny, tarany, a wreszcie wczoraj niemal jeszcze, gdy arcydziełem naszym była katapulta, zegar, czy warsztat tkacki, szalwja znała już dźwignię automatyczną, działająca precyzyjnie zapomocą przeciwwagi, zaś gnidosz ukończył dawno fabrykację swych kryjących się wzajem ampulek, tak dokładnie, jakby szło o naukowy eksperyment, wprawiany w ruch zapomocą sprężyn, działający na zasadzie równi pochyłej. Któż z nas wiedział przed stu laty o właściwościach spiralnej śruby, albo śmigi, mimo że klon i lipa posługiwały się nimi od czasu pojawienia się drzew na ziemi? Kiedyż zdołamy skonstruować spadochron, lub przyrząd lotniczy tak silny, lekki, subtelny i pewny, jak to uczynił kaczyniec? Kiedyż nauczymy się wycinać z materiału tak

kruchego jak jedwab płatków korony, sprężyny równie potężne, jak te, które wyrzucają w przestrzeń pyłek zarodnikowy janowca hiszpańskiego? Któż nam objaśni cudowną siłę momordyki, zwanej „pistoletem damskim“, o której wspomniałem na początku tego szkicu? Wszakże znamy momordykę, jest to skromna roślina z rodziny dyniowatych, pospolita w okolicach śródziemno-morskich. Sękaty owoc jej, podobny do małego ogórka, obdarzony jest żywotnością i energją niepojętą. Za najłżejszem dotknięciem, w porze dojrzałości, wstrząsem konwulsyjnym odrywa się od łodygi i miota przez otwór powstały strugę cieczy kleistej, zmieszanej z nasieniem, z taką gwałtownością, że ziarna padają w odległości czterech do pięciu metrów od rośliny macierzystej. Skurcz ten jest tak niezwykły, że porównaćby go można, oczywiście zachowując stosunek, do wyrzucenia przez człowieka jednym ruchem spazmatycznym wszystkich wnętrzności, organów i całej krwi na półkilometrową odległość. Poza tem, pewna liczba ziarn nasiennych stosuje w balistyce i zużytkowuje źródła energji, nieznane nam dotąd zgoła. Przypomnijmy sobie choćby pękanie strączków rzepaku, albo janowca. Ale największym mistrzem artylerji roślinnej jest stanowczo ostromleczeń lekarski (*euphorbia purga*).

Ten typowy przedstawiciel swego rodu, to zielsko naszych okolic o liściach dosyć ornamentalnych, dochodzące wysokości człowieka. W chwili, kiedy piszę te słowa, patrzę na gałązkę tej rośliny, tkwiącą w wazonie. Posiada wypukłe, zielonawe klapy nasienne, pełne ziarn. Co chwila pęka z trzaskiem jedna z nich, a ziarna, wyposażone niezwykłą energją rzutu, odbijają się od mebli i ścian, oraz skaczą po posadzce. Gdy padnie na twarz takie ziarno, doznaje się wrażenia silnego ułucia żądłem, taką jest niezwykła siła pędu w owych maleńkich nasionkach, zbliżonych 102-miarami do łebka szpilki.

Gdy jednak zbadamy klapy nasienne, przekonamy się, że niema w nich zgoła sprężyn ani innych przyrządów, a siła wydająca tak doniosłe skutki jest równie niedostrzegalna, jak siła naszych nerwów. Janowiec hiszpański (*spartium junceum*) ma nie tylko strąki, ale także kwiaty sprężynowe. Może który z czytelników miał sposobność podziwiania tej wspaniałej rośliny. Jest ona przystosowana do twardych warunków życia, skromna, wstrzemięźliwa, silna, nie gardzi żadną glebą i nie cofa się przed żadnem zadaniem. Rośnie wzdłuż dróg w górzystych okolicach południa, tworząc ogromne kępy, klomby, gęstwy, nieraz trzy metry wysokie, obsypane przez maj

i czerwiec wspaniałem, złocistem kwieciem, którego zapach, zmieszany z wonią sąsiadującego zazwyczaj z janowcem przewiertnika, czyli koziego powoju, przepaja gorące, rozpalone powietrze tak rozkosznie, że przypominają się róże nieba, elizejskie pola, oraz rzeźwy powiew grot błękitnych.

Kwiat janowca, podobnie jak kwiaty wszystkich strączkowych, motylkowatych, przypomina nasz groszek ogrodowy, a dolne płatki korony zwarte w ostrogę, czy dziób okrętowy mieszczą w sobie zamknięte hermetycznie pręciki i słupek. Dopóki organa te nie są dojrzałe, pszczoła dostać się do nich nie może. Gdy jednak wybije godzina wyzwolenia dla oblubieńców, wówczas, pod ciężarem siadającego owadu, ostroga obniża się, komora zawierająca pyłek pęka, a złota chmura świetlistego proszku pędzi daleko, zasypując gościa oraz pobliskie kwiaty. Ponad to szeroki płatek korony zwieszony od góry kieruje pyłek na znamię, które ma zostać zapylone.

## XV.

Ktoby chciał przestudjować gruntownie te wszystkie problemy, niech zwróci się do dzieła Krystjana-Konrada Sprengla, który pierwszy jeszcze w roku 1793 poddał badaniu funkcje

różnych organów storczyków i rezultaty ich zawarł w książce p. t.: „*Das entdeckte Geheimnis der Natur*“. Należy również przeczytać odnośne prace Karola Darwina, H. Muellera, Lippstadta, Hildebrandta, Delpina, Hookera, Roberta Browna i wielu innych.

U storczyków występują ze szczególną wyrazistością przejawy doskonałej i szarmonizowanej inteligencji roślin. W tych dziwnie ukształtowanych, chorobliwie wyglądających kwiatach, genjusz wegetalny osiągnął punkt kulminacyjny i przekroczył zwycięsko granice dzielące państwo roślin i zwierząt. Nie należy jednak wiązać miana storczyka z pojęciem kwiatu rzadkiego i cennego, nie trzeba się ograniczać do owych królowych cieplarni, które zdają się być raczej wytworem sztuki złotniczej, niż produktem roślinnym. Pośród naszej flory krajowej znajduje się dosyć dzikich chwastów, będących storczykami, a odmian ich naliczyć można około dwudziestu pięciu. Te skromne zielska odznaczają się właśnie urządzeniami organicznymi największej doskonałości i budowa ich przejawia ogromną inteligencję. Te właśnie storczyki nasze badał Karol Darwin, pisząc swe wiekopomne dzieło: „*O zapylaniu storczyków przez owady*“, będące cudowną historją najbardziej bohaterskich wy-

siłków duszy kwiatu. Nie sposób oczywiście skreślić tu w kilku wierszach owej obfitej wielce, cudownej jak bajka biografji. Jednak, ponieważ zajmuje nas kwestja inteligencji kwiatów, musimy przeto dać pojęcie dostatecznie jasne o metodach i właściwościach umysłowych, jakie wchodzą w grę, gdy idzie o to, by zmusić pszczołę, czy motyla do spełnienia należycie wszystkich życzeń kwiatu i to w żądanej formie i właściwym czasie.

## XVI.

Niełatwą jest rzeczą bez przenośni pouczyć jakim jest, niezwykle skomplikowany w budowie i funkcjach swych, mechanizm storczyków, spróbuję atoli dać o nim wyobrażenie jasne, posługując się porównaniami mniej, lub więcej odpowiedniami, unikając, o ile to możliwe, wyrażeń technicznych jak: *retinaculum*, *labellum*, *rostellum* itp. nie dających obrazu dokładnego osobom nieobeznanim z botaniką.

Weźmy storczyk najpospolitszy w naszym kraju n. p. *orchis maculata*, albo lepiej *orchis latifolia*, storczyk szerokolistny, który jako większy ułatwia znacznie obserwację. Jest to roślina trwała, dosięgająca trzydziestu, a nawet sześćdziesięciu centymetrów wysokości, pospolita



po lasach i mokrych łąkach i posiada kiść małych, różowawych kwiatków, rozkwitających w maju i czerwcu.

Kwiat typowy storczyków naszych przedstawia się jakby rozwarta paszcza fantastycznego smoka chińskiego. Warga dolna wydłużona i spadająca ma kształt koronkowego, czy portarganego fartuszka i służy za miejsce spoczynku dla owadu. Warga górna, krągła, tworzy coś w rodzaju kaptura, mieszczącego w sobie organa płciowe, zaś na grzbiecie kwiatu zwiesza się ku lodydze ostroga, czy trąbka ostro zakończona, zawierająca nektar. Znamię słupka, czyli organ żeński, u większości kwiatów wygląda jak mała kitka mniej lub więcej mazista i lepka, umieszczona na szczycie kruchej lodyżki, czekająca cierpliwie na pyłek nasienny. U storczyków ta forma klasyczna, rzecz można, znamienne, zmieniała się nie do poznania. W głębi paszczy kwiatu, w miejscu nasady języka w gardle człowieka, tkwią dwa znamiona mocno spojone ze sobą, a ponad nimi trzeci słupek, przetworzony w organ niezwykle. Ma u szczytu rodzaj kieszonki, czyli mówiąc dokładniej, półokrągłej miseczki, zwanej *rostellum*. Miseczka ta jest napełniona cieczą lepką, w której pływają dwie małe kulki, a z kulek owych zwieszają się krótkie

niteczki, obłożone w wyższej części starannie przytwierdzonemi pęczkami pyłku nasiennego.

Gdy owad siądzie na kwiecie, dzieją się rzeczy następujące: Siedząc na wardze dolnej, pociągnięty wonią nektaru, stara się dostać do ostrogi, czy trąbki, która go zawiera. Ale dostęp jest z umysłu bardzo ciasny, tak że głowa owadu musi potrać miseczkę słupka górnego. Miseczka ta, wrażliwa na dotknięcie, rozdziera się natychmiast w miejscu właściwym i odsłania dwie kulczki pokryte cieczą mazistą. Kulki, dotknąwszy głowy owada, przyklejają się do niej silnie, tak że opuszczając kwiat, zabiera z sobą dwie niteczki, obarczone pęczkami pyłku. Owad ma teraz na głowie dwa różki sterczące, podobne do minjaturowych butelek szampana, obróconych dnem do góry.

Nieświadomy współpracownik w trudnem dziele leci do następnego kwiatu. Gdyby różki zakończone pęczkami pyłku sterczały ciągle w górę, owad trąciłby nimi o nitki z pyłkiem, zwisające z miseczki zmetamorfizowanego słupka drugiego kwiatu, a z zetknięcia dwu pyłków nie wynikłoby nic. Tutaj przejawia się właśnie genjusz i doświadczenie storczyka. Obliczył on skrupulatnie czas potrzebny owadowi na wysśanie nektaru i dolecenie do kwiatu następnego, co wynosi przeciętnie trzydzieści sekund.

Mówiliśmy, że pęczki pyłku przyczepione są do dwu krótkich niteczek tkwiących w kulkach, otoczonych cieczą mazistą. Otóż w nasadach znajduje się pod każdą niteczką krążek błoniasty, którego jedynem zadaniem jest ściągnąć się po upływie trzydziestu sekund i pochylić każdą niteczkę w ten sposób, by górny jej koniec zatoczył łuk, odpowiadający kątowi 90. Jest to wynik osobnego obliczenia, tym razem nie w czasie, ale w przestrzeni. Dwa pęczki pyłku, tkwiące na głowie posłannika miłości, przybierają teraz położenie poziome i zwrócone są naprzód, tak, że w chwili wsunięcia głowy owada w kwiat następny, muszą dotknąć dwu spojonych ze sobą znamion znajdujących się pod *rostellum*.

Nie koniec na tem, bowiem genjusz storczyka nie osiągnął szczytu swej przezorności. Znamiona dotknięte pęczkami pyłku okryte są cieczą mazistą. Gdyby substancja ta posiadała klejkość tak znaczną jak ciecz miseczki *rostellum*, to pęczki pyłku zatonełyby w niej, oblepiły się i nie spełniły swego przeznaczenia. Do tego dopuścić nie można, lekkomyślnością byłoby narażać drogocenny pyłek na przypadek podobny, a przeciwnie należy podnieść szanse jego powodzenia i uwielokrotnić je. Kwiat, umiejący liczyć sekundy i mierzyć kąty, potrafi także

jako znakomity chemik sporządzić dwa rodzaje płynu klejkiego. Jeden, niezwykle przyczepny, schnący zaraz na powietrzu, służy do przyklejenia różków z pyłkiem na głowie owadu, drugi zaś rzadki i nieschnący ułatwia pracę znamionom, a przyczepność jego starczy do celu rozluźnienia nitek otaczających pyłek. Przyczepić się doń może odrobina, ale cała masa zaczyna zaraz działać zapładniająco i dokonywa swego dzieła, gdy tymczasem owad udaje się w drogę do następnego kwiatu.

Skreśliłem pokrótce cały tok zapylania, pominąłem atoli mnóstwo godnych uwagi, a cudownych iście szczegółów. Wspomnę tedy o ruchu miseczki rostellum, wznoszącej w górę swój dolny brzeg bezpośrednio po rozdarciu błony i odsłonięciu kulek mazistych. Ruch ten ma na celu utrzymanie w należyтым stanie zanurzonych w kleju pęczków pyłku, którychby owad przypadkowo nie zabrał z sobą. Nie należy także pominąć nader sztucznego rozstawienia nitek z pyłkiem na głowie owada, oraz chemicznych środków zapobiegawczych, wspólnych zresztą wszystkim roślinom. Najnowsze badania Gastona Bonnier stwierdziły, że każdy kwiat wydziela toksyny, zabijające i sterylizujące pyłek obcy, a czyni to w celu utrzymania w stanie nietykalnym

swojego gatunku. Tyle dostrzec jesteśmy w stanie, ale jak wszędzie tak i tu prawdziwy, wielki cud zaczyna się tam, gdzie nasz wzrok nie sięga.

## XVII.

W tej chwili znalazłem w zaniedbanym kącie oliwkowego gaju wspaniałą pęd loroglossu, wydającego odór capiego loju (*loroglossum hircinum*). Jest to odmiana storczyka, której nie badał Darwin dlatego może, iż rzadko ją bardzo natknąć można w Anglii. Z pośród krajowych storczyków loroglossum jest najdziwaczniejszy i najbardziej zdumiewający. Gdyby posiadał wielkość storczyków amerykańskich, możnaby twierdzić, że ziemia nie posiada drugiego, równie chimerycznego kwiatu. Wyobraźmy sobie kiść piramidalną skrętoległych kwiatów, podobną do hiacyntu, tylko nieco dłuższą. Ustawione symetrycznie kwiaty o trzech narożach mają barwę zielonawo-białą, popstrzoną plamami blado-fioletowemi. Płatek dolny kwiatu, ozdobiony u nasady mięsistemi gruczołami koloru brązu, olbrzymiemi wąsami godnemi Merowingów, posiada jeszcze narośle fioletowe o złowrogim wyglądzie. Płatek ten wydłuża się bez końca, wprost szaleńczo, przechodzi potem w kilka wstążek, skręconych spiralnie, a kolor ich przypomina topielca,

którego po miesiącu wydobyto z wody. Całość przywodzi na myśl straszliwą jakąś chorobę i zda się należy do krain, kędy żyją złośliwe, ironiczne potwory, czy zjawy nieludzkie. Kwiat wydaje ponadto silny, odrażający odór starego capiego loju i woń ta zdala wieści jego obecność. Opisuję ten storczyk dlatego specjalnie, że pospolity jest we Francji, łatwo go rozpoznać i z racji swej wielkości, oraz precyzyjności organów nadaje się doskonale do prób i doświadczeń wszelakich.

Wystarczy wetknąć ostrożnie koniec zapalki tak, by znalazł się w pobliżu ostrogi z nektarem, a niezwłocznie można zobaczyć gołym okiem wszystkie stadja zapylenia.

Dotknięte rostellum pochyła się, odsłaniając mały klejki krążek (*loroglossum* ma jeden tylko) z dwiema niteczkami pyłkowemi. Krążek przykleja się mocno do drzewa, dwie miseczki, zawierające kulki, pękają wzdłuż i po wyjęciu na zapalce widać dwa rozchylone rożki, zakończone złotymi kulkami. Nie można tu niestety obserwować stopniowego i precyzyjnego pochylenia się rożków, jak to ma miejsce u *orchis latifolia*. Dlaczego się tak dzieje, zobaczymy, wtykając zapalkę z rożkami w sąsiedni kwiat. Ruch ten byłby zbyteczny, bowiem kwiat jest dużo większy

do *orchis maculata* i posiada ostrogę z nektarem umieszczoną w ten sposób, że gdy owad wtyka głowę, pęczki pyłku dotykają precyzyjnie znamienia, które ma zostać zapyłone.

Dodać należy, że powodzenie eksperymentu zależy od dojrzałości płciowej kwiatu. My, ludzie, nie wiemy kiedy dojrzewa, ale wie to dobrze owad i kwiat, który zaprasza na kropelkę nektaru gościa, wówczas dopiero, kiedy aparat jego funkcjonuje należycie.

## XVIII.

Taki jest system zapyłania storczyków w kraju naszym, ale każda rodzina, każda odmiana udoskonala szczegóły wedle poczynionych doświadczeń, swych wymagań i nawyknień specjalnych. Naprzykład *orchis*, czyli *anacamptis pyramidalis*, jedna z najinteligentniejszych odmian, umieścił na swej wardze dolnej, czyli labellum dwa małe wałki i pomiędzy nimi posuwa się ku nektarowi ssawka owada, który jest zmuszony w ten sposób dopełnić wszystkiego, czego się odeń żąda. Darwin przyrównywa to urządzenie słusznie do maszynki, służącej do nawlekania igły. U innej odmiany dwie kulki, dźwigające nitki pyłkowe, zanurzone w cieczy klejkiej, zastąpione są krążkiem w kształcie si-

dełka. Wsuwając igłę lub szczecinę w łożysko, którem ślizgać się ma ssawka owada, stwierdzić możemy dowodnie wyższość tego prostszego i praktyczniejszego urządzenia. Zaledwo szczecina dotknęła miseczki, pęka ona po linii symetrycznej, a odkryte siodełko przykleja się natychmiast do włosa. Gdy szybko cofniemy szczecinę, spostrzeżemy ruch bocznych skrzydełek siodełka, obejmujących mocno przedmiot, do którego przywarło. Ruch ten ma na celu utrwalić przyleganie siodełka do podłoża, a zarazem spowodować dokładniejsze niż u *orchis latifolia* i precyzyjniejsze rozchylenie nitek pyłkowych. Zaledwo siodełko przywarło, a nitki pyłkowe, tkwiące w niem, rozchyliły się przez ruch skrzydełek bocznych należycie, natychmiast zaczyna się ruch drugi, mianowicie pochylanie się tychże nitek ku końcowi szczeciny, podobnie jak się to dzieje u storczyków, opisanych poprzednio. Te dwa skombinowane ruchy trwają przez trzydzieści do trzydziestu czterech sekund.

## XIX.

W ten sam sposób rozwijają się wynalazki ludzkie, a składają się na nie drobiazgi, próby, zmiany, nawroty i niepowodzenia. W naszym przemyśle mechanicznym czasów ostatnich ode-



grały rolę decydującą drobne, znikome, rzecz można, ale ustawiczne ulepszenia w zapalaniu gazów, zwęglaniu materiału, hamowaniu i zmianie chyżości. Zdawałoby się, że pomysły przychodzą kwiatom w zgoła ludzki sposób. Idą omackiem przez tę samą ciemność, napotykalają te same przeszkody i walczą z tą samą uporną, złą wolą niepoznawalnych sił. Ulegają tym samym prawom, doznają podobnych nam rozczarowań i odnoszą podobne naszym powolne i mozolne triumfy. Obdarzone są naszą niemal cierpliwością, wytrwałością i miłością własną, posiadają takie jak my odcienie inteligencji i tę samą nadzieję i ideały. Walczą jak my z wielką, obojętną siłą i zmuszają ją, by im była pomocną. Wynalazcza twórczość kwiatów nie tylko posługuje się temi samemi metodami rozsądnemi i skrupulatnemi, nie tylko stąpa temiż samemi zmudnemi, ciasnemi drożynami, ale wykazuje podobne naszym skoki niespodziane, które w jednej chwili tworzą rzecz zasadniczo nową z nikłego, niepewnego odkrycia.

W ten sposób postąpiła pewna rodzina wielkich wynalazców-storczyków, przedziwna, bogata rodzina amerykańska Catasetidów, obalając śmiałym pomysłem wielką część nąwyków i zwyczajów, które im się wydały zbyt prymitywnemi. Przedewszystkiem rozdzielone zostały stanowczo

płci, a każda otrzymała kwiat oddzielny. Poza tem pęczki pyłku nie tkwią tam na nitkach zanurzonych w mazi, czekających w bezwładzie, pozbawione inicjatywy, przypadku, który im pozwoli przylepić się do głowy owada. Pyłek tkwi na szczycie silnej sprężyny, zgiętej w kabłąk i zamkniętej w małej komórce. Nic nie pociąga owada specjalnie ku tejże komórce. Widocznie dumni *Catasetydzi* nie liczyli się wcale z takim, czy innym ruchem gościa, jak storczyki zwyczajne, które kierują tym ruchem, nie mogąc jednak zapewnić mu nieomyślności. Owad nie wkracza tu do przedziwnie urządzonego warsztatu mechanicznego, ale wchodu we wnętrze kwiatu żywego, obdarzonego wrażliwością i posiadającego duszę. Zaledwo dotknął świetnego progu, zasłanego miedzianym, połyskliwym dywanem, zaledwo dotknął płatków ruchliwemi różkami, robi się alarm w całym budynku, pęka komórka, więżąca sprężynę z dwoma pękami pyłku i wielkim krążkiem mazistym i sprężyna ta wyskakuje na zewnątrz. Wybornie obliczony ruch ciska krążek, który, uderzając w głowę owada, przykleja się do niej. Owad, oszołomiony niezwykłym powitaniem, zabiera się co prędzej do odwrotu i, porzucając napastliwą koronę kwiatu, zmyka do innego. A właśnie o to szło amerykańskiemu storczykowi.

XX.

Wspomnieć się godzi jeszcze o nader interesujących uproszczeniach praktycznych systemu, dokonanych przez inną rodzinę egzotyczną, mianowicie przez Cypripedów (*Cypripedaceae*).

Mamy tu przejaw, zdarzający się nader często w dziejach wynalazków ludzkich. Pomocnik w pracowni, preparator w laboratorium, słowem ktoś młody, pomysłowy i energiczny radzi mistrzowi: — Zmieńmy kierunek ruchu! — Zacznijmy od końca! — Postawmy wszystko na głowie! — I oto z rzeczy nieznanych, niezbadanych wylania się nowość.

Wydaje się zaprawdę, że Cypripedy postanowiły przewrócić wszystko do góry nogami. Znamy wszyscy ciepłarniany storczyk, *Cypripedium*, noszący miano pantofelka Wenery. Posiada olbrzymie podgardle w kształcie pantofla, wygląda złośliwie i jadowicie, słowem kwiat ten uznany został za storczyk wzorowy i nie-naganny. W sposób iście zuchwały pozbył on się typowych urządzeń mechanicznych, pęczków pyłku, nitek, krążków mazistych, misternie preparowanego lepu, słowem wszystkiego. Jego trzewikowaty podbródek jest to pylnik jałowy i zagradza drogę w ten sposób, że zmusza owad do wetknięcia ssawki swej w przewód, koło

którego mieszczą się dwie kupki pyłku. Ale nie jest to jednak rzecz główna. W przeciwieństwie do wszystkich innych odmian, sam pyłek tego storczyka jest mazisty, nie zaś znamię słupka. Miast posiadać konsystencję proszkowatą, pyłek ten zatopiony jest w materji klejkiej i tak plastycznej, że można ją wyciągać w nitki. Jakież płyną korzyści i niedogodności z tego nowego urządzenia? Zachodzi obawa, że zabrany przez owad pyłek może przyczepić się nie do znamienia, ale do każdego innego przedmiotu, natomiast znamię nie potrzebuje już wydzielać cieczy przeznaczonej do niszczenia i sterylizowania pyłku obcego. Problem ten w każdym razie zasługuje na skrupulatne zbadanie. Zdarzają się patenty na wynalazki, których użyteczność nie rzuca się odrazu w oczy.

## XXI.

Chcąc skończyć z przedziwnym ludem storczyków, muszę powiedzieć słów kilka o tym organie pomocniczym, który wprawia w ruch cały mechanizm, to jest o nektarze. Genjusz gatunku wysiłał się, by go sporządzić jak należy, a w próby te i doświadczenia włożył tyleż samo inteligencji co w ustawiczne modyfikacje organizacji swych organów zasadniczych.

Zbiornik nektaru, czyli *nectarium* jest zazwyczaj rodzajem ostrogi, lub długiej, ostrokończystej trąbki z otworem na dnie kwiatowym, tuż obok nasady łodygi i stanowi mniej więcej przeciwagę korony. Mieści w sobie słodki płyn, nektar, którym się żywią motyle, owady błonkoskrzydłe i inne, a który pszczoły przerabiają na miód.

Celem nektaru jest przywabianie potrzebnych kwiatom gości, to też zbiornik ukształtowany bywa wedle ich rozmiarów, nawyknień i upodobań, z tem, że nie mogą wsunąć ni wysunąć ssawki, czy trąbki swojej, nie dopełniwszy najdokładniej i najtroskliwiej wszystkich obrzędów, przepisanych prawem organizacji kwiatu.

Poznaliśmy już w mierze dostatecznej charakter twórczej wyobraźni storczyków, by się domyślać, że i w tym wypadku praktyczny ich wynalazczy zmysł, badawczy i niestrudzony w poszukiwaniach, da sobie folgę i pomknie śmiałym lotem. Tutaj ma on większą nawet swobodę, gdyż delikatny organ ów nadaje się specjalnie do zmian i modyfikacyj rozmaitych.

Pewna odmiana, nosząca miano *sarcanthus teretifolius*, nie zdolawszy widocznie wytworzyć mazi dostatecznie gęstej i szybko schnącej na powietrzu, celem przyklejenia mocno pyłku do głowy

owada, ominęła tę trudność, starając się zatrzymać ssawkę gościa jak najdłużej w ciasnym kurytarzyku, wiodącym do nektaru. Labirynt ów jest tak skomplikowany, że Bauer, zdolny rysownik Darwina, musiał złożyć broń i zrezygnował z utrwalenia go rysunkiem.

Niektóre odmiany, wychodząc z założenia, że każde uproszczenie jest postępek ku doskonałości, porzuciły zupełnie wytwarzanie nektaru, i ostroga ich zanikła. Zastąpiły ją wyrostkami dziwacznymi, mięsistymi i widocznie smacznymi, bowiem owady gryzą je chciwie. Nie potrzebujemy dodawać, że wyrostki te są umieszczone w ten sposób, iż raczący się nimi gość musi wprawić w ruch cały mechanizm.

## XXII.

Nie zatrzymując się na wvliczaniu tysięcznych drobnych chytrostek i podstępów, zakończymy baśń o storczykach skreśleniem obyczajów odmiany zwanej *coryanthes macrantha*. Niewiadomo tu już, z jakim rodzajem tworu mamy do czynienia. Zdumiewający storczyk ten wymyślił rzecz następującą: wargę dolną, czyli *labellum*, tworzy rodzaj wiaderka, w które padają ustawicznie krople czystej niemal wody, wydzielane przez dwa rożki umieszczone powyż, gdy zaś wiaderko

to napelni się w połowie, woda wycieka z jednej strony rynienką. Sama ta instalacja hydrauliczna zdumiewa już, atoli to dopiero początek kombinacji przedziwnej, rzecz można, szatańskiej niemal. Płyn, wydzielany przez rożki, gromadzący się w wiaderku, nie jest nektarem i nie ma na celu przywabiania owadów, misja jego jest nierównie ciekawsza i odpowiada planom iście machiawelicznym kwiatu. Naiwne owady zwabia zapach słodkawy, wydzielany przez rogate wyrostki, o których wspominaliśmy już. Znajdują się one ponad wiaderkiem w rodzaju komnatki, opatrzonej dwoma otworami bocznymi. Nadlatuje wielka pszczoła (tylko największe owady zwiedzają olbrzymie kwiaty tego storczyka, zaś małe unikają go, jakby się wstydziły pokazywać w tak rozległym salonie) tedy wielka pszczoła siada na kwiecie i zaczyna gryźć wonne, soczyste wyrostki. Gdyby była sama jedna, po skończeniu uczt, wróciłaby spokojnie do ula, nie tknąwszy wiaderka z wodą, znamienia, ani pyłku. Ale mądry storczyk obserwował długo i dobrze obyczaje pszczół i wie, że jest to ludek liczny, chciwy i skrzętny, że zawsze latają tłumnie i że starczy w słonecznej chwili ciepłego dnia odrobiny zapachu rozwijającego się kwiatu, by zbiegły się ze wszystkich stron na ucztę przysposobioną

pod małżeńskim namiotem. Zaraz jawi się kilka miodziarek w komnatce, zawierającej słodycze. Miejsce to jest szczupłe, ściany jego śliskie, a pszczoły łapczywe i brutalne. Cisną się jedna przez drugą, popychają i zawsze któraś spaść musi do wiaderka zdradliwie podstawionego tuż pod stół biesiadny. Biedaczka zanurza się, kąpie należycie, zwilża skrzydełka i mimo wszelkich wysiłków nie może już odlecieć. Na to właśnie czyha kwiat przewrotny. Jedna jeno prowadzi droga z wiaderka, mianowicie przez rynnę, która odprowadza nadmiar wody. Jest ona dość obszerna, by się w niej zmieścił owad, którego grzbiet dotknąć przytem musi naprzód mazistej powierzchni znamienia, potem zaś również mazistej masy pyłku, czekającej nań u wylotu korytarza. Pszczoła wydostaje się w ten sposób obarczona lepkiem pyłkiem, wchodzi do kwiatu następnego i tam rozpoczyna się na nowo dramat uczty, bójka, upadek, kąpiel i ratunek, który z konieczności doprowadza do zetknięcia pyłku z chciwemi wargami znamienia.

Jak widzimy, storczyk ten zna i umie wykorzystać namiętności owadów. Nikt nie będzie chyba utrzymywał, że wszystko jest jeno romantyczną interpretacją faktów, bowiem każdy podany szczegół jest oparty na precyzyjnej obser-



wacji naukowej i niepodobna w sposób inny wytłumaczyć celowych urządzeń organicznych kwiatu. Musimy zgodzić się z rzeczywistością. Owa niepojęta, a tak skuteczna chytrłość tembardziej zdumiewa, że nie zmierza tu do zaspokojenia żądzy jądła, potrzeby bezwzględnej i nieodzownej, która wyostrza zawsze inteligencję najtępszą nawet. Idzie tu o ideał daleki, o utrzymanie i rozmnożenie gatunku.

I na cóż, spyta ktoś, wszystkie owe fantastyczne komplikacje, które zwiększają jeno niebezpieczeństwa przypadku? Nie bądźmy zbyt pochopni w wydawaniu sądów ostatecznych, nie znamy bowiem wszystkich racyj kwiatu. Czyż znane nam są przeszkody, na jakie natrafia? Czyż znamy dokładnie jedno bodaj prawo organiczne jego istnienia i wzrostu? Podobnie dziwiłby się ktoś, patrzący na nas z Marsa, że czynimy aż tak wielkie wysiłki i szukamy dróg tak trudnych by opanować powietrze. — Na cóż te wszystkie niekształtne przyrządy, te potworne balony, aeroplany, spadochrony? — pytałby — Czyż nie wystarczy poprostu przypiąć do ramion skrzydeł odpowiedniej wielkości?

### XXIII.

Naiwna nieco próżność człowieka czyni wszystkim tym dowodom inteligencji stale zarzut.

że chociaż kwiaty stworzyły cuda istotne, to cuda owe trwają niezmiennie i nie objawiają żadnej tendencji rozwoju. Każdy gatunek, każda odmiana posiada, mówią, swój system, a z pokolenia na pokolenie nie dostrzegamy w nim żadnych ulepszeń. Przyznać należy, że w ciągu lat pięćdziesięciu, bo od tak dawna trwają badania nasze, ani *coryanthes macrantha*, ani żaden z *Catasetydów* nie wymyśliły nowej sztuczki, czy pułapki. Tyle jeno stwierdzić możemy, a jest to, oczywiście, dowód zgoła niedostateczny. Wszakże nie dokonaliśmy doświadczeń najelementarniejszych i nie wiemy zgoła, jakby się zachował storczyk, sprawiający kąpiel pszczołom po latach, choćby stu, przeniesiony w zgoła inne warunki, w okolice, gdzie żyją nieznanne mu dotąd owady. Cóż dopiero mówić o próbach na większą skalę?

Zresztą mylimy się bardzo, nadając nazwy gatunkom i odmianom, gdyż w ten sposób stwarzamy zgoła sztuczne i fantastyczne typy. Istnieją one w głowie naszej jeno, choć wydają się stałe. Prawdopodobnie mamy przed sobą poprostu różnych przedstawicieli tego samego kwiatu, którzy usiłują modyfikować z wolna swe organy, przystosowując je do danych okoliczności.

Kwiaty zjawily się na ziemi przed owadami, musiały przeto od czasu wystąpienia tychże do-

stosowywać się do obyczajów swych niespodzianych współpracowników i wytwarzać zgoła nowe urządzenia mechaniczne. Sam ten fakt, niezaprzeczalnie stwierdzony przez geologję, starczy, by uznać rozwój, a słowo to, nieco mętne, nie może oznaczać nic innego, jak analizę, przystosowywanie, modyfikowanie i celowy, świadomy postęp.

Nie uciekając się zresztą do owych prehistorycznych założeń, łatwo jest zgrupować wielką ilość faktów, świadczących, że zdolność przystosowania i postępu nie przysługuje wyłącznie rodzajowi ludzkiemu. W mojem „*Życiu pszczół*“ poświęciłem tej sprawie kilka rozdziałów, nie powtarzając ich tutaj, przypomnę jeno parę szczegółów dowodowych, tam zamieszczonych.

Pszczoły stworzyły ul, jednak w stanie dzikim, w macierzystym kraju dokonywają swych prac pod gołem niebem. Niepewny, surowy klimat i znaczna różnica pór roku naszej szerokości geograficznej naprowadził je na myśl ukrycia się w grocie skalnej, lub pniu drzewa. Ten genialny pomysł zwolnił od pracy wylęgania mnóstwa miodziarek dawniej unieruchomionych na plastrach i ogrzewających poczwarki. Zdarza się jednak nawet dosyć często, zwłaszcza na południu podczas wyjątkowo ciepłych lat, że powracają

do tropikalnych zwyczajów swych przodków. \*)

A oto inny przykład. Nasza czarna pszczoła, przesiedlona do Australji, albo Kalifornji, zmienia zupełnie swe obyczaje. Spostrzegłszy w drugim zaraz, lub trzecim roku, że lato trwa stale, a kwiatów nie brak nigdy, zaczyna żyć z dnia na dzień, poprzestając na zbieraniu nektaru i pyłku, starczącego na codzienny użytek. W ten sposób wyrozumowane doświadczenie osobiste bierze górę nad nawykiem dziedzicznym i zmienia cały tok życia pszczoły. Buchner cytuje na ten sam temat

---

\*) Właśnie, kiedy pisałem te słowa, pojawiło się sprawozdanie Bouviera (Spr. Akad. Umiej. z dnia 7. maja 1906) o dwu gniazdach pszczelich w Paryżu pod gołym niebem. Jedno znajdowało się na drzewie *Sophora japonica*, drugie na indyjskim kasztanie. To drugie zawieszona na małej, rozwidlającej się gałązce zwracało uwagę niewątpliwie inteligentnem przystosowaniem do okoliczności wyjątkowo trudnych. — Pszczoły (cytuję artykuł Parvilla na ten temat w paryskim *De b a t s* z 31 maja 1906) uciekły się do zbudowania belek wzmacniających i w sposób tak niezwykle poczynęły sobie, że zdołały powoli przemienić w trwały strop rozwidloną gałązkę kasztana. Człowiek zdolny nawet nie byłby tak dobrze sprawy załatwił. Celem ochrony przed deszczem zrobiły zasłony dachowate bardzo silne, oraz wprawiły w otwory stopy dla zabezpieczenia się przed słońcem. Trzeba koniecznie obejrzeć te dwa gniazda, znajdujące się obecnie w muzeum, by wytworzyć sobie należyte pojęcie o doskonałości architektury pszczelej i ich zdolności przystosowania się do okoliczności najtrudniejszych.

pewien fakt, świadczący o zdolności przystosowawczej pszczoły i to nie tylko w ciągu wieków, a więc fatalistycznej i nieświadomej, ale inicjatywy niezwłocznej i rozumnej. Oto pszczoły na wyspie Barbados zaprzestały całkiem nawiedzać kwiaty od chwili, kiedy powstały tam liczne cukrownie i przez cały rok mogą się żywić kradzioną ludziom słodyczą.

Przypomnę nakoniec nader zabawne dementi, jakie dały pszczoły dwu uczonym entomologom angielskim. Kirby i Spence żądali jako dowodu jednego bodaj faktu, gdzie pszczoły pod naciskiem konieczności zastąpiłyby wosk swych komórek oraz pierzęę innym materiałem budowlanym, n. p. gliną, czy wapnem, oświadczając w tym wypadku gotowość przyznania im zdolności rozumowania.

Zaledwo uczeni wyrazili to życzenie, zuchwałe zresztą i nierozsądne, inny uczony, Andrzej Knight uczynił ciekawe spostrzeżenie. Chcąc zalepić uszkodzenia kory drzew, sporządził on rodzaj cementu z wosku i terpentyny. Niedługo po zakitowaniu drzew zauważył, że pszczoły przestały zbierać pierzęę i zwróciły się do tej nowej, nieznannej substancji, której wielkie ilości znajdowały bez trudu w pobliżu swego domostwa. Ponadto bartnicy wiedzą dobrze, że w razie, gdy zbraknie

pyłku kwietnego, wystarczy rozsypać opodal ula kilka garści mąki, a pszczoły dorozumieją się zaraz, iż materiał ten odda im te same usługi i użyty być może zamiast proszku zawartego w pylnikach pręcików. Czynią to zaś, mimo że zapach, smak i kolor mąki są zgoła odmienne.

To, co przywiodłem na korzyść pszczół, może się, jak sądzę, stosować *mutatis mutandis* również do kwiatów. Starczyłoby poddać obserwacji i eksperymentom metodycznym, których profan, jakim jestem, dokonać nie może, rozliczne odmiany szalwji, a wynikłyby stąd niezmiernie interesujące wnioski odnośnie do jej przedziwnych wysiłków ewolucyjnych. Zanim to nastąpi, przytoczę pośród innych wskazówek spostrzeżenia Babineta nad różnemi odmianami zbóż. Uczony ten przekonał się, że rośliny te, przeniesione w odmienne zgoła warunki klimatyczne, dostrzegają zaszłą zmianę i dostosowują się do niej w sposób równie natychmiastowy i rozsądny, jak pszczoły. Zboże nasze, zasiane w najgorętszych okolicach Azji, Afryki i Ameryki, gdzie go zima nie niweczy corocznie, staje się z powrotem tem, czem było przed wiekami, w początkach swego istnienia, to znaczy rośliną trwałą, trawą, podobną do rosnącej na gazonach. Jest ciągle zielone i rozmnaża się przez korzenie, nie tworząc kłosa ni ziarna. Prze-

siedlone w czasach niepamiętnych ze swej dzikiej, tropikalnej ojczyzny w nasze zimne, lodowe okolice, musiało porzucić niezwłocznie odziedziczone nawyki i wynaleźć nowy sposób utrzymania i rozmnażania gatunku. Babinet powiada: — Organizm rośliny przeczuł, cudem jakimś niepojętym, konieczność przejścia przez stan ziarna, by nie wyginąć doszczętnie podczas mroźnej pory roku.

#### XXIV.

Sądzę, że gdyby w jednym bodaj przypadku stwierdzono akt rozwoju intelektualnego poza ludzkością, fakt ten starczyłby w zupełności dla usunięcia raz na zawsze zarzutu, o jakim mówiliśmy powyżej. Pomijając jednak przyjemność odparcia argumentu nieuzasadnionego zgola i wynikającego z pychy ludzkiej, musimy przyznać, że cała kwestja osobistej inteligencji kwiatów, owadów, czy ptaków jest w gruncie dosyć blaha. Jakież znaczenie mieć może dla nas jeśli ktoś powie, że to nie storczyk ani pszczoła, nie roślina i owad, ale sama przyroda liczy, kombinuje, odkrywa, rozumuje? Ponad te szczegóły wznosi się kwestja nierównie wyższa, większej stokroć godna uwagi i badawczości. Idzie o ujęcie charakteru, cech, metod, a może nawet celu inteligencji ogólnej, z której wylaniają się wszystkie akty rozumne,

zachodzące na ziemi naszej. Z tego to właśnie i wyłącznie z tego tylko względu najbardziej pociągającym badaniem, jakie istnieć może, jest studjum mrówek, pszczół, kwiatów, to znaczy istot, w których, poza człowiekiem, przejawia się istnienie owej siły twórczej.

Reasumując wszystko, cośmy powiedzieli, dochodzimy do wniosku, że tendencja i metody intelektualne są u storczyków co najmniej tak złożone, skomplikowane, tak daleko posunięte, a zarazem tak oczywiste, jak u błonkoskrzydłych, żyjących w zespole socjalnym. Dodać należy, iż nie znamy wielkiej liczby motywów, racyj, oraz logiki tych ruchliwych owadów, z którymi doświadczenia są tak trudne, a natomiast rozumiemy z łatwością wszystkie motywy, racje i całe, ciche, konsekwentne, mądre rozumowanie kwiatu.

## XXV.

Cóż tedy dostrzegamy w królestwie kwiatów, chwytając na uczynku naturę, inteligencję powszechną, czy genjusz świata, gdyż o nazwę nam nie idzie wcale? Rzuca nam się w oczy dużo faktów, których pomieścić w tak małym szkicu nie sposób, w pierwszej zaś linii stwierdzamy ponad wszelką wątpliwość, że idea piękna, radości życia, środki czarowania, oraz upodobania este-



tyczne kwiatów zbliżone są bardzo do naszych. Niezawodnie ściślejsem byłoby twierdzenie, że nasze poglądy są podobne do zapatrywań kwiatów. Jest to rzecz zgoła niepewna, czy zdołalibyśmy sami przez się odkryć piękno, będące wyłącznie naszą własnością. Wszystkie nasze motywy architektoniczne i muzyczne, całą harmonję barw i światła, słowem wszystko zaczerpnęliśmy z przyrody. Nie wspominając morza, gór, firmamentu, nocy, zmierzchu, czegóżby na przykład powiedzieć nie można o pięknie drzew? Nie mam na myśli drzew w pojęciu lasu, będącego jedną z wielkich potęg ziemi, głównem może źródłem naszych instynktów i odczuwania wszechświata, mówię o drzewie samotnem, które na zielonej wiecznie głowie starca dźwiga tysiące pór roku. Któż z nas nie chowa w pamięci wspomnienia kilku bodaj pięknych drzew, pośród wrażeń, tworzących, choć tego nie wiemy, ową toń przeźroczą, ową istotną głębię szczęścia i pokoju życia całego? Wraca do wspomnień nader prostych człowiek, który przeżył połowę dni swoich i stanął u kresu porv zachwyków, człowiek, który wyczerpał wszystkie niemal dary sztuki, genjuszu, kultury wieków i ludzi, a potem rozmyślał, porównywał i wyciągał wnioski. Wspomnienia owe to dwa, czy trzy czyste, niewinne obrazy, rysujące się na

niepokalanem niebie, niezmiennie, wieczyście świeże, a tak ponętne, że pragnęłoby się zabrać je na sen ostatni, o ile prawdą jest, że obraz może przekroczyć próg, dzielący dwa nasze światy.

Nie mogę sobie wyobrazić rajy, ni życia poza grobem tak wspaniałego, tak cudownego, by nie był mu prawdziwą ozdobą wspaniały buk z Saint-Baume, cyprys, pinja florentyńska, lub sosna skromnego dworku tuż pod moim domem, będąca przechodniom pierwowzorem majestatycznych ruchów, koniecznej odporności, spokojnej odwagi, rozmachu, powagi bezsłownego zwycięstwa i wytrwałości.

## XXVI.

Odszedłem zbyt daleko od tematu, chciałem zaś powiedzieć jeno, że przyroda, wydając kwiat, chce być piękną, podobać się, rozweselać i pokazać, że umie być szczęśliwą, czyli czyni dokładnie to samo, co czynilibyśmy sami, mając do dyspozycji jej skarby. Zdaję sobie sprawę, że słowa moje przypominają owego biskupa, który wyrażał podziw dla Opatrzności, sprawiającej, iż wszystkie wielkie rzeki przepływają w pobliżu wielkich miast, ale nie sposób ujmować tych rzeczy inaczej jak z ludzkiego stanowiska. Trwając na niem dalej, stwierdzić musimy, że, nie znając kwiatów, mielibyśmy nader mało znaków i wyrażeń dla okre-

ślenia szczęścia. Chcąc należycie ocenić potęgę ich piękna i wesela, trzeba żyć w kraju, gdzie panują niepodzielnie, to jest w Prowancji, gdzie piszę te uwagi moje. Tutaj kwiat jest jedynym władcą łąk i pól. Wieśniacy zatracili tu zwyczaj uprawy zboża, zupełnie jakby mieli zaspakajać potrzeby jakiejś ludzkości subtelniejszej, żyjącej rozkoszą zapachu i ambrozją. Pola to jedna fala kwietna, odnawiająca się w coraz to innej postaci, a wonie zmieniając się ciągle, tańczą jakby sarabandę wokół pór roku. Anemony, lewkonje, mimozy, fiołki, gwoździki, narcyzy, hiacynty, żonkile, rezedę, jaśminy, tuberozy, pełnią dni i noce, miesiące zimy, lata, wiosny i jesieni. Najwspanialszy jednak okres, to władztwo róż majowych. Wówczas, jak okiem sięgnąć, wszędzie, po stokach wzgórz, po rozłogach dolin, pośród tam, przez winnice i gaje oliwne przelewają się fale kwietnego morza, z pośród których sterczą jeno szczyty domów i drzew, a barwa onych fal jest tą właśnie, jaką połyska młodość, radość i zdrowie. Zapach gorący i rzeźwy zarazem, rozkoszny, otwierający zda się bramy nieba, płynie jakby wprost z praźródła szczęśliwości. Drogi i ścieżki wycięte są w samym, rzec można, puchu kwietnym. Ma się wrażenie, że po raz pierwszy w życiu daną nam została dostatecznie wielka i szczytna wizja szczęścia.

XXVII.

Nie schodząc ze stanowiska człowieczego i trwając dalej w koniecznej złudzie, dorzucimy uwagę drugą do pierwszej; będzie ona ogólniejsza, a przytem nie tak ryzykowna i brzemienna w skutki. Oto, zdaniem mojem, genjusz ziemi, będący prawdopodobnie zarazem genjuszem całego świata, zachowuje się w walce o byt zupełnie podobnie do człowieka. Stosuje te same metody i posługuje się tą samą logiką. Osiąga cel środkami, jakich się imamy, idzie omackiem, waha się, zawraca, zaczyna po kilka razy jedno, dodaje szczegóły, eliminuje je, poznaje i naprawia błędy, słowem czyni wszystko, co mybyśmy czynili na jego miejscu. Dalej czyni on wysiłki, z trudem robi powolne, drobne odkrycia i wynalazki, zupełnie jak inżynierowie i robotnicy po pracowniach. Ponadto walczy, jak my, z ciężką, ogromną, ciemną i bezwładną materją własnego jestestwa. Równie, jak my, nie wie dokąd zdążyć, szuka siebie samego i odnajduje powoli i potrochu. Ideał jego często mętny jest, ale dostrzec w nim można mnóstwo wielkich dróg, zmierzających stromo ku wyżom życia płomienniejszego, bardziej rozczłonkowanego, nerwowszego i bardziej uduchowionego. Materjalnie dysponuje środkami nieograniczonemi, zna tajemnicę sił cudownych, która nam jest za-

kryta, ale intelektualnie, rzecz można, tkwi ściśle w tej samej co my sferze, bowiem dotąd nie stwierdziliśmy, by przekroczył jej zakres. Jeśli zaś nie czerpie nic z poza tych granic, czyż nie znaczy to jednocześnie, iż niema tam co czerpać, że „tam“ niema wogóle nic? Tak, jest to dowodem oczywistym, że metody ludzkie są jedynymi możliwymi metodami, że człowiek nie pomylił się, że znajduje się na dobrej drodze, że nie jest ani wyjątkiem, ani potworem, ale istotą, przez którą płyną i w której się przejawiają najpotężniej wielkie moce i wielkie pożądanja wszechświata.

### XXVIII.

Punkty wytyczne świadomości naszej wynurzają się z ciemności zwolna i bardzo skąpo. Nie starczy dziś już może dla porównania ów słynny obraz Platona, owa grota, na której ścianach majaczą niepochwytnie cienie zjaw nieznanych. Jeśli jednak zmodernizujemy ową alegorię, nie stanie się bardziej pocieszającą. Wyobrazić sobie możemy jeno, że grota owa rozszerzyła się dziś znacznie, ale mimo to dotąd nie przeniknął do niej ni jeden nawet promień słońca. Poza światłem wyposażono ją we wszystkie zdobycze cywilizacji współczesnej, a ludzie żyją tam od urodzenia jako więźniowie. Nie żałują światła,

albowiem nie widzieli go nigdy, nie są ślepi. Oczy ich nie zagasły, tylko, nie mając na co patrzeć, przeistoczyły się prawdopodobnie w najczulszy organ zmysłu dotyku.

Chcąc wyrozumieć ich ruchy i czyny, wyobraźmy sobie tych nieszczęsnych, pogrążonych w ciemni, otoczonych mnóstwem przedmiotów nieznanych. Ileż dziwnych pomysłów, zboczeń niepojętych, tłumaczeń nieprzypuszczalnych! Najbardziej wzruszającym byłby widok wytrwałych, genialnych nieraz wysiłków dostosowania do użytku codziennego rzeczy nie stworzonych dla ciemności. Ileż męki mieściłoby się w pościgu za drogą właściwą i jakiemże byłoby ich zdumienie, gdyby naraz światłość słońca objawiła im rzeczywiste przeznaczenie narzędzi i aparatów, któremi o ile można najlepiej posługiwali się w niepewności nocy?...

Tragiczny to obraz, a jednak sytuacja tych ludzi wydaje się jasną i łatwą w porównaniu z położeniem naszym. Tajemnicza ciemność, w której chodzą omackiem, posiada ściśle określone granice. Pozbawieni są jednego jeno zmysłu, podczas kiedy oznaczyć niepodobna ilości brakujących nam narządów poznania. Przyczyna ich błędów jest tylko jedna, zaś przyczyn pomysłów naszych nikt zliczyć nie jest w stanie.

Skoro już żyjemy w jaskini tego rodzaju, stwierdzić winniśmy, że siła, która nas w niej uwięziła, działa często jak my sami działamy, zwłaszcza gdy idzie o rzeczy ważne. Skonstatowanie tego faktu, to rodzaj światełka w naszym podziemiu, przy którego blasku spostrzegamy, że nie pomyliliśmy się w stosowaniu przedmiotów tam nagromadzonych, zaś kilka promieni światełka tego przyniosło nam w darze owady i kwiaty.

## XXIX.

Uniesieni głupią pychą, przez czas długi trwaliśmy upornie przy wierze, iż jesteśmy twórami cudownymi, jedynymi i specjalnie uprzywilejowanymi, które spadły na ziemię prosto z nieba, a przeto nie mają nic wspólnego z resztą życia. Uważaliśmy się za posiadaczy uzdolnień niesłychanych, niezrównanych, prosto potwornych. Okazało się jednak później, że korsztniejszem jest nie zaliczać się do cudów, albowiem przekonaliśmy się, że wszelkie cuda rozplywają się bez śladu w normalnej ewolucji natury. Bardziej pocieszającą jest myśl, że kroczymy tą samą drogą co całokształt świata, że posiadamy te same idee, nadzieje, a nawet i uczucia, o ile pominiemy nasze specyficznie ludzkie marzenia na temat sprawiedliwości i mi-

łosierdzia. Uspakaja wielce owa pewność, że dla naprawy losu, dla zużytkowania sił, wykorzystania sposobności, lub obrócenia na swą korzyść praw materji, używamy środków ściśle tych samych, jakich używa przyroda dla uświadomienia i uporządkowania dziedzin nieopaniowanych i ciemnych. Dobrze jest także wiedzieć, że niema środków innych, że mamy rację, że zajmujemy właściwe stanowisko, oraz, że domem naszym jest wszechświat utworzony z substancyj nieznanych, których jednakże idea twórcza nie jest nieprzenikalna i obca, ale przeciwnie analogiczna z naszą i do niej podobna.

Możnaby się naprawdę bać i tracić otuchę, wówczas, gdyby przyroda wiedziała wszystko, nie popełniała omyłek, gdyby okazywała się doskonałą i nieomylną we wszystkich przedsięwzięciach swoich, a zwłaszcza, gdyby wszędzie przejawiała inteligencję niewspółmiernie wyższą od naszej. Mielibyśmy prawo uważać się za ofiary, za łup potęgi wyższej, bez jakiegokolwiek nadziei poznania jej i zmierzenia. Daleko lepszą rzeczą jest dojść do przekonania, że potęga ta, przynajmniej pod względem intelektualnym, jest blisko spokrewniona z nami. Umysł nasz czerpie z tychże samych co ona źródeł. Jesteśmy istotami z tego samego świata, a przeto znajdujemy się



pośród równych sobie. Nie stajemy już do walki z niedostępnymi bóstwami, jeno z okrytymi coprawda zasłoną, ale mimo to braćniemi siłami, które należy poznać, a potem pokierować niemi.

### XXX.

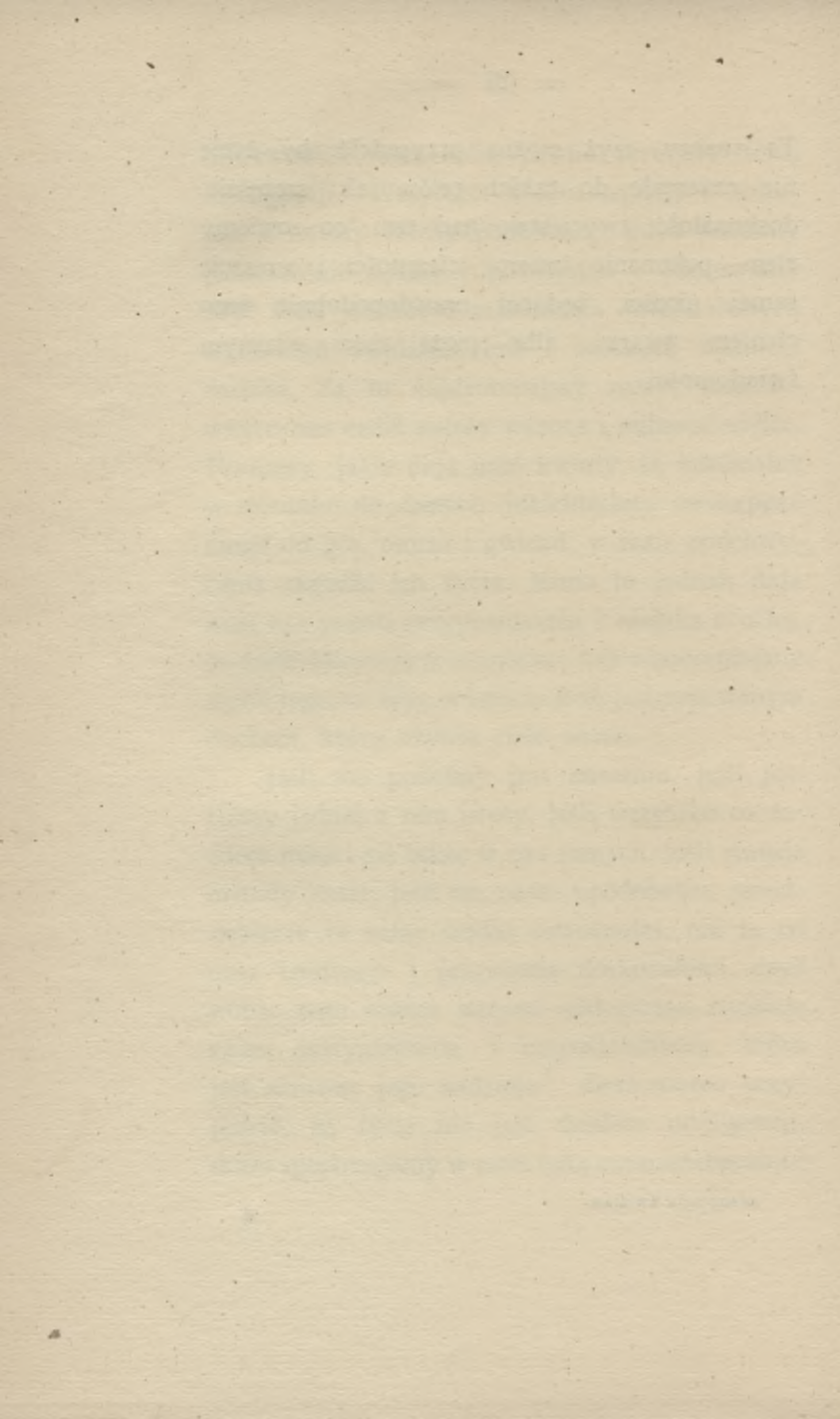
Nie będzie, zdaniem mojem wielką zuchwałością twierdzić, że niema istot mniej i więcej inteligentnych, jeno, że istnieje inteligencja kosmiczna, rodzaj fluidu wszechświatowego, przenikającego napotykanie istoty w stopniu rozmaitym, stosownie do tego, czy są dobrymi, czy złymi przewodnikami ducha. Do tej pory, na ziemi naszej istota ludzka jest formą bytu najmniej oporną na działanie owego fluidu, nazywanego boskim przez rozmaite religje. Nerwy nasze to przewody, któremi rozchodzi się ta nad wyraz subtelna elektryczność. Zwoje naszego mózgu stanowią coś w rodzaju cewki indukcyjnej, wzmacniającej prąd, który jednakże sam co do istoty swej nie różni się wcale od prądu, przepływającego przez kamień, gwiazdy, kwiat, czy zwierzę i nie pochodzi z odmiennego źródła.

Tajemnic tych badać niema celu narazie dlatego, ponieważ nie posiadamy dotąd organu, którymby uchwycić można odpowiedź. Zadowolnijmy się przeto tym faktem, żeśmy za-

obserwowali poza sobą pewne przejawy tejże inteligencji. Wszystko co dostrzegamy w sobie, jest z natury rzeczy podejrzane, gdyż jesteśmy jednocześnie sędzią i pozwanym i odczuwamy zbyt silną skłonność zaludniania świata naszych wyobrażeń zwidami złud i uroczych mamideł nadziei. Za to najdrobniejszy nawet ślad zewnętrznie nas cenić należy wysoce i miłować wielce. Przejawy, jakie dają nam kwiaty, są minimalne w stosunku do danych, jakichbyśmy zaczerpnąć mogli od gór, morza i gwiazd, w razie podchwycenia zagadki ich życia. Mimo to jednak dają nam one prawo przypuszczania z niejaką otuchą, że duch, ożywiający wszystko, lub odszczepiający się od tego, co żyje, w istocie swej jest tym samym duchem, który ożywia ciało nasze.

Jeśli zaś podobny jest naszemu, jeśli jesteśmy jednej z nim istoty, jeśli wszystko co zawiera mieści się także w nas samych, jeśli stosuje metody nasze, jeśli ma nasze upodobania, przedsięwzięte te same środki ostrożności, ma te co nasz tendencje i pragnienia doskonałości, czyż wobec tego można nazwać nielogiczną nadzieję naszą instynktowną i nieposkromioną, która jest zarazem jego nadzieją? Czyż można przypuścić, że życie nie jest dziełem inteligencji, skoro spostrzegamy w niem taką masę inteligencji?

To znaczy, czyż można przypuścić, by życie nie zmierzało do takich celów jak: szczęście, doskonałość, zwycięstwo nad tem, co zowiemy złem, pokonanie śmierci, ciemności i wreszcie samej nicości, będącej prawdopodobnie jeno cieniem twarzy, albo może snem własnym świadomości.



WOŃ KWIATÓW.



Mówiliśmy do tej pory o inteligencji kwiatów, teraz jest rzeczą słuszną rzec słowo o woni, będącej ich duszą. Niestety, podobnie jak się dzieje, gdy mowa o duszy ludzkiej, owej woni innej sfery, w której skąpana jest świadomość człowieka, natrafiamy zaraz w zaczątkach na rzeczy niepoznawalne.

Nie wiemy wcale, jakie ma przeznaczenie owa czarowna, upojna, a niedostrzegalna woń, wydzielana przez koronę kwiatu. Jest więcej niż wątpliwem, by służyła głównie za przynętę dla owadów. Przedewszystkiem, większa część najwonnejszych kwiatów właśnie obywa się całkiem bez krzyżowania, tedy wizyta pszczoły, lub motyla jest im zgoła niepotrzebna, a nawet przykra. Powtóre, owady pożądamy samego jeno nektaru i pyłku dla fabrykacji miodu i pierzgi, a obie te substancje są bezwonne. Dlatego też owady unikają najrozkoszniej pachnących kwiatów, jak róż i goździków, a obsiadają tłumnie klony i leszczynę, których woń jest nader słaba.

Musimy tedy przyznać, że nie wiemy na co woń pożyteczną może być kwiatom, jak również nieznaną nam jest przyczyna odczuwania przez nas zapachu. Powonienie jest to zmysł dotąd nic zbadany. Nie ulega wątpliwości, że wzrok, słuch, dotyk i smak są niezbędne dla normalnego funkcjonowania całokształtu naszego organizmu. Ale dopiero długie wychowanie wiekowe nauczyło nas, jak się mamy rozkoszować bezinteresownie kształtami, barwami i dźwiękami. Powonienie spełnia zresztą równie ważne czynności, jest kontrolerem powietrza, którem oddychamy, jest higienistą i chemikiem, czuwającym troskliwie nad jakością pożywek, które mamy przed sobą, albowiem woń nieprzyjemna świadczy o obecności podejrzanych lub niebezpiecznych wprost zarzków. Ale obok tych praktycznych celów powonienie odznacza się cechami, nie posiadającymi żadnego realnego odpowiednika. Wonie najrozmaitsze nie mają żadnego znaczenia dla naszego życia fizycznego, a gdy trwają za długo, lub są zbyt skoncentrowane, przemieniają się w zabójczą truciznę. Mimo to jednak radują nas i niosą nam jakąś dobrą wieść, witaną z takim zapalem, jakby szło o odkrycie smacznego owocu, lub orzeźwiającego napoju. Owa właśnie bezpożyteczność zwraca uwagę naszą na problem



woni. Musi się w tem kryć jakaś miła tajemnica, gdyż tu po raz pierwszy dopiero przyroda raczy nas całkiem darmo czemś miłym, nie będącym przyozdobą nastawionej pułapki, konieczności, ani też wabikiem w samotrzask. Powonienie to jedyny zmysł luksusowy narzucony nam przez przyrodę. Wydaje się, że jest niemal obcy ciału naszemu i nie związany z niem ściśle. Jest że to narząd rozwijający się, czy też organ, który zanika? Czy zdolność ta budzi się w nas, czy zasypia? Wszystko przemawia za tem, że zostaje w ścisłym stosunku do cywilizacji naszej. Starożytni nie interesowali się specjalnie zapachami subtelnymi, lubując się jeno w woni ciężkiej, brutalnej, mocnej, dlatego też używali piżma, benzoesu, miry, kadzidła, zaś o zapachach kwiatów rzadko jeno wspominają poematy greckie, łacińskie, oraz literatura hebrajska. Czyż po dziś dzień przyjdzie na myśl chłopu naszemu, nawet w chwilach wywczasu zupełnego, wachać fiołki, lub róże? A przeciwnie mieszkaniec miasta, spostrzegłszy kwiat, natychmiast podnosi go do nosa. Możemy tedy przypuścić, że powonienie jest to zmysł, który zjawił się ostatni na ziemi, jedyny może nie znajdujący się na drodze „uwstecznienia“, jak powiadają biologowie. Z tego powodu więc winniśmy się doń przywiązać,

badać go i pielęgnować wszelkie możliwości, jakie nasuwa. Jakążby nam sprawił niespodziankę, gdyby osiągnął n. p. doskonałość wzroku, jak to się stało u psa, który odbiera równie silne wrażenia węchowe, jak wzrokowe!

Znajdujemy się na terytorjum niezbadanem dotąd wcale. Tajemniczy ten zmysł wydaje się na pierwszy rzut oka zgoła obcym naszemu organizmowi, a jednak po bliższem wniknięciu w sprawę, widzimy, że przenika go tak jak żaden inny. Wszakże jesteśmy przedewszystkiem istotami powietrznymi. Powietrze to żywioł dla nas najniezbędniejszy, absolutnie konieczny, a powonienie jest jedynym zmysłem, który nam daje o niem jakieś określone wieści. Woń będąca klejnotem, wykwitem żywiciela naszego, powietrza, powstała nie bez słusznego powodu. Nie powinniśmy nas wcale dziwić, gdyby się okazało, że ten niepojęty zbytek odpowiada czemuś najistotniejszemu i czemuś najskrytzszemu zarazem naszego organizmu, że przeto jest raczej wyrazem rzeczy, których dotąd niema, niż, rzeczy które już zagięły. Możliwem jest, że zmysł ten jedyny, sięgający w przyszłość, ujmuje dziś już najważniejsze przejawy tej formy, czy tego szczęsnego i zbawczego stanu materji, który na przyszłość ma dla nas mnóstwo niespodzianek.

Na razie zajmuje się on spostrzeżeniami najgrubszymi, najmniej subtelnymi i ledwo domyśla się, pomagając sobie wyobraźnią, owych harmonijnych emanacyj, otaczających nimbem woni wielkie przejawy atmosfery i światła. Podobnie jak zaczynamy powoli ujmować woń deszczu, czy zmroku, będziemy zapewne w stanie kiedyś pochwycić woń śniegu, lodu, rosy porannej, przeblasków świtu i jaśnienia gwiazd. Wszystko wydzielać musi woń jakąś dotąd nieznaną, przestrzeń, promień księżyca, szmer strumienia, chmura płynąca, lub uśmiech lazuru nieba.

\*

Przypadek, a raczej los zawiódł mnie w czasach ostatnich do miejscowości, gdzie rodzą się i wytwarzają wszystkie niemal wonie Europy. Wiadomo jest każdemu chyba, że na skrawku przelśnionej słońcem ziemi, ciągnącym się od Cannes do Nicei każda piędź gruntu, najmniejsza dolina i wzgórek, wie dzie bohaterską walkę z ordynarnymi, z syntezy chemicznej powstałymi perfumami, które są czemś jakby malowane, teatralne dekoracje, przedstawiające krzaki i łąki w porównaniu z lasem, borem, niwą i rozłogiem pól.

Praca wieśniaka unormowana jest tu wedle kalendarza wyłącznie kwiatowego, którego naj-

ważniejszym czasokresem jest maj i czerwiec, kiedy to panuje para władców: róża i jaśmin. Wokoło tej przepięknej pary, ubranej w szaty jutrzenki i biel gwieździstą, tłoczą się od stycznia do grudnia niezliczone, szybko przemijające fiołki, tłumne żonkile i skromne narcyzy, bujne mimozy, rezedy, wonne goździki, wspaniałe geranie, pomarańczowe kwiecie, srogie w dziewictwie swoim, lawenda, janowiec hiszpański, oszałamiająca tuberoza, oraz kasja, rodzaj akacji o kwiecie podobnym do liszki pomarańczowej barwy.

Zdziwienie ogarnia, gdy się widzi, jak zażywni, barczyści, ciężcy chłopi, skutkiem mozolnej pracy rolnej zubożeli, zazwyczaj wszędzie indziej na powab uśmiechów życia, biorą się i to na serjo do zajęcia kwiatami, jak się wysilają na delikatne traktowanie kruchych lodyg, jak to pełnią funkcje pszczół, czy naśladują księżniczki, jak uginają się pod brzemieniem fiołków i żonkilów. Najsilniejsze jednak wrażenie odnosi się rankiem, lub też wieczorem w okresie kwitnienia róż i jaśminu. Wówczas wydaje się, że zmienionem zostało nagle powietrze, że ustąpiło miejsca onej cudownej atmosferze, której woń nie jest jeno przelotnem, nikłym zjawiskiem, ale stałym, koniecznym, normalnym i określonym składnikiem.

\*

Ktokolwiek kreślił obraz Grassu i jego okolicy musiał, jak sądzę, opisać dziwny przemysł tej miejscowości, przemysł, rzec można, baśniowy, rajski, który wprawia w ruch umysły i ręce wszystkich mieszkańców miasta, tkwiącego u podnóża góry, niby ul, oblany złotymi promieniami słońca. Niejednokrotnie opisywano już zapewne owe karawany wozów, wysypujące ładunek róż u progu fabryk, buchających dymem, owe obszerne sale, w których sortowniczkę pływają dosłownie po falach kwiatów, oraz mniejsze nieco, lecz cenniejsze jeszcze kopce fiołków, tuberoz, kasji i jaśminu, piętrzące się w koszykach, niesionych na głowach przez wieśniaczki.

Opowiadano niezawodnie, jak to różnemi metodami, stosownie do gatunku kwiatu, wdziera się najistotniejszą cząstkę ich serca, celem zamknięcia jej w kryształowym flakonie. Wiemy, że, na przykład, róże uprzejmie i chętnie oddają swój aromat, nie zmuszając do manipulacyj skomplikowanych. Pakuje się je w kotły, większe od lokomotyw pospiesznych pociągów i traktuje parą wodną. Pod jej wpływem oddziela się drogocenny olejek, od pereł kosztowniejszy, i kropla po kropli ścieka do małych, wąskich naczyń szklanych u spodu aparatu dystylacyjnego umie-

szczonych, co wygląda, jakby potwór jakiś ogromny  
rodził z mozolem krople ambry.

Inne kwiaty nie oddają tak łatwo w niewolę  
swej duszy. Trudno tu wyliczać wszystkich,  
rozlicznych tortur, któremi zmusza się je do od-  
dania skarbów, skrywanych rozpacznie we wnętrzu  
korony. Starczy wspomnieć o zaciekłości kata  
i upornym oporze ofiar przy stosowaniu ekstrakcji  
na zimno takich kwiatów jak żonkile, rezeda,  
tuberoza i jaśmin. Przy tej sposobności pod-  
kreślamy, że zapach jaśminu jest jedynym, któ-  
rego naśladować się nie da przez umiejętne mie-  
szanie zapachów innych.

Na wielkich płytach szklanych kładą grubą  
wartwę tłuszczu, przykrywają ją warstwą kwiatów  
i przy pomocy przeróżnych manipulacyj, dopro-  
wadzają do tego, że wonny olejek przechodzi  
w tę masę. Jak się to dzieje, nie sposób tutaj badać,  
dość że biedne kwiaty, pozbawione wszystkiego,  
zrzucone zostają na śmietnik a tłuszcz przykrywa  
warstwa nowa. W ten sposób torturowane, padają  
ofiara masami i w przeciągu trzech miesięcy  
chciwy tłuszcz wysysa dziewięćdziesiąt generacyj,  
aż dopóki, nasycony zupełnie aromatem, nie od-  
mówi pożerania nieszczęśników.

Ponieważ fiołki opierają się łapczywości  
tłuszczu zimnego, przeto poddane bywają ponadto

mękom ognia. Topi się smalec wieprzowy w łaźni parowej, a wrzucone weń te kwiaty wiośniane, tracąc siłę oporu oddają swe skarby. Gorący tłuszcz wchłania, zanim się nasyci, cztery razy tyle fiołków, ile wynosi własna jego waga, a haniebne owe procedery trwają przez cały czas kwitnienia fiołków w oliwnych gajach.

Nie kończy się na tem dramat, albowiem teraz fabrykant przystawia nóż do gardła tłuszczu zimnego, czy gorącego i zmusza go, by oddał skarb, utajony w wnętrzu swego bezkształtnego ordynarnego cielska. Dokonać tego niełatwo, ale tłuszcz obarczony jest nałogiem, który go doprowadza do zguby. Oto dają mu tyle alkoholu, aż straci przytomność i puści z pazurów zdobycz. Alkohol staje się teraz posiadaczem klejnotu, ale nie na długo, musi go bowiem oddać, przyczem sam doznaje porażki. Odparowują go, kondensują, usuwają i wkońcu, po tylu najrozmaitszych przejściach otrzymuje się płynną perłę, czystą, niepokalaną, niewyczerpaną, wieczną niemal i umieszcza się ją w szczelnie zamkniętej ampulce z kryształu.

Pomijam tutaj inne procedery chemiczne ekstrakcji, jak np. metodę wytrawiania naftą, eterem, siarczkiem węgla itd., albowiem wielcy

fabrykanci perfum z Grassu, wierni tradycji, gardzą temi sztucznemi i nikczemnymi niemal metodami, dającemi perfumy o zapachu ostrym, a raniącemi przytem dotkliwie duszę kwiatu.



*MIARA CZASU.*

WARRA CASE

Lato, to pora szczęścia. Nauczmy się korzystać rozkosznie. pełną piersią, z całą swobodą z owych chwil radosnych roku, o których w ciągu zimy marzą drzewa, łąki, góry i cała przyroda. Ów okres uprzywilejowany domaga się miary szlachetniejszej, dostojniejszej, wyższej niż miara stosowana do godzin zwykłych, szarych i pospolitych. Zawrzyjmy owe świetliste momenty w czarach wspaniałych, odświętnych, przejrzystych, zrobionych z tejże samej promienistej substancji, jaką zawrzcę mają, pod bnie jak cennego wina nie nalewa się w szklanki pospolite dnia powszedniego, ale w przezyste, kryształowe czary albo puhary srebrne, zdobiące stoły w dzień uczt wielkich i pamiętnych.

\*

Jesteśmy już tak zorganizowani, że nie możemy osiągnąć świadomości życia, nie odczuwamy jego smutków, ani nie rozkoszujemy się jego momentami radosnymi, o ile nie mierzymy płynącego czasu, nie liczymy owej monety, której

dojrzeć nie jesteśmy w stanie. Czas nie ucieleśnia się nam, nie staje dostrzegalnym, nie nabiera wartości, o ile nie przepływa przez skomplikowany aparat, jaki wynaleźliśmy po to, by go unaocznnić i uczynić konkretnym. Nie posiadając sam przez się istnienia, przyjmuje cechy, ton i kształt instrumentu, który mu formę nadaje. Minuta, którą wyszemrze nasz kieszonkowy zegarek, wygląda zgoła inaczej niżli minuta wyznaczona przez wielki wieżowy zegar katedry gotyckiej. Nie należy tedy odnosić się obojętnie do sprawy narodzin godzin naszych.

Wszakże w różnego kształtu szklanki nalewamy wino, stosownie do odcienia barwy jego i smaku, jakim czaruje nasze podniebienie, innego naczynia domaga się lekkie bordeaux, sytny burgund, orzeźwiająca wino reńskie, ciężkie porto, lub wesoly, swywolny szampan. Dlaczegożbyśmy nie mieli rozróżniać chwil życia naszego wedle tego, czy są pełne melancholji, bezwładu, czy radości? Przystoi, by miesiące pracy, dni zimowe, dni trosk, zajęć materjalnych; pospiesznej zabięgliwości, momenty niepokoju i trwogi znaczone były metodycznie w sposób właściwy, liczone i rejestrowane przez kółka i wskazówki stalowe na emaljowanych tarczach zegarów kominkowych, elektrycznych, pneuma-

tycznych, czy minjaturowych zegareczkach damskich.

Czas majestatyczny, władca ludzi i bogów, czas nieogarnięty, człowieczy kształt nieskończoności, jest z drugiej strony jeno uprzykrzonym owadem, gryzącym i drażącym z bezduszną wytrwałością życie pozbawione nadziei nieba i spoczynku. Co najwyżej w chwilach ukoju, wieczorem, przy świetle lampy, w krótkich momentach, skradzionych trosce o chleb, lub zakusom próżności, wolno majestatycznemu, spiżowemu wahałdłu marmurowego, okrytego bronzami, flamandzkiego zegara przeciągać i przybierać w odświętny kształt sekundy, poprzedzające nadejście poważnej nieuniknionej nocy.

\*

Jakże nam brak starożytniej, tajemniczej, cichej klepsydry, snującej piasek w godzinach nie obojętnych, ale naprawdę czarnych, w godzinach zniechęcenia, rezygnacji, choroby, cierpień, w czasie martwym życia naszego? Stała się ona dziś jeno obumarłym symbolem grobowym i widnieje, poza pomnikami cmenta za, jeno na malowidłach kościelnych o treści żałobnej. Odnajdujemy ją co najwyżej gdzieniegdzie w prowincjonalnych kuchniach w formie zwyrodniałej, gdzie

mierzy czas gotowania jaj na miękko. Wvszła z użycia jako instrument mierzenia czasu i figuruje jeno wraz z kosą w przestarzałych emblematkach, a jednak miała swe zalety i oddała nam znaczne przysługi. Była miarą, nie dającą się zastąpić bez uczucia wielkiego braku w godzinach pozbawionych radości, uśmiechu, uroczych niespodzianek i przyozdoby wszelakiej, kiedy myśl człowieka snuła się poprzez wieczystą omglę smutku w klasztorach, pobudowanych wokół cmentarzysk, otwierających swe podwoje i okna jeno na niepewne blaski płynące z poza rubieży tego świata. Nie podkreślała wówczas istnienia czasu, bo tonął on w piasku, mierzyła jeno jedno po drugim ziarnka różańca, liczyła zdrowaśki, bezmiar oczekiwania, strach i nudę. Minuty utożsamiały się z ziarnkami tegoż piasku, zdawały oderwane, odcięte od całokształtu życia, od nieba gwieździstego, od ogrodu, przestrzeni, a naczynko szklane klepsydry zamykało ten piasek, jak cela więżąca mnicha. Nie szło tam wcale o nazwę godziny, o jej byt swoisty, wszystkie bowiem grażyły się w piasku żalobnie, a znużona i otępiła myśl snuła się przy cichym, nieustannym ich spadku bezmiarami nicości i padała wkońcu niby popiół, łącząc się z popieliskiem śmierci.

Wśród baśniowych brzegów, kędy toczy się płomienna fala lata, lepiej, zda się, mierzyć świetlisty zalew płynących godzin w ten sposób, jak je wyznacza sama promienista gwiazda, będąca źródłem upojeń i wywczasów naszych. Czasu dni onych, jakby nieskończonych i nieuchwytnych, wierzę i utam jeno owemu rozdzielowi światła, jaki zaznacza samo słońce zapomocą cienia na marmurowej tarczy, widniejącej w ogrodzie tuż w pobliżu studni. Ono samo promieniami swemi w ciszy zupełnej zapisuje mijanie czasu, znacząc, jakby to była rzecz zgoła bez znaczenia, przelot światów po śródgwiezdnej przestrzeni. Ta bezpośrednia transkrypcja jest jedynie autentycznym wyrazem woli czasu, kierującej ruchem gwiazd, a zarazem naszymi marnymi godzinami ludzkimi, regulującymi porę jadła, oraz drobne czynności życia. Ta jeno miara posiada urok dostojenstwa, jest oddźwiękiem potęgi nieskończoności, ten jeno bezpośredni sprawdzian czyni urocznemi i świętymi poranki rozbłysłe rosą, a przemienia czas popołudniowy bezchmurnego lata w coś, co przypomina wieczność.

Znika niestety coraz to bardziej z ogrodów zegar słoneczny, jedyny, umiejący z należytem namaszczeniem kreślić dzieje promienistych, niepokalanych godzin. Napotykamy go dziś jeno

w podwórzach pałaców, po placach gry, kamiennych terasach, po starych miastach i opuszczonych zameczkach, gdzie pozłociste znaki na jego tarczy i wskazówki niszczą z wolna pod działaniem potęgi tego samego bóstwa, którego kult szerzył miał przez wieki.

Pozostały jednak wiernymi zegarowi słonecznemu Prowancja, oraz niektóre włoskie miasta, i widzimy tam często na zniszczonych fasadach, rozpadających się w zgoła swywolnej beztrosce, malowaną al fresco tarczę, na której promienie słońca znaczą starannie majestatyczny ruch jego. Widzimy tam naiwne, czy głębokie dewizy i napisy, znamienne jednak zawsze przez miejsce, na którym są umieszczone, oraz wysiłek włączenia krótkiego życia człowieczego w całokształt niepojętych zjawisk przyrody.

— Godzina sprawiedliwości nie bije na zegarze tego świata!

Tak głosi napis zegara słonecznego na wieży kościoła Tourette-sur-Loup, przedziwnej, niemal afrykańskiej wsi, w pobliżu mego domu położonej, która przez swe olbrzymie zwały skał, rozpadliny, agawy i figowce zdaje się być miniaturą jakiegoś Toledo, zmienionego w ruinę żarem słońca.

— *A lumine motus!* Porusza mną światłość!  
Taką wieść głosi inny zegar z dumą niezmierną.



— *A myddst ye flowers, I tell ye houres!*  
Liczę godziny wedle kwiatów!

Taki napis widnieje na marmurowej płycie starego stołu w pewnym ogrodzie.

Najpiękniejszą jednak, rzecz można, sentencję odkrył pewnego dnia w okolicach Wenecji Hazlitt, autor angielski, żyjący w początkach zeszłego wieku. Brzmi ona:

— *Horas non numero nisi serenas!* Znacze jeno jasne chwile!

O jakąż niszczącą potęgą jest smutek? Cień znika z słonecznego zegara, gdy słońce kryje się za chmury, a czas staje się bezmierną pustką, o ile przelotu jego nie stwierdzają momenty wesela, bowiem wszystko co nie raduje, zapada w otchłań zapomnienia.

Cóż za piękne słowa? Uczą nas, że liczyć należy jeno godziny przynoszące dary, że przywiązywać trzeba znaczenie jeno do uśmiechu, nie myśleć o przeciwnościach losu, ale tworzyć byt własny z momentów jasnych, miłych, patrzeć jeno na słoneczną stronę każdej rzeczy, czy zjawiska, a resztę zostawić wyobraźni niebaczonej i zapominającej łatwo.

\*

Zegar wahadłowy i zapomniana klepsydra znaczą godziny abstrakcyjne, nie posiadające

oblicza. Są to narzędzia zanemizowanego czasu, komnat naszych, czasów niewoli i bezwoli, natomiast zegar słoneczny to coś, co nam daje realny i żywy obraz skrzydła onego bóstwa, które unosi się w lazurze. Marmurowa płaszczyzna zegara słonecznego, zdobiąca terasę, lub plac, z którego rozbiegają się długie aleje, harmonizuje doskonale z majestatycznymi schodami, ujętymi w balustrady, z murami zielonych szpalerów, idącymi w głąb niesiężną, zda się i tam to zażywamy przelotnych, a niezapomnianych chwil radości. Ten, kto umie dostrzegać w przestrzeni kształty godzin onych, zobaczy, jak spływają nad ziemię i, pochylając się ku tajemniczemu ołtarzowi, składają ofiarę bóstwu, które człowiek czci, choć go pojąć nie może. Ujrzy je płynące w szatach różnych, zmiennych, uwieńczone owocami, kwiatami i brylantami rosy. Pierwsza jawi się przejrzysta jeszcze, ledwo widzialna godzina brzasku, po niej przybywają siostry, godziny południa, płomienne, okrutne, błyszczące, niewzruszone, a po nich nadpływają godziny zmierzchu, powolne, dostatnie, bogate, opóźniane w biegu swym ku nocy bliskiej przez zakrwawione purpurą cienie drzew.

\*

On jeno godzien jest mierzyć świetność miesięcy, mieniących się zielenią i złotem. Porówni

z wielkiem szczęściem niemy jest. Czas płynie ponad nim bezgłośnie, podobnie jak ponad sferami przestrzeni. Ale użycza mu czasem głosu spiżowego kościółek wiejski i wówczas nic nie dorównywa harmonji tętnienia dzwonu, złączonego z niemym gestem jego cienia, znaczącego południe w oceanie lazuru. Tworzy on punkt centralny i daje imiona chwilom szczęśliwości rozpierschłym i bezimiennym. U tego zwierciadła czasu spotyka się wszystko i nabiera świadomości swego trwania. Zbiegają tu zjawy rozliczne, cała poezja, rozkosz patrzenia na świat, wszystkie tajemnice firmamentu, mgliste i niejasne myśli krzewów, strzegących rzeźwego tchnienia powierzonego im przez noc, niby świętego skarbu, intensywna, rozedrgana błogość łąnów pszenicy, łąk, wzgórz wydanych bezbronne na łup pożerczej świetności promieni, niezaradność strumieni, toczących się wśród niskich brzegów, sen stawu, pokrywającego się potem baniek powietrza, zadowolenie domu rozwierającego pośród białej fasady okna zła-knione odetchnięcia przestworzem nieba, zapach kwiatów, spieszący się, by zakończyć dzień na miłowaniu piękności spędzony i ptaki, śpiewające wedle programu godzin, wijące im girlandy wesela, sięgające w niebo. Wszystko to i mnóstwo zjaw zgoła niedostrzegalnych zbiega się tu, gdzie słońce,

będące jednym jeno kółkiem w olbrzymim mechanizmie, daremnie dzielącym na części nieskończoność i wieczność, znaczy łaskawie obrót, którego ziemia wraz z wszystkim, co w sobie mieści, dokonywa codziennie, dążąc przeznaczoną sobie drogą pośród gwiazd.

*CHWIEJNOŚĆ*  
*MORALNOŚCI WSPÓŁCZESNEJ.*



## I.

Dotarliśmy do punktu rozwoju ludzkości, który zdaje się nie miał dotąd odpowiednika w dziejach świata. Wielka część rodzaju ludzkiego i to właśnie równorzędna co do wartości swej z ową warstwą, która wytwarzała dotychczas wszystkie zjawiska, znane nam z niejaką pewnością, porzuca religję swą, trwająca od blisko wieków dwudziestu.

Nie jest to fakt nowy, wygaśnięcie religji, musiał się zdarzyć niejednokrotnie w ciągu bezliku wieków, a nawet kronikarze schyłku państwa rzymskiego przechowali nam wiernie dzieje konania pogaństwa. Ale do tej pory ludzie, wynosząc się z grożącej upadkiem świątyni, chronili się do nowej, budowanej dopiero, porzucali jedną religję dla drugiej, my zaś porzucamy naszą, nie mając gdzie się schronić. Oto zjawisko nowe o nieznanym konsekwencjach, oto czas, zgoła odmienny od innych, w którym żyjemy.

## II.

Niema potrzeby przypominać, że religje, dające zawsze pewne nadzieje życia pozagrobowego, oraz normujące moralność, miały niesłychany wpływ na szczęście ludzkie. Zdarzały się atoli religje i to nieraz bardzo wpływowe, jak na przykład poganizm, które nie dawały żadnych nadziei i niemal żadnego nie stwarzały systematu etycznomoralnego. Nie będziemy mówili o obietnicach religji naszej, albowiem znikają wraz z wiarą, ale powiem kilka słów o etyce, albowiem żyjemy dotąd w gmachu etyki, wybudowanym przez tę właśnie zamierającą wiarę. Mieszkamy w tym gmachu, ale mimo zamięłowania wygody i nawyku spostrzegamy, że sklepienie jego rozstępuje się nam nad głowami, że tu i owdzie brak nam już schrony dla głów naszych i znajdujemy się niespodzianie pod niebem, które nie daje nam już dziś żadnych haseł, ni wskazówek. W konsekwencji tego zjawiska wytwarza się naprędce mniej, lub więcej podświadoma moralność doraźna, sfabrykowana naprędce, bowiem jest niezbędna, skomponowana ze szczątków przeszłości, wyposażona w konkluzje, zapożyczone od tak zwanego zdrowego rozsądku, wysnuta z kilku zasadniczych, napół poznanych prawd naukowych, oraz z pewnej intuicji rzeczy najwyższych,



zdezorientowanej zupełnie świadomości, powracającej w mistycznie nowej postaci dawnych cnót, niedosiężnej znowu dla owego zdrowego rozsądku. To widzimy wszyscy i jesteśmy współwytwórcami owej dziwnej etyki, przepojonej niepokojem, nie będzie tedy pozbawioną zainteresowania próba uchwycenia zasadniczych refleksów tego procesu wytwórczego.

\*

Nadszedł czas, kiedy wielu zadaje sobie pytanie, czy kontynuując kierowanie się etyką dostojną i szlachetną w środowisku, gdzie większość powoduje się innem zgoła prawem, nie obrażają się zbyt naiwnie i nie schodzą do niewdzięcznej roli oszukanych i wywiedzionych w pole. Pragną się oni dowiedzieć, czy motywy przywiązania do dawnych cnót nie są czystouczuciowe, tradycyjne, chimeryczne i beztreściwe i szukają daremnie w sobie samych owej ostoji, jaką dać może jeszcze rozum.

### III.

Nie wspominając o sztucznym porcie, do którego chronią się ci, którzy pozostali wiernymi dogmatom wiary, wyższe warstwy ludzkości cywilizowanej lawirują pomiędzy dwiema sprzecznymi doktrynami. Te dwie doktryny zresztą

równoległe, lecz wprost przeciwne, od dawien dawna przepływały, niby dwie, w odmiennych kierunkach dążące rzeki, rozłogi moralności ludzkiej, nigdy jednak koryta ich nie zarysowały się tak ostrym konturem i nigdy nie były wyżłobione tak głęboko. To, co przedtem było instynktowną, jeno, niejasną potrzebą egoistyczną i altruistyczną, których to uczuć fale mieszały się ciągle z sobą, stało się teraz systemem, altruizmem i egoizmem absolutnym i bezwzględny. U źródeł tych dwu rzek nie odkopanych na nowo, ale poruszanych i rozszerzanych w czasach naszych, stoją dwaj ludzie, Tolstoj i Nietzsche.

Jak już zaznaczyłem, dwie te doktryny dzielą się z pozoru jeno całokształtem zagadnień etycznych. Istotny dramat sumienia człowieka współczesnego nie rozgrywa się ani na jednym, ani na drugim punkcie szczytowym tych poglądów. Oba, zatopione gdzieś w przestworzach, oznaczają jeno dwa cele chimeryczne, do których dojść nie marzy się nikomu. Pierwsza z owych doktryn cofa się ku czemuś, co nie istniało nigdy w takiej formie jaką mu nadaje, druga prze się gwałtownie w przyszłość, o której możliwości nic nie świadczy i której przewidzieć nie sposób. Rzeczywistość, z którą nie liczy się żadna z nich, snuje się pośrodku obu tych złud, ogarniając

zresztą obie i prześcigając ustawicznie ich zakres. W tej oto właśnie rzeczywistości, której obraz nosimy w duszach, szukać musimy wyjaśnień w kwestji formowania się moralności, będącej ostoją współczesnego życia naszego. Zbytecznem jest chyba dodawać, że pod wyrażeniem „moralność“ nie rozumiem owej miarki praktycznej egzystencji codziennej, uwarunkowanej modą i od niej zależnej, ale słowo to oznacza dla mnie wielkie prawo, normujące byt wewnętrznej istoty człowieka.

#### IV.

Moralność formuje się w świadomości naszej, lub poza nią. Wychodząc z tego założenia, można by ustalić trzy sfery. Najniżej mieści się zakres najpospolitszy, materialny i najpowszechniejszy, który nazwiemy „zdrowym rozsądkiem“. Nieco wyżej, tam gdzie przebłyskują już ideje utylitarne i wyobrażenia pozamaterialne, umieścimy zakres drugi, zwąc go „rozumem“. Na szczycie, dopuszczając do głosu, ale kontrolując zarazem nieublaganie rewindykacje wyobraźni, uczuć i tego wszystkiego, co łączy nasze świadome życie z nieświadomem, a zarazem z nieznanemi potęgami świata wewnętrznego i zewnętrznego, umieszczamy część nieograniczoną niczem tegoż samego właśnie

rozumu wszechświatowego, której dajemy nazwę „rozumu mistycznego“.

## V.

Niema co zatrzymywać się nad rozpatrywaniem „zdrowego rozsądku“, owego zdrowego, chłopskiego rozumu, który tkwi w każdym z nas, zarówno dobrym, jak i złym, a który buduje każdorazowo gmach swój na ruinach idei religijnej. Jest to moralność sobkowska, egoizm praktyczny, gruby wspólny mianownik wszystkich instynktów i wszelakich uciech materialnych. Ten, kto wychodzi z zasady „zdrowego rozsądku“, przekonany jest, iż niema innej pewności poza własnem życiem. W tem to życiu osobniczem istnieją jako zło realne tylko dwa pojęcia: choroba i ubóstwo, oraz dwa dogmaty dobra, nie dające się zastąpić niczem to jest: zdrowie i bogactwo. Wypływają stąd wszystkie inne prawdy realne, zarówno dobre, jak złe. Cała reszta radości czy cierpień, wywołanych uczuciami i namiętnościami, jest dla człowieka takiego fikcją jeno, bo zawisła od wyobrażeń i poglądów, jakie na nie mamy. Nasze prawo używania życia ograniczone jest jeno przez toż samo prawo, przysługujące wszystkim żyjącym współcześnie z nami i w samym interesie niezmqconego korzystania z tegoż prawa musimy prze-

strzegąc pewnych norm moralnych. Poza więzami tych norm nie uznajemy żadnego innego przymusu, zaś sumienie miast przeciwdziałać od- ruchom egoizmu, gloryfikuje jego triumfy, pod warunkiem, że triumfy te nie naruszają odczu- wanych instynktownie i logicznie uzasadnionych praw życia społeczeństwa.

Oto trybunał pierwszy, oto pierwszy stopień etyki naturalnej, moralności zdrowego rozsądku:

Jest to stan, poza który nie wychodzą ludzie na ogół biorąc, po zupełnym zaniku swych idei religijnych:

## VI.

Rozum, będąc mniej materjalnym, nie tak zwierzęcym, ujmuje sprawę z stanowiska nieco wyższego, a przeto więcej dostrzega. Widzi, że skąpy i zachłanny „zdrowy rozsądek“, zamknięty w swej skorupie, pędzi żywot marny, jałowy i nik- czemny. Przekonywa się z obserwacji, że człowiek, podobnie jak pszczoła nie może żyć samotnie i że życie, które dzieli z podobnymi sobie, jeśli ma rozwinąć się swobodnie i rozkwitnąć, nie może się ograniczać ani do walki bezlitosnej, nie liczącej się ze sprawiedliwością, ani do prostej wymiany usług, prymitywnie i bezdusznie kompensowanych. Stosunek swój do bliźnich funduje rozum jeszcze

na egoizmie, ale nie jest to już zasada wyłącznie materialna. Ma on wielkie uznanie dla utylitaryzmu, ale rozumie, że posiada on stronę duchową i uczuciową. Przyjmuje istnienie radości i cierpień, przywiązań i antypatyj, których przedmiot może się mieścić w wyobraźni. W ten sposób nastrojony i zdolny wznieść się na pewien poziom górujący nad konkluzjami logiki materialnej, nie tracąc z oczu swego osobistego interesu, mniema, iż wznosił się ponad zarzut wszelaki. Sądzi, iż osiągnął szczytowe stanowisko i że tkwi tam pewnie i niewzruszalnie. Zdolny jest nawet do poczynienia niejakich koncesyj sprawom, nie leżącym na terytorjum własnym, to znaczy namiętnościom i uczuciom, oraz tej niewytłumaczalnej atmosferze, która je otacza. I czynić to musi, inaczej bowiem ciemne podziemia, w których tkwi, byłyby równie niezamieszkalne jak nora, gdzie wegetuje tępy „zdrowy rozsądek“. Niestety, też same właśnie koncesje zwracają uwagę na nielegalność jego uroszczeń ferowania wyroków w sprawach moralności, o ile sięgają poza zwyczajne praktyki powszedniego życia.

## VII.

Oczywiście, tak być musi, cóż bowiem może mieć wspólnego rozum naprzykład z ideą stoicką

obowiązku? Przebywają w zgoła odmiennych sferach, całkiem niemal pozbawionych łączności. Rozum, mający pretensję do promulgowania własnowolnie praw normujących wewnątrz życie człowieka, musi napotkać tę samą akcję obronną i te same przeszkody, jakie mu stanęły w drodze w jednej z niewielu sfer, których nie zdołał opanować dotąd i zniewolić do posłuszeństwa, to jest w estetyce. W tych kwestjach zasięganą bywa jego rada, o ile rzecz idzie o założenie, punkt wyjścia, oraz linię ogólną, natomiast z całą stanowczością nakazuje mu się milczenie przy kończeniu dzieła, gdzie ważą się sprawy najwyższego, tajemniczego piękna. O ile jednak godzi się dość łatwo ustąpić z pola w estetyce, w zakresie etyki chce rządzić niepodzielnie. Należałoby tedy raz na zawsze wskazać mu właściwe miejsce i zmusić, by poprzestał na legalnych funkcjach, jakie mu przystoją pośród innych uzdolnień, stanowiących treść naszej istoty człowieczej.

## VIII.

Jedną z wybitnych cech czasów naszych jest wzrastająca coraz bardziej, niemal ekskluzywna ufność w tę cząstkę naszej inteligencji, którą nazwaliśmy „zdrowym rozsądkiem“ i „ro-

zumem". A nie zawsze tak było. Dawniej człowiek opierał na rozumie niewielką jeno i najpowszejdniejszą część swego życia. Reszta miała fundamenty w innych dziedzinach ducha, przede wszystkim zaś w wyobraźni. Religje, a wraz z nimi najjaśniejsza formuła moralności, której są głównem źródłem, znajdowały się w bardzo znacznej odległości od małego folwarczku, gdzie gospodarzył rozum. Była to przesada, ale należy zbadać, czy wprost przeciwna przesada czasów naszych nie jest przypadkowo ślepą. Niezmierny rozwój nauki, wynalazki i odkrycie wielu praw przyrody oddziaływały w ten sposób na nasze życie, że staliśmy się skłonniymi przypisywać rozumowi zalety niezmierne, należy jednak zastanowić się, zali posiada on do tego prawo. Logika z pozoru nieodparta, ale iluzoryczna, może olśniona kilku zjawiskami, jakie rzekomo znamy, każe nam zapomnieć o możliwości ilogizmu milionów zjawisk innych, których nie znamy jeszcze. Prawa naszego rozumu są wynikami doświadczeń, które wydadzą się nikłemi, gdy je porównamy z ogromem niewiedzy naszej. Biorąc przykład najbanalniejszy, przytoczę twierdzenie rozumu, który stawia tezę: — Niema skutków bez przyczyny! — Twierdzenie owo jest niezaprzeczalne i wystarczające dla ciasnego zakresu życia materjal-



nego. Gdy jednak przekroczymy ten krąg ma-  
leńki, teza owa traci wszelkie znaczenie  
na świecie, gdzie wszystko jest niepoznawalne,  
pojęcie przyczyny i pojęcie skutku są równie  
nieznaczące. Na nieznacznym już wyżu życie  
nasze przekracza co chwila krąg materialny  
i doświadczalny, a przeto oddala się z terytorjum  
roзумu. Nie można powiedzieć, by władał nie-  
podzielnie nawet w świecie widzialnym, który  
w umyśle naszym za wzór mu służy. Przyroda  
nie zawsze funkcjonuje wedle reguł rozumu,  
nawet w zjawiskach bliskich nam, zwyczajnych  
i stale się powtarzających. Cóż bezrozumniejszem  
jest jak marnowanie osobników? Cóż może być  
przyrównane do ślepego produkowania miliardów  
zarodków w tym celu, by wydać jednego jedyne-  
go osobnika i to w sposób całkiem przypadkowy?  
Ileż ilogizmu mieści się w tych niezliczonych  
i niepotrzebnych, a tak skomplikowanych urzą-  
dzeniach, jak na przykład w organizacji życia  
niektórych pasorzytów i zapyłaniu kwiatów przez  
owady, mimo, że cel ich jest tak prosty. Wszakże  
szaleństwem jest również powstawanie w prze-  
strzeni miliardów światów, które giną, nie speł-  
niwszy żadnego zadania. Wszystko to przekracza  
nasz rozum i wykazuje mu, że nie zawsze po-  
zostaje w zgodzie z życiem powszechnem i że

jest we wszechświecie niemal izolowany. Trzeba go zmusić, by rozumował wbrew swym własnym uzurpowanym interesom i do pokornego wyznania, że nie należy mu się wcale stanowisko dominujące w życiu naszym, które nie jest izolowane, ale związane najściślej z życiem świata. Oczywiście używać go będziemy tam, gdzie nam jest pożyteczny, ale trzeba raz uświadomić sobie, że żadną miarą starczyć nie może na wszystko, gdyż jest niemal niczem. Podobnie jak istnieje poza nami świat, który przekracza jego kompetencję, istnieje również w nas samych świat inny, sięgający poza krąg jego światła. Jest bardzo potrzebny i pełni doskonale drobne, powszednie funkcje w swej małej wioszczynie, ale niema sensu, by się podawał za władcę stolic, gór i mórz. Owe stolice, góry i morza zajmują w nas dużo więcej przestrzeni, niż mała wioszczyna naszej powszedniej egzystencji praktycznej. Użyć się da dla stwierdzenia pewnej liczby prawd niższych, często wątpliwych, a niezbędnych, ale ponadto nie zda się na nic. Jest to raczej łańcuch wiążący, niż podpora.

Pamiętajmy, że cały niemal nasz postęp dokonał się wbrew sarkazmom i klątwom, jakimi witał hipotezy z pozoru bezrozumne, zapłodnione przez wyobraźnię. Nie czepiajmy się go tedy,

niby jedynej zbawczej skały pośród rozhukanych fal bezkresnego oceanu świata. Związani z tym nieruchomym głazem, sterczącym na jednym miejscu poprzez wieki i wielkie okresy cywilizacji, nie zdołalibyśmy dokonać tego, czegośmy dokonąć winni i nie stalibyśmy się tem, czem stać się mamy, mimo wszystko, nadzieję.

### IX.

Do tej pory kwestja moralności w granicach rozumu nie miała wielkiego znaczenia, nie hamowała bowiem rozwoju pewnych aspiracyj i pewnych sił uznawanych zawsze za najpiękniejsze i najszlachetniejsze, jakie tkwią w człowieku. Religje stanowiły nadbudowę tego dzieła dokonanego w części jeno. Dzisiaj atoli, czując niebezpieczeństwo, wynikające z przyrodzonych swych ciasnych granic, etyka racjonalistyczna, czyli moralność wedle recepty rozumu, chcąc stać się moralnością w całym słowa znaczeniu, usiłuje za wszelką cenę stać się sprawiedliwą, wspaniałomyślną i przeprowadzić w interesie własnym dowód rozumowy, że może być bezinteresowną, a czyni to w celu zapelnienia bodaj po części tej przepaści, jaka ją dzieli od tych właśnie aspiracyj i tych sił niezniszczalnych. Niestety są granice, poza które wyjść nie zdoła

bez samozapreczenia, bez samozatamowania własnego źródła. Cóż tedy ma być przewodnikiem naszym po wyżach, gdzie zaczyna się sfera cnót nieużytecznych?

## X.

Zobaczmy zaraz, czy możliwą jest odpowiedź na to pytanie. Przypuściwszy nawet jednak, że poza nizinnymi rozłogami moralności racjonalistycznej niema zgoła i nie podobna znaleźć przewodnika, nie musimy tem samem niepokoić się przyszłością moralności ludzkiej. Człowiek jest w istocie swej istotą tak dalece, tak z konieczności moralną, że nawet wówczas, kiedy przeczy wszelkiej moralności, negacja owa jest ośrodkiem nowej etyki. Moralność jest, rzecz można, jego specyficzną manją. Ludzkość zasadniczo przewodnika nie potrzebuje i kroczy powolniej może nieco, ale z pewnością zupełną poprzez ciemń, nie rozjaśnioną przez nikogo. Ma światło w samej sobie, a burza miotając płomieniem, rozżarza go jeszcze silniej. Jest niejako niezawisłą od idei, którym się wydaje, że są jej przewodniczkami. Nader łatwo dowieść faktami i stwierdzić tę rzecz ciekawą, iż owe, perjodycznie jawiące się ideje miały nader nieznaczący wpływ na ogólną sumę zła, czy dobra

w świecie. Jedynym ważnym, jedynym decydującym czynnikiem jest fala duchowa, która nas niesie, podlega przypluwom i odpływom, ale wzrastająca stale, sięgająca wzwyż ku czemuś nieokreślonemu w przestrzeni.

Ważniejszym dużo od idei jest czas płynący mimo niej, rozwój cywilizacji danej chwili, będącej jeno podniesieniem się umysłowości ogółu na dany poziom historii. Gdyby jutro religja jakaś objawiła nam, dowodząc naukowo, z absolutną ścisłością, że każdy akt dobroci, poświęcenia, heroizmu — i wewnętrznej szlachetności daje nam bezpośrednio po śmierci nagrodę niewątpliwą i wprost niewyobrażalnie wielką, wątpię, czy doznałaby jakichś dostrzegalnych zmian owa mieszanina cnót i zbrodni, pośród których żyjemy. Czyż trzeba przytaczać dowody? W wiekach średnich zdarzały się czasokresy, kiedy wiara była absolutną i przepajała umysły pewnością tak niezachwianą, jaką nam dają pewniki naukowe. Nagroda cnoty i kara zagrażająca występкови były to dla ludzi ówczesnych fakty, tak rzecz można, dotykalne, jak nasze eksperymenty laboratoryjne. A mimo to poziom dobra nie podniósł się wcale, jak to stwierdzamy obecnie. Poświęcilo się za bliźnich swoich kilku świętych, doprowadzili oni do heroizmu niektóre z po-

między najsilniej zakwestjonowanych cnót, ale ogół, cała masa i wszyscy poszczególni ludzie dalej oszukiwali się wzajem, kłamali, żyli w rozpuście, kradli, zazdrościli sobie i mordowali się w najlepsze. Średnia miara zbrodni nie była zgoła mniejszą od dzisiejszej, przeciwnie nawet, życie było bez porównania cięższe, okrutniejsze i niesprawiedliwsze, bowiem niższym był poziom umysłowości powszechnej.

## XI.

Spróbujmyż teraz rzucić pęk promieni na trzeci stan moralności naszej. Ten stan trzeci, czy też powiedziawszy lepiej, ta trzecia moralność obejmuje wszystko powyż cnót rozumu, potrzebnych dla naszego szczęścia materialnego i duchowego i sięga w bezkres bohaterstwa, poświęcenia, dobroci, miłości, uczciwości i wewnętrznego dostojeństwa. Nie ulega kwestji, że moralność rozumu, mogąca zresztą sięgnąć w pewnych sprawach, na przykład w altruizmie, dosyć daleko, nie będzie w stanie zdobyć się na cnotę szlachetności, bezinteresowności, a zwłaszcza na tę nie-nazwalną cnotę, która sama jeno może nas bezpośrednio wprowadzić w kontakt z wielką tajemnicą życia.

Wskazaliśmy już, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa rozum nasz jest wykładnikiem nader malej jeno części zjawisk, prawd i praw natury, że opuszcza nas nader łatwo w wielu okolicznościach życia. Posiadamy atoli inne przedziwne organa spostrzegania przystosowane do apercypcyj niedostępnych rozumowi sfer wszechświata i one to właśnie, rzec można, zostały nam dane, jeśli już nie wprost w celu ujęcia ich bezpośrednio, to w każdym razie w celu zrozumienia, że istnieją, w celu obudzenia wielkich przeczuć i przysposobienia nas do zrozumienia ich w przyszłości. Wyobraźnia jest zwieńczeniem i kopułą rozumu. Daremne są usiłowania nasze stwierdzenia, że jesteśmy już istotami czysto logicznymi. To nieprawda. Istnieje w nas poza i ponad sylogistyczną świadomością wielka sfera poznania, odpowiadająca rzeczom zgoła odmiennym, w której tkwią niespodzianki nowych, nieznanych wydarzeń.

Ta forma poznania, którą nazywamy wyobraźnią, albo rozumem mistycznym, wyprzedzała i prześcigała niedoskonałą świadomość naszą w czasach, kiedy dobrze nie znaliśmy żadnego prawa natury, wznosząc nas moralnie, socjalnie i uczuciowo na poziom wyższy, umożliwiając tychże praw poznanie. Czyż tedy słusznem

jest, by owa zdolność przestała nam przywodzić, czyż wolno ją zwalczać i podawać w niewolę rozumu teraz, kiedy uczyniliśmy kilka kroków naprzód pośród ciemności nocy, gdy w ciągu ubiegłych stu lat zorjentowaliśmy się w otaczającym nas chaosie lepiej niż dawniej w ciągu tysięcy wieków, teraz, gdy nasze życie materialne zaczyna się ustalać i organizować na dobre? Czyż nie wszystko przemawia raczej za tem, by ją pchnąć naprzód, by ją zaprząć do dzieła sprecyzowania odległości normalnych i stosunków proporcyj istotnych? Czemuż to straciliśmy do niej zaufanie i z jakiej racji? Czyż możemy twierdzić, że stanęła wbrew rozwojowi ducha ludzkości? Niezawodnie zwiodła nas ona nieraz, ale owe płodne w następstwa błędy, zmuszające do nałożenia drogi, objawiły nam więcej prawd odkrytych na bezdrożach, niżli mogliśmy przypuszczać, drepzcząc utartym gościńcem trwożliwego i ograniczonego rozumu. Najwspanialsze odkrycia z zakresu biologji, chemji, medycyny, fizyki są w zupełności niemal wynikami hipotez wytworzonych przez wyobraźnię, czyli rozum mistyczny, potwierdzonych potem doświadczeniami rozumu, którychby atoli on sam zamknięty w cieśni rutynicznych metod nie dostrzegł i nie sformułował nigdy.



## XII.

Winniśmy stwierdzić rzecz ważną, zasadniczą, mianowicie, że wyobraźnia, czyli rozum mistyczny zajmuje honorowe, naczelne nawet miejsce w naukach ścisłych, gdzie powinienby był zostać chyba w pierwszej linii zdetronizowanym. A jednak tam właśnie ten rodzaj naszej świadomości, który wznosi się ponad rozum, nie kończy się, nie odmawia posług, ale ma legalny i bardzo znaczny udział w poszukiwaniach i badaniach możliwości, jakich następuje bezmiar świata nieznanego dotąd. Władztwo wyobraźni niepodzielne jest niemal w zakresie estetyki, czemużbyśmy tedy mieli zmuszać ją do milczenia w etyce, zajmującej stanowisko pośrednie między estetyką a wiedzą ścisłą? Niema potrzeby ukrywać, że jeśli przestanie wspomagać rozum i nie podejmie dzieła tam, gdzie się kończy jego władza, szczyt budowli moralności ludzkiej zwali się nagle i bez ratunku. Począwszy od pewnego piętra, całą dalszą nadbudowę, będącą dziełem bohaterów, wielkich mędrców, a nawet masy zwykłych ludzi dobrej woli, wydała wyobraźnia, czyli rozum mistyczny.

Człowiek idealny, wedle recepty najwyższego i najgenjalniejszego rozumu, niepodobny jest zgoła do człowieka idealnego naszej wyobraźni

i nie dosięga jego poziomu. Ten ostatni jest nierównie wyższy, szlachetniejszy, dostojniejszy, bezinteresowniejszy, zdolniejszy do miłości, rezygnacji, poświęcenia i w razie potrzeby do ofiary. Trzeba koniecznie uświadomić sobie i rozstrzygnąć, który z tych dwu typów ma za sobą słuszność, a który się myli i który z nich ustalić się ma dla dobra ludzkości. Przedewszystkiem jednak zastanowić się należy, czy zaszły jakieś nowe fakty, pozwalające nam stawiać wogóle to pytanie i podawać w wątpliwość dawne tradycje moralności człowieczej.

### XIII.

Gdzież szukać owych faktów nowych? Czyż znajduje się pomiędzy rewelacjami nauki jedna bodaj upoważniająca do zmiany w postanowionym przez takiego n. p. Marka Aureliusza ideale człowieka? Czyż najlżejszy bodaj cień przeczucia, znak jakiś dostrzegalny każe przypuszczać, że ideje macierzyste, wiodące sprawiedliwych, winny zmienić kierunek i że droga ludzi dobrej woli jest manowcem? Jakież to nowe odkrycie wieści nam, że nadszedł czas wytrzebień z sumień naszych wszystkiego, co przekracza ścisłą sprawiedliwość, to znaczy, że wyzbyć się należy owych cnót bez nazwy, leżących poza sferą

cnót koniecznych dla życia społecznego, wydających się słabostkami, a jednak czyniących ze zwykłego, uczciwego szaraczka prawdziwego, głębokiego męża dobrej woli.

Powie nam niejeden oczywiście, że cnoty te, oraz mnóstwo innych, promieniujących zawsze z dusz wielkich, byłyby niezawodnie zupełnie na miejscu w świecie, gdzie nie istniałaby tak nieodporna konieczność walki o byt, jak na naszej planecie, kędy do dziś nie została jeszcze ukończoną ewolucja rodzaju ludzkiego. Cnoty owe, powiedzieliby dalej oponenti, są nawet szkodliwe, gdyż pozbawiają one broni wyznawców swych, utrudniając im walkę z niepraktykującymi ich, a przeto tamują rozwój typów najlepszych na korzyść mniej dobrych. Cnoty te stawiają ideał doskonały, ale czysto ludzki i wyłączny, przeciw ideałowi powszechnemu życia jako całości, a przeto ów ideał ściślejszy jest zgóry skazany na porażkę.

Zarzut ten posiada jeno pozory słuszności. W zasadzie, owo wielkie odkrycie walki o byt, w którym leży rzekomo źródło moralności nowej, jest jeno odkryciem nowego słowa. Nie wystarcza jednak ochrzcić innem mianem prawa istniejącego od czasów niepamiętnych, by tem samem uzasadnić już niezbędną konieczność zбочenia ra-

dykalnego ku innemu ideałowi. Walka o byt istnieje od pierwszych chwil bytu planety naszej, a mimo to nie doznała modyfikacji żadna z konsekwencji jej rozwoju, nie została rozwiązana żadna z jej tajemnic od dnia, w którym uświadomiono sobie rzekomo ów fakt, nadając mu imię chrzestne, które w ciągu lat pięćdziesięciu najwyżej, zmianem zostanie na inne, przy lada okazji rewizji słownictwa ludzkiego.

Trzeba sobie także uświadomić, że jeśli cnoty owe wytrącają nam czasem z rąk broń w walce z tymi, którzy nie zdają sobie z nich sprawy, to jednak walka ta jest jeno potyczką bez istotnego znaczenia. Oczywiście, człowiek bezwzględny zostanie zwycięzcą w starciu z przeciwnikiem skrępowanym rozlicznymi skrupułami moralnymi, człowiek kochający, ponad zwykłą miarę pobłażliwy, czy zdolny do poświęceń, dozna krzywdy od brutala i cynika, ale czyż można to nazwać zwycięstwem silnego nad słabszym? Czyż klęska owa dotknęła w czemkolwiek samą treść życia człowieka lepszego? Utraci zapewne korzyści materialne, ale poniósłby stokroć większą stratę, ustępując z sfery leżącej poza terytorjum moralności sylogistycznej, przyjmując etykę rozumu. Ten, kto wzbogaca swą wrażliwość, wzbogaca jednocześnie swą umysłowość, a po-

tęgi owe, specyficznie ludzkie, odniosą i odnieść muszą zwycięstwo decydujące i ostateczne.

#### XIV.

Przyroda dała każdemu gatunkowi istot żywych wszystkie instynkty potrzebne dla dopełnienia przeznaczenia swego. Oto jedna z jasno określonych i sprecyzowanych idei ogólnych, wylonionych z chaosu półodkryć i prawd połowicznych, oczarowujących umysł człowieka współczesnego. Przyroda wyposażyła nas tedy w ideał moralny, który u najpierwotniejszego dzikusa zarówno jak i najbardziej wyrafinowanego człowieka kultury wyprzedza zawsze rozum i stoi doń w stosunku ściśle proporcjonalnym. Dzikus, podobnie jak człowiek cywilizowany, oczywiście w zakresie wyższym, bywa zawsze nieskończenie szlachetniejszym, uczciwszym, wierniejszym danemu słowu, niżliby był powodując się wyłącznie doświadczeniem i interesami marnego życia swego. Właśnie dzięki owemu ideałowi odczuwanemu instynktem w środowisku, gdzie żyjemy, coraz to bardziej rozwija się i coraz to większej nabiera potęgi idea dobra i sprawiedliwości, mimo praktycznej przewagi zła i coraz o bardziej utrwała się i nabiera wiary we, własne siły sumienie ogółu, czyli opinja publiczna

będąca tejże idei widomą formą i wyrazem. Stąd też bierze się, że poziom moralności tłumu (n. p. w teatrze) jest dużo wyższy od poziomu każdej poszczególnej jednostki, z których się składa.

## XV.

Koniecznem jest porozumieć się raz na zawsze odnośnie do praw przysługujących instynktom naszym. Przyznajemy wszystkim prawa równe, mimo że zazwyczaj odmawia się ich instynktom wyższym. Ludzie umieją wylegitymować tak czy owak swe instynkty umiłowane i nadać im pozory szlachetności, wywodząc je z pewnych praw natury. Czemużby prerogatyw takich nie były godne również instynkty wyższe, równie rzeczywiste i niezaprzeczalne jak te, które pełzają u stóp zmysłów naszych. Niema powodu przeczyć ich istnieniu, podejrzywać lub uważać za chimery, z tego jeno powodu że nie stoją w ścisłym stosunku z dwoma, czy trzema animalnemi wymagalnikami życia. Z samego faktu ich istnienia wynika, że są równie jak inne niezbędne do ziszczenia czegoś, czego celu nie znamy, a przeto wiedzieć nie możemy, co mu sprzyja, a co szkodzi. Obowiązkiem jest tedy rozumu, wroga przysięgłego tych instynktów,

wspomagać je, rozwijać, a to na zasadzie przyznania się w pokorze, że wielka część życia naszego przekracza stanowczo jego kompetencję.

## XVI.

Jest obowiązkiem naszym czynić wszelkie wysiłki rozwijania w sobie cech specyficznych klasy istot żywych, do której się zaliczamy. Idzie o te zwłaszcza właściwości, które nas odróżniają od wszelkich innych fenomenów życia wogóle. Pośród tych właściwości, na pierwszym miejscu stoi nie tyle nawet świadomość, co nasze ludzkie aspiracje moralne. Część tychże wypływa z inteligencji, ale reszta wyprzedzała zawsze świadomość, żyła zgoła od niej niezawisłe i, nie mogąc w głebie rozumu zapuścić korzeni, szukała podłoża innego, znajdując tu i owdzie, a głównie w religji, wytłumaczenie tego dziwnego instynktu, który pędził w nieskończoność owe aspiracje.

Dzisiaj, kiedy religja nie może nam już objaśnić niczego, fakt pozostał faktem i nie sądzę, by wolno było jednym pociągnięciem pióra wykreślić całą sferę naszego życia wewnętrznego, potojeno, by zadośćuczynić rezonerskiemu narządowi świadomości naszej. Zresztą wszystko pomaga sobie wzajem, nawet to co zwalcza się wzajem

z pozoru, wszystko współżyje w tajni instynktów, uzdolnień i aspiracyj człowieka. Inteligencja odnosi korzyści bezpośrednie z ustępstw czynionych wyobraźni gdy ta ostatnia posiada ideał, który rozum nie uznaje za zgodny z realnem życiem, bo leczy ją z wady, w jaką popadła w czasach ostatnich, sądząc, iż sama sobie starczyć zdoła. Aby rozwijać się, kwitnąć w pełni i stanowić ważny czynnik życia, inteligencja potrzebuje wszystkich sił naszych, uczuć, namiętności, oraz całej nieświadomości naszej, słowem, czerpać musi siły zarówno z tego co jej sprzyja, jak i z tego co się przeciw niej zwraca. Najbardziej jednak potrzebuje pokarmu wielkich niepokojów, ciężkich przejść i cierpień, oraz szlachetnych uciech serca. Są one dla niej, niby rosa niebieska lilji, czy róży. Dobrze jej robi, gdy nauczy się wyrzekać i przechodzić z rezygnacją, mimo niektórych pragnień i pewnych marzeń tego serca, którego nie zna dobrze, które niezawsze docenia, a w którym błyszczy światłość, przyświecająca jej nieraz w drodze ku prawdom, jakich daremnie szukała na śnieżnych wirchach myśli.

## XVII.

Stanowimy całość duchową, nierozdzielną, mówiąc tedy o świadomości, inteligencji, namięt-



nościach i uczuciach serca, rozróżnienia te czynimy jeńo ze względu na niedostateczność metody słownej, którą się posługiwać musimy.

Każdy człowiek jest po części ofiarą tej, iluzorycznej zgoła terminologii. W młodości pociesza się, że będzie patrzył na rzeczy bystrzej w dojrzałym wieku. Przypuszcza, że namiętności najszlachetniejsze nawet, mylą mu i mącą myśli i pełen nadziei, niewiadomo skąd czerpanej, zadaje sobie pytanie, na jakie wyże zanieśe go myśl, władająca niepodzielnie marzeniami i ukonjonemiu już zmysłami jego. Nadchodzi starość, a inteligencja wybystrza się, ale zatracą jedno- cześnie przedmiot badań swoich, niema co robić, bowiem funkcjonuje w próżni zupełnej. W ten sposób stwierdzamy zasadniczo, że w domenach, gdzie wyniki wyróżniczkowań tych lepiej są dostrzegalne, dzieło starości nie dorównywa temu, co dać może młodość, czy wiek dojrzały, mimo, że jeden i drugi znacznie mniej wie i mniej posiada doświadczenia, a dzieje się to dlatego, iż nie wygasły w nich jeszcze tajemnicze siły, obce zgoła świadomości.

## XVIII.

Gdyby nas ktoś spytał, jakie są ostatecznie przepisy i dogmaty owej szczytnej moralności, o której mówiliśmy, nie dając jej definicji, od-

powiemy, że zasadę jej stanowi pewien raczej stan duszy niż kodeks założeń sformułowanych ściśle.

Istota jej jest szczerą i silną wolą wytworzenia w sobie szczytnego ideału sprawiedliwości i miłości, sięgającego zawsze wyżej niż ideały, sformułowane przez najszlachetniejsze i najpromienniejsze wzloty naszej świadomości.

Możnaby przytoczyć tysiące przykładów, wezmę atoli pod rozwagę jeden tylko, tkwiący w samem ognisku niepokojów naszych, wobec którego wszystko inne schodzi na plan drugi. Jest to sprawa tak ważna, że podczas gdy rozprawiamy o szczytnej i wzniosłej moralności, głos wewnętrzny przypomina nam ją nagle, odzywając się, niby sumienie zbrodniarza:

— Kiedyż położycie wreszcie kres niesprawiedliwości, w której ubiega wam życie?

Tak jest, żyjemy wszyscy w niesprawiedliwości, my wszyscy, którzy posiadamy więcej niż drudzy, my mniej czy więcej zasobni, w porównaniu z nędzarnikami nie posiadającymi nic, a niesprawiedliwość to większa niż przewaga siły brutalnej, gdyż nadużywamy władzy, która nie jest nawet realna. Rozum nasz wyraża z tego powodu żal głęboki, ale tłumaczy, uzasadnia niesprawiedliwość ową i oświadcza, że jest nieunikniona. Wykazuje jak na dłoni, że nie sposób

znaleźć lekarstwa skutecznego i działającego szybko, jakiego pożąda sumienie nasze. Rozum nasz wywodzi dalej, że owo lekarstwo radykalne spowodowałoby (dla posiadających zwłaszcza) straszliwe zło, chorobę stokroć gorszą od tej, jaką leczyć zamierzamy, a w dodatku udowadnia, że niesprawiedliwość jest cechą organiczną, zasadniczą świata, zgodną z wszystkimi prawami natury.

Rozum nasz może mieć nawet rację, ale nierównie głębszą, nierównie pewniejszą rację ma ideał sprawiedliwości, twierdzący, że rozum kłamie. Widzimy tedy, że nie będąc nawet czynnym, ideał ten oddziaływa dodatnio i jeśli nie dla czasów naszych, to dla przyszłości jest niewątpliwie dobrą rzeczą owo głębokie poczucie sprawiedliwości, jakim nas przepaja. Nie przejawia się on dzisiaj, coprawda wielkimi aktami altruizmu, ni bohaterstwa ofiary, ale nie jest przeto mniej szlachetny i mniej pewny od ideału najszczytniejszych systemów religijnych, chociaż nie przyrzeka innej nagrody, nad poczucie spełnionego obowiązku. Taką nagrodę rozumieeli w całej pełni i stawiali najwyżej dotąd jedynie nieśmiertelni bohaterowie i genjusze, ją to właśnie w czasach naszych przeczuwają i pragną uprzyścić wszystkim owe wielkie przeczucia, tkwiące poza sferą świadomości naszej.

XIX.

Nie potrzeba nam zresztą licznych reguł, przepisów i formulek, a tych kilka, jakimi się posługujemy, daćby nam mogło każde dziecko. Przedewszystkiem idzie o ich zrozumienie, a to zrozumienie jest jeno zaczątkiem życia idei. Gdyby to wystarczało, natenczas nie byłoby różnic inteligencji i charakterów, gdyż każdy, średnio nawet inteligentny człowiek jest w stanie, na tym pierwszym stopniu zrozumieć dostatecznie jasno to, co mu się tłumaczy. Istnieje tyle stopni zrozumienia prawdy ile umysłów sądzących, że ją pojmują. Jeśli wykażę pyszałkowi, ile nierozsądku mieści się w próżności jego, jeśli dowiodę egoiście, posiadającemu sumienie, ile ohydy i głupstwa tkwi w egoizmie, to nietylko przyznają mi chętnie słuszność, ale przelicytowałyby będą jeszcze słowa moje. Nie ulega tedy wątpliwości, że zrozumieli, ale nie ulega też wątpliwości, że postępować będą dalej w ten sposób, jakby mózgow ich nie tknął nawet cień prawdy, którą poznali tak doskonale. Natomiast zdarzyć się może, że w mózg inny wejdą dnia pewnego prawdy owe, przyodziane w te same nazwy, przenikną poprzez myśli do samej głębi serca, przetworzą całą jego istotę, zmienią wszystkie osie, odmienią funkcjonowanie dźwigni, nadadzą

znaczenie zgoła odmienne wszystkim radościom i smutom, oraz gdzieindziej umiejscowią cel całej jego działalności. Pojąć rzecz głębiej, w tem cała różnica, bowiem nie możemy chlubić się, żeśmy zrozumieli jakąś prawdę, dopóki nie potrafimy wedle niej pokierować życia swego.

## XX.

Zawracając do myśli zasadniczej niniejszego szkicu i reasumując rzecz całą, podkreślę, że koniecznem jest utrzymać równowagę pomiędzy tem, co nazwałem rozumem, a innymi cechami i uczuciami naszego życia. W przeciwieństwie do czasów dawnych, skłonni jesteśmy nadmiernie dzisiaj do przesuwania punktu ciężkości w stronę rozumu. Niezawodnie, rozum posiada dzisiaj większe może, niż kiedykolwiek indziej, prawo najściślejszej kontroli wszystkiego, co przekracza faktyczne konkluzje rozumowania, wszystkiego co wypływa ze źródeł odmiennych i dalszych. Ale nie wolno mu tamować działania tamtych sił, dopóki nie nabierze pewności, że się mylą, w ustalaniu takiej definitywnej pewności winien być każdorazowo bardzo oględny i coraz to ostrożniejszy i nie zapominać, że nierozwaga przynosiłaby ujmę jemu samemu i własnym jego prawom.

Gdy nawet nabierze przekonania, że siły owe popełniły błąd, przypisując większość przejawiających się w nich fenomenów jakiejś woli wyższej, czy jakimś wskazaniom zaziemskim, to wówczas, mimo obowiązku sprostowania owych błędów, wypływających z fałszywego założenia, mimo wydzielenia z ideału moralności naszej mnóstwa cnót jałowych i niebezpiecznych, niezdolnym będzie przeczyć, że zjawiska tego rodzaju faktycznie istnieją bez względu na to, czy są produktem wyższego, życiowego instynktu gatunku, czyli też źródło swe mają w czemś zgoła niepoznawalnem.

W każdym razie nie będzie ich mógł uznać za majaki, czy chimery, gdyż wówczas musielibyśmy przypuścić chyba, że ów sędzia najwyższy, którego prześciga i któremu przeczy co chwila genjusz przyrody, oraz prawa nieogarnionego wszechświata, jest bardziej jeszcze chimeryczny od chimer, które unicestwić pragnie.

## XXI.

Jak widzieliśmy, sam nawet rozum, czyli autorytet naukowy zmuszony jest przyznać, że w sprawach dotyczących moralności mamy prawo wyboru chimer, czyli złud. Skoro tedy tak jest, bierzmy raczej chimery typu wyższego, a po-

rzućmy złudy marne i przyziemne. Te wyższe doprowadziły nas wszakże tu, gdzie jesteśmy i, o ile uwzględnimy punkt wyjścia, przepastną, ciemną, podziemną norę człowieka przedhistorycznego, dojdziemy do przekonania, że zasłużyły sobie na wdzięczność naszą. Ułudy drugiego rzędu, typu niższego, to znaczy chimery rozumu, zdały egzamin jeno przy pomocy i podszeptach tych pierwszych złud i doszły tu, gdzie się znajdują przy ich jeno pomocy. Nie odważyły się dotąd na wędrówkę samoistną. Pierwsze stawiają kroki w ciemności. Twierdzą, że nas wiodą ku szczęściu trwałemu, zabezpieczonemu, wymarzonemu, dokładnie odważonemu, że idą na podbój materji. Doskonale! Wszakże ich właśnie zadaniem jest szczęście tego rodzaju. Niechże jednak nie twierdzą, że aby to szczęście osiągnąć, trzeba koniecznie rzucić w morze, niby balast niebezpieczny, wszystko co się dotąd składało na bohaterską, nieustraszoną, wytrwałą, awanturniczą energję naszego sumienia. Pozostawcież nam bodaj kilka cnót luksusowych, dajcież nam bodaj trochę pola dla uprawy cnót braterstwa. Jest bardzo możliwą rzeczą, że wszystkie owe cnoty dzisiaj nie tak koniecznie potrzebne i dopasowane do ciała człowieka współczesnego, stanowią zaródź tych cech ludzkich,

jakie się rozwiną w czasie, kiedy przebędziemy najboleśniejse etapy tak zwanej walki o byt. Winniśmy mieć w rezerwie kilka bodaj cnot pokaźnych, a to dla zastąpienia nimi tych, które porzucimy z czasem jako zbytuczne, bowiem pamiętać należy, że sumienie nasze potrzebuje ćwiczenia i coraz to nowego pokarmu. Zrzuciliśmy z siebie dosyć przymusów różnych, niezaprzechalnie szkodliwych, ale podtrzymujących aktywność naszego wewnętrznego życia. Przestaliśmy być czyści, doszedłszy do przekonania, że naturalnem jest i legalnem życie płciowe, wyklęte przez ciąg całych dwudziestu wieków. Nie szukamy dziś okazji ćwiczenia się w rezygnacji, umartwieniach i ofiarach, nie posiadamy już serc pokornych i ubóstwa ducha. Wszystko to znikło słusznie, gdyż cnoty owe wynikały z religji, która kończy swą rolę, ale nie można dopuścić, by miejsce po cnotach owych pozostało próżnem. Ideał nasz nie domaga się produkowania ascetów, dziewic i męczenników, ale mimo iż inną kroczy drogą, siła duchowa, która wytwarzała świętych, winna pozostać niezmiennie, albowiem potrzebna jest człowiekowi, pragnącemu osiągnąć cel dalszy, leżący poza zwykłą sprawiedliwością. Właśnie poza osiedlem owej powszedniej cnoty zaczyna się moralność tych, którzy wierzą w przy-



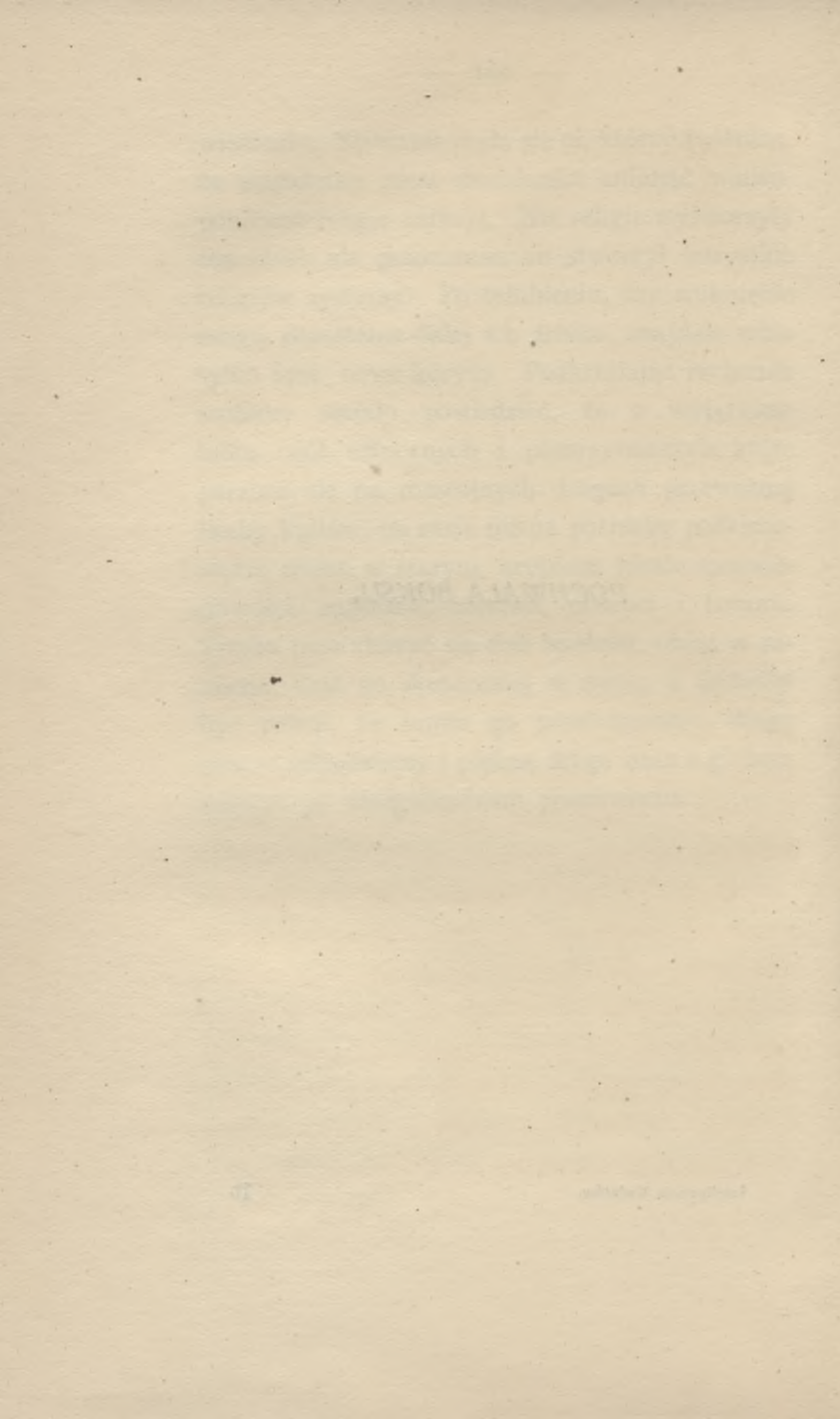
szłość. W tej to właśnie feerycznej, ale nie chime-  
rycznej dziedzinie naszego sumienia winniśmy  
się zaaklimatyzować i rozlubować się w niej.  
Dobrze też będzie, jeśli nabierzemy przekonania,  
że czyniąc tak, nie staliśmy się wcale ofiarami  
żadnej mistyfikacji.

## XXII.

Przedziwną jest dobra wola ludzi. Gotowi  
są wyrzec się wszelkich praw, uważanych dotąd  
za specyficznie człowiecze, porzucić wszelkie  
marzenia i całą nadzieję szczęścia. Wielu po-  
rzuciło już bez rozpaczyny wszystkie nadzieje na  
życie pozagrobowe. Zgóry zgodzili się na smutny  
los swych potomków, których długie nieskoń-  
czone generacje następować będą po sobie bez  
celu, bez misji, bez przyszłości. Uczynili to  
w przekonaniu, że taką jest wola życia. Cała potęga  
i duma naszego sumienia przejawia się po raz  
ostatni zapewne w tem powszechnem przyjęciu  
konieczności i tem przywiązaniu ogółu do prawdy.  
Ale zanim dojdziemy do tego punktu, zanim  
spełnimy ten ponury czyn rezygnacji, słusznem  
i sprawiedliwym jest zażądać dowodów. Dowody  
te, jak rzeczy stoją dziś, zwracają się właśnie  
przeciw swym głosicielom, w każdym zaś razie  
decyzja ostateczna nie zapadła. Żyjemy w za-

wieszeniu. Strasznie mylą się ci, którzy twierdzą, że starożytny ideał moralności zniknąć winien, ponieważ religje znikają. Nie religje wytworzyły ten ideał, ale przeciwnie, on stworzył wszystkie religijne systemy. Po osłabieniu, czy zniknięciu religij pozostanie dalej ich źródło, znajdzie sobie tylko inne, nowe koryto. Podkreślając rachunek możemy śmiało powiedzieć, że z wyjątkiem kilku cnót sztucznych i pasorzytnicznych, które porzuca się na rozstajnych drogach przeważnej liczby kultów, na razie niema potrzeby podejmowania zmian w starym, aryjskim ideale sprawiedliwości, sumienia, męstwa, dobroci i honoru. Trzeba jeno zbliżyć się doń bardziej, objąć w ramiona, iść go skuteczniej w życiu, a możemy być pewni, że zanim go prześcigniemy, długą jeszcze odbędziemy i piękną drogę wraz z globem naszym po óródgwiezdnem przestworzu.

*POCHWAŁA BOKSU.*



Pośród wielu zajęć intelektualnych wypada czasem człowiekowi czasów naszych zwrócić uwagę na ciało swoje, a specjalnie na ćwiczenia wzmagające siły jego, zręczność i wszystkie zalety tego pięknego, zdrowego zwierzęcia, wzbudzającego respekt w przeciwniku, gotowego do spełnienia wszystkiego, czego życie odeń wymaga.

Przypominam sobie przy tej okazji, że mówiąc niedawno o szpadzie, porwany tematem, wyraziłem się dosyć niesprawiedliwie o jedynej, swoistej broni, jaką nam dała natura, to jest o pięści. Pospieszam niniejszem nagrodzić krzywdę ona.

Szpada i pięść uzupełniają się wzajem i tworzą, o ile można użyć przenośni takiej, małżeńską parę. Szpada winna nam być jednak bronią wyjątkową, ostateczną, *ultima et sacra ratio*. Ujmujemy ją po odprawieniu uroczystych obrządków, przy zachowaniu ceremonjału, podobnego do procesu, którego wynikiem być może werdykt skazujący na śmierć.

Przeciwnie, pięść to broń codzienna, broń swoista człowieka, jedyna organicznie dostosowana do wrażliwości, odporności, do ofenzywnej i defenzywnej budowy naszego ciała.

\*

Przyjrząwszy się dobrze samym sobie, musimy, zrzuciwszy pychę z serca, przyznać, iż zaliczamy się do istot najgorzej obronnie wyposażonych, nagich jak żadne inne, kruchych, mizernych, poprostu najnędnieszych pod słońcem.

Weźmy do porównania naprzykład owady, tak doskonale przysposobione do ataku, tak fantastycznie, rzecz można, opancerzone. Spójrzmy na mrówkę bodaj, którą można bez żadnej szkody, bez jakiegokolwiek wrażenia nie milego przytłoczyć ciężarem, przekraczającym dziesięć, lub dwadzieścia tysięcy nawet razy ciężar jej ciała. Spójrzmy na chrabąszcza, najslabszą odmianę tęgoskrzydłych, i zważmy to, co dźwignąć może, zanim pękną segmenty jego odwłoka, zanim ugnie się tarcz jego skrzydeł z chityny. Odporność krewniaczki jego, szczy-pawki niema poprostu granic. W zestawieniu z temi owadami, jesteśmy, jak zresztą także inne ssaki, istotami nieskonsolidowanymi, niejako galaretowatymi jeszcze, nader bliskimi pierwotnej protoplazmy. Jedynie szkielet nasz,

będący rodzajem ogólnego szkicu, kształtu definitywnego, posiada pewną zwięzłość. Ale i on jest tak marnie skonstruowany, że wydaje się tworem dziecka. Spójrzmy na stos kręgowy, ową podstawę całego systemu. Jakimże to cudem trzymają się kupy kręgi, niedołącznie osadzone w łożyskach? Nielepsza jest klatka piersiowa, której żebra zawieszono w powietrzu niby rząd kos, pęknać muszą, zda się, za dotknięciem palca.

Z uwagi na ową kruchą i niespoistą maszynę, wydającą się nieudaną próbką architektoniczną natury, z uwagi na ten nędzny organizm, z którego życie ucieka wszystkimi szparami z byle jakiej przyczyny, postaraliśmy się o broń zdolną zgładzić nas w momencie, wówczas nawet gdybyśmy posiadali bajeczną zbroję, cudowną siłę i niepojętą żywotność najodporniejszych owadów.

Rzuca się tu w oczy, przyznać trzeba, zdumiewająca i przedziwna aberacja, zasadnicze głupstwo, właściwe rodzajowi ludzkiemu, które miast korektury, pogarsza się z dniem każdym.

Kierując się logiką przyrodzoną, wzorem innych istot żywych, winnibyśmy korzystać z prawa używania broni potężnej tylko w walce z wrogami innego gatunku, a stosować wobec podobnych sobie jedynie te środki atakowania i obrony, jakich dostarcza nam własne ciało.

Gdyby ludzkość liczyła się z wyraźnym zamiarem natury, pięść, będąca człowiekowi tem czym jest róg dla wołu, a ząb i pazur dla lwa, starczyłaby w zupełności dla celów obrony, wymiaru sprawiedliwości i zemsty. Rasa rozumniejsza zabroniłaby wszelkich innych metod walki, pod groźą jak najsroźszych kar za tę nieprzebaczną zbrodnię nadużycia. W ciągu kilku pokoleń ustaliłoby się przez stosowanie tych kar i nabrało mocy autorytetu, bezwzględne, paniczne wprost poszanowanie życia ludzkiego.

Walka na pięści i intensywne, codzienne jej stosowanie spowodowałaby nader szybki dobór naturalny, będący najdokładniej zgodny z zamiarami przyrody i w tej walce zawarłyby się wszystkie nadzieje i ambicje sławy militarnej. A właśnie ów dobór naturalny, to jedyna, realnie ważna sprawa, jaką winniśmy się zajmować, to najpierwszy, najogólniejszy, najwyższy, bo wieczysty nasz obowiązek wobec przyszłości.

\*

Na razie nauka boksu jest nam doskonałym ćwiczeniem w pokorze i w dziwnem, a niepokojącym oświetleniu ukazuje nam zanik niektórych, najcenniejszych właśnie instynktów naszych. Przekonywamy się, że spadliśmy do ostatniego



rzędu ssaków, czy żab pod względem zdolności posługiwania się członkami, zręczności, ruchliwości, siły muskularnej i odporności na ból. Z uwagi na tę okoliczność należałoby się nam w dobrze ustosunkowanym systemie hierarchicznym, skromne miejsce pomiędzy owcą, a ropuchą. Kopnięcie konia, cios rogów byka, ukąszenie psa są mechanicznie i anatomicznie doskonałe i ulepszyć ich niepodobna. Na nicby się tu nie zdała idealnie nawet przeprowadzona nauka, bowiem prześciga ją o wiele instynktowne stosowanie przyrodzonej broni. My tylko, członkowie gatunku „ludzokształtych“, najpyszniejsza odmiana małp, nie umiemy wymierzyć jak należy ciosu pięścią.

Nie wiemy nawet, jaką jest właściwa broń naszego gatunku. Zanim nauczyciel po wielu trudach i wysiłkach nie wyuczy nas metodycznie co czynić mamy, niezdolni jesteśmy wyzwolić skoncentrowanej w naszym ramieniu, olbrzymiej stosunkowo siły i posłużyć się bronią, jaką jest zjednoczona energia kinetyczna rąk, grzbietu i miednicy. Przykry nad wyraz widok przedstawia bójka dwu woźniców, czy chłopów zwaśnionych i rozgrywających doraźny pojedynek. Po obfitem i niewybrednym obustronnym tuszu obelg i pogróżek chwytają się za gardła, za włosy, kopią się, drapią i popychają wściekli, a nie-

ruchomi niemal. Żaden nie chce puścić drugiego, a gdy któremuś uda się nawet wyswobodzić ramię, bije wówczas na oślep, często wymierzając w próżnię drobne, szybkie, słabe, dziecięce, naiwne, bezcelowe ciosy, tak, że bitka nie skończyłaby się nigdy, gdyby nie wychynął oburzony bezmyślną szarpaniną, nóż zdradziecki niemal spontanicznie z jednej lub drugiej kieszeni.

Spojrźmy teraz na dwu bokserów. Nie miotają bezpotrzebnych słów, nie wahają się co czynić, nie płoną gniewem. Spokojni są, pewni, świadomi swego zadania. Atletyczna postawa obronna, jeden z najpiękniejszych gestów męskiego ciała ujawnia logicznie całą muskulaturę organizmu. Nie idzie na marne ani odrobina siły od stóp do głowy. Każda cząsteczka posiada swój biegun w jednej z pięści potężnych, przesyconych utajoną energją. Następuje atak szlachetny w prostocie swojej. Trzy jeno ciosy, nie więcej, będące owocem wiekowego doświadczenia wyczerpują z matematyczną dokładnością tysiące bezużytecznych możliwości, stosowanych przez profanów. Trzy ciosy syntetyczne, nieodporne, nie podlegające udoskonaleniu. Z chwilą kiedy jeden z nich dosięże jawnie i otwarcie przeciwnika, walka ustaje ku zupełnemu zadosyćuczynieniu zwycięzcy, którego triumf jest tak

niezaprzeczalny, że nie czuje żadnej chęci nadużywania zwycięstwa. Zwycięzonemu nie zagraża też żadne niebezpieczeństwo, jest on po prostu doprowadzony do wyczerpania, czy bezwładu i nieprzytomności, trwającej zazwyczaj dość długo, by uraza miała czas pierzchnąć i ulotnić się bez śladu. Niebawem pokonany wstaje i okazuje się, że nie poniósł obrażenia ciała, pociągającego poważniejsze skutki, albowiem odporność kości ludzkich i organów ciała jest ściśle i naturalnie ustosunkowaną do siły ramienia człowieka, który wymierza ciosy.

\*

Wyda się to może paradoksem, niemniej jednak jest faktem stwierdzonym, że walka na pięści staje się gwarantką pokoju i przyjacielskich stosunków pomiędzy ludźmi wszędzie, gdzie zostaje wprowadzoną i pilnie codziennie stosowaną. Napastliwa nerwowość nasza, podejrzliwość nieustanna, rodzaj ciągłego pogotowia, w jakim żyjemy, w jakim trwamy, czekając lada chwila alarmu, to w gruncie skutki poczucia bezsiły i niemocy fizycznej i ta właśnie świadomość każe nam imponować maską dumną i zaczepną otaczającym nas zazwyczaj ludziami ordynarnym niesprawiedliwym i złośliwym. Im słabszymi.

im bezbronnejszymi się czujemy w razie możliwej ofensywy, tem więcej dręczy nas pragnienie przekonania siebie samych, że nikt nas bezkarnie zaatakować nie może. Odwaga bywa tem łaskotliwsza, tem niedostępniejsza, im więcej tkwi instynktownego strachu w ciele mającym doznać ciosów, im większą jest niepewność jego, jak się zakończy całe zajście.

Cóż pocznie ów biedny, roztropny instynkt w wypadku niepomyślnym? Wszakże to na niego jeno liczymy w chwilach niebezpieczeństwa. Jego to jest rzeczą sprawą prowadzenia ataku i piecza o należyłą obronę. Tymczasem w życiu codziennem tak często odsuwaliśmy go na bok, tak rzadkośmy jego zasięgaliby rady, że gdy zostanie przywołany, wychodzi z kryjówki swej postarzały, słaby, podobny więźniowi, długo trzymanemu w lochu, olśnionemu i oszołomionemu nagłym widokiem słońca. Cóż uczyni? Pytamy, gdzie bić trzeba, między oczy, w brzuch, w nos, w skroń, czy w tchawicę? Pytamy, jaką wybrać broń, nogę, zęby, ramię, łokieć, czy paznokcie? Instynkt nie odpowiada, bo nie wie nic, błądzi jeno wspomnieniem po mrokach ciemnicy, skąd go nagle wyrwano.

Milczy, szarpany za rękaw przez odwagę, pychę, próżność, dumę, miłość własną, wszystkie

wielkie, wspaniałe, ale nieodpowiedzialne za swe czyny osobistości, wiodące z sobą spór zaciekły i zjadliwy. Sprawa przybiera zawsze obrót nader smutny i dochodzi co najwyżej, po perypetjach niezliczonych, do szturchańców i kuksów ślepych, hałaśliwych, marnych, dziecinnych, a ponadto wszystko niesłychanie bezsilnych.

Przeciwnie, człowiek znający źródło sprawiedliwości, dzierżący wymiar jej w własnych dłoniach, nie potrzebuje namyślać się i radzić nikogo, wie bowiem raz na zawsze co ma czynić. Cierpliwość i pobłażliwość jest niby kwiat, rozwijający się na podłożu zwycięstwa idealnego, ale pewnego jednocześnie. Najgorsza obelga nie płoszy dobrotliwego uśmiechu, czeka spokojny i zgodliwy pierwszego aktu napaści, mogąc z zupełnym przekonaniem rzec przeciwnikowi: — Nie posuniesz się poza ten punkt! — Jeden magiczny, niezbędny gest w stosownej chwili powstrzymuje zuchwalca. Człowiek silny nie uświadamia sobie nawet skuteczności tej siły, tak jest jej pewny. Wstydząc się tknąć bezbronного dziecka, w ostatecznej potrzebie decyduje się podnieść mocarną pięść swoją na najpotężniejszego nawet bydlaka w ludzkiej postaci żałując zgóry, że zwycięstwo przyjdzie mu tak łatwo.



*O KRÓLU LEARZE.*





Nie trudną jest rzeczą stwierdzić, że w czasach ostatnich, a mianowicie počawszy od wielkiego okresu romantycznego, dziedzina poezji, którą pozostawiono nietkniętą po stracie definitywnej rozległych, ale niezamieszkalnych obszarów poematu epicznego, kurczyła się stopniowo coraz to bardziej i dzisiaj zredukowała się do kilku zaledwo zapadłych, górskich wiosek. Owo małe dominjum będzie zapewne niezdobytą fortecą poezji, gdzie przetrwa złe czasy, zyskując na czystości i nasileniu tyle co najmniej, ile straciła na rozlewności i dosycie. Pozbędzie się zwolna zbytecznej przyozdoby dydaktycznej, zatraci manję opisowo-narratywną i pozostanie wierną samej sobie. Stanie się poezją samą, to znaczy tym jedynym głosem, który może nam objawić to, co kryje w sobie milczenie, czego słowo ludzkie już powiedzieć nie zdolne, a czego muzyka wyrazić dotąd nie potrafi.

\*

Będzie istniała zawsze na świecie poezja liryczna, jest nieśmiertelna, albowiem jest konieczna. Jakaż jednak czeka przyszłość, a raczej co daje czas nasz, nie powiem już dramaturgowi, czy dramatopisarzowi, ale poecie dramatycznemu w całym słowa znaczeniu, poecie, który wciela w utwory swoje liryzm, ukazując wszystko w nasileniu większem i pięknie wyższem niżli to, jakie zdarza się dostrzegać w życiu realnem?

Nie ulega wątpliwości, że wyschły już doszczętnie źródła, z których czerpała tragedia liryczna Greków, tragedia klasyczna w typie Korneila i Racina, dramat niemiecki i dramat Wiktora Hugo. Wielki dramat tłumów, w którym dostrzegano do niedawna niewyczerpane źródła nowych koncepcyj, dał dotychczas wyniki bardzo przeciętne. Nowe misterja życia współczesnego, któremi zastąpiono wszystko inne, upamiętnione próbami wykopalisk Ibsena, od niedawna dopiero zostają w ścisłym zespole z człowiekiem będącym ich twórcą, to też nie są dotąd w stanie zapanować naocznie i skutecznie nad słowami i czynami osób, działających w sztuce, i odgrywają jeno rolę tła, a nie można ukrywać przed sobą tego, co przeczuwał zawsze instynkt poetycki ludzkości, że dramat jest wówczas jeno rzeczywiście i realnie prawdziwy, kiedy staje się większy i piękniejszy od rzeczywistości.

Zanim poeci zrozumieją, w którą stronę skierować mają swe kroki, spojrzmy na jeden z naj-słynniejszych pierwowzorów dramatycznych, rozszerzających ramy prawdy bez jej paczenia, na jeden z bardzo nielicznych utworów, który po trzech wiekach jest ciągle jeszcze zielony i świeży w wszystkich częściach swoich. Mam na myśli „*Króla Leara*“ Szekspira.

Można rzec śmiało, przejrzawszy literaturę wszystkich czasów i ludów, że tragedia starego króla stanowi najpotężniejszy, najogólniejszy, wzruszający do głębi i najintensywniejszy z dramatów, jakie napisane zostały. Gdyby padło skądś z drugiej planety pytanie, która ze sztuk stanowi najwyższy, reprezentatywny, syntetyczny pierwotypowy twór teatru ludzkości, w której z nich najpełniej ziszczony jest ideał naszczytniejszej poezji dramatycznej, wydaje mi się, że po naradzie i rozwadze wszyscy poeci świata, oraz najzdolniejsi i najbezsronniejsi sędziowie jednogłośnie za sztukę taką uznałiby „*Króla Leara*“. Mogliby położyć na drugiej szali wagi dwa zaledwo, lub trzy arcydzieła teatru greckiego, lub też ze względu na to, że Szekspira można porównywać jeno z nim samym, możnaby mu przeciwstawić chyba drugi jeno cud jego genjuszu, to znaczy, tragiczną historję Hamleta, królewicza duńskiego.

„Prometeusz“, „Orestes“ i „Edyp król“ są to drzewa wysokie, wspaniałe, ale samotne, podczas kiedy „Król Lear“, to las niezrównany. Możemy przyznać, że poemat Szekspira jest mniej nieskazitelny od innych, mniej harmonijny, nie posiada ostrych linii, słowem, że jest niedoskonały w konwencjonalnem znaczeniu słowa, powiedzmy, że ma tak olbrzymie błędy jak zalety, mimo to wszystko celuje ponad wszystkiemi innemi przez pełnię, wyrazistość, konsystencję, oryginalność, ruchliwość i cudowną wprost obfitość piękności tragicznych, których jest skarbem niewyczerpanym. Wiem dobrze, iż piękność ogólna utworu nie waży się na kilogramy, ani mierzy na tomy, że rozmiary posągu nie stoją w bezpośrednim związku z jego wartością estetyczną. Mimo to trudno nie przyznać, że obfitość, różnorodność i bogactwo wprowadzają do piękna czynniki żywotne i niezwykle. Nie można zaprzeczyć, że łatwiej jest skomponować jedną statwę średnich rozmiarów w ruchu spokojnym, niż grupę z dwudziestu postaci wielkości nadnaturalnej, w ruchach namiętnych, a jednocześnie szarmonizowanych ze sobą. Łatwiej napisać jeden akt tragiczny i potężny z kilku osobami, niżli pięć z masą ludu na scenie i wytrzymać akcję na tym samym wysokim poziomie

tragizmu i siły przez czas pięć razy dłuższy. Otóż w porównaniu z „*Królem Learem*“ najdłuższe tragedje greckie są jeno jednoaktówkami.

Przyrównywając go do „*Hamleta*“, spostrzeżemy może, iż myśl zasadnicza jest mniej aktywna, nie tak ostro występuje, jest mniej głęboka, wzruszająca i prorocza. Wzamian, o ileż energiczniej tryska życie utworu, o ileż jest on zwartszy i o ileż silniej się narzuca widzowi? Pewne blaski i półświatła na terasie Elsinory rzucają najnie-dostępniejsze głębie na chwilę przedziwną po-światę, podobną do łuny słońc zagrobnych, tutaj jednak słupy ogniste, zwieńczone pióropuszami dymu prześwietlają noc stale i jedno-licie. Temat jest prostszy, ogólniejszy i normalniej ludzki, zabarwienie bardziej monotonne, ale za to posiada nierównie większy majestat, dostojniejszą harmonję, intensywność trwalszą i rozleglejszą, liryzm bezwzględniej przeprowadzony, bujniejszy i bardziej czarujący, a mimo to naturalniejszy, bliższy codziennej rzeczywistości i łatwiej wzruszający, bowiem nie wynika z myśli, ale z namiętności. Liryzm ten wcielony jest w sy-tuację coprawda niepowszednią, ale możliwą i ogólniejszą, nie stwarza metafizycznego bohatera Hamleta, ale oddziaływa bezpośrednio na pry-

mitywną i, rzec można, niezmienną i zawsze tę samą duszę ludzką.

„*Hamlet*“, „*Makbet*“, „*Prometeusz*“, „*Orestes*“ i „*Edyp*“ stanowią odrębną klasę dramatów dostojniejszych niż inne, przez to że rozgrywają się na czemś w rodzaju góry świętej, osłonięj pewną tajemnicą. To właśnie stawia w hierarchji arcydzieł niezaprzeczalnie „*Hamleta*“ powyż n. p. „*Otella*“, mimo, że „*Otello*“ jest równie namiętny, równie głęboki, a niewątpliwie normalniej ludzki. Całą niemal poważną i przedziwną potęgę swoją zawdzięczają wymienione powyż dramaty onej górze, która czyni, że są zawieszzone pomiędzy niebem a ziemią.

Po zbadaniu materiału, z którego składa się owa góra, widzimy, iż jej elementy wzięte są „z zaświata“, ujętego w kształt zgoła lokalny i religijny. Ale w „*Królu Learze*“ niema, we właściwym znaczeniu słowa, świata nadprzyrodzonego. Bogowie, mieszkańcy wielkiego świata wyobraźni, nie wtrącają się do akcji, a nawet fatum jest tam zgoła wewnętrzne, jest jeno namiętnością doprowadzoną do szalu. Mimo to dramat ten olbrzymi rozgrywa pięć aktów swej akcji na szczycie tak wysokim, tak

dostojnym, jest tak pełen poezji i niesamowitej grozy, jakby wszystkie znane zdawna potęgi nieba i piekiel wystąpiły do współzawodnictwa w dziele wznoszenia granic tegoż szczytu na wyże nieskończone.

Fabula dramatu jest naiwna. Wszystkie niemal wielkie arcydzieła, wprowadzające akcję typową z konieczności przesadzoną, ekskluzywną i doprowadzoną do ostatnich konsekwencyj, zbudowane są na fabule mniej więcej absurdalnej. Ale niknie to zupełnie w przepychu wspaniałości onego wyżu, na którym się rzecz rozgrywa. Jest on zbudowany z olbrzymich skalisk, gigantycznych bloków namiętności, wszystko spiętrzone jest tam i zwichrzone jakby katastrofą niepojętą, a jednak ugruntowaną w ludzkiej naturze.

Dlatego to „*Król Lear*“ pozostał dotąd najmłodszym z wielkich dzieł tragicznych, jedynem może, którego czas tknąć nie zdołał. Trzeba wysiłku woli, zapomnienia sytuacji obecnej i prawd naszego czasu, by szczerze wzruszać się „*Hamletem*“, „*Makbetem*“ i „*Edypem*“, natomiast wydaje nam się, że gniew, okrzyki bólu i przekleństwa starca, dotkniętego nieszczęściem ojca, wychodzą z własnych ust naszych i tkwią w sercu naszym. Niema potrzeby niczego zmieniać ni usuwać

z atmosfery duchowej i uczuciowej czasów obecnych, o ile mowa o „*Królu Learze*“, natomiast Szekspir, wróciwszy dziś na ziemię, nie mógłby już napisać „*Hamleta*“, lub „*Makbeta*“.

W pomniejszych swych historycznych sztukach, nawet w „*Romeo i Julji*“ Szekspir popełnia mnóstwo błędów, pławi się w retoryce, czyni ustawiczne ustępstwa na rzecz bujności metafor i rozwlekłości tyrad. Przeciwnie, w arcydziełach swoich nie myli się nigdy. Jest jednolity, konkretny, idzie do celu śmiało, a trud problemu ujawnia jeno metoda, jakiej się ima. Doprowadza do końca zamierzenia swoje pewnego rodzaju wybiegiem, do którego się ucieka bardzo często. Nie ulega wątpliwości, że bohater, wyrażający życie wewnętrzne w całej jego świetności, może na scenie pozostać prawdziwym i człowieczym wówczas jeno, jeśli w stosunku do życia realnego przedstawiony zostanie jako szaleniec. Aby wyjść z tej trudności, Szekspir podkopuje systematycznie rozsądek jego protagonistów i otwiera w ten sposób szluzę powstrzymującą i więżącą ogromną falę liryzmu. Mówić teraz może swobodnie ustami tychże protagonistów i piękno jawi się na scenie bez obawy, że zostanie uznane



za niewłaściwe. Stąd to pochodzi, że w miarę coraz to większego szaleństwa bohatera głównego, liryzm wielkich dzieł Szekspira wzrasta i sięga wyżyn. W ten sposób powstają też nawroty jego w „*Otellu*“ i „*Makbecie*“, ale zdarzają się rzadziej, albowiem halucynacje tana Cawdoru i wściekłość weneckiego murzyna są to jeno wybuchy namiętności. W „*Hamlecie*“ liryzm nabiera cech medytatywnych i spokojnych, bo królewicz jest skryty i zamknięty w sobie, nigdzie jednak podobnie jak w „*Królu Learze*“ nie wybucha z siłą tak wielką, nigdzie nie jest tak ciągły, przemożny i niepowstrzymany. Tam objawia się żywiołowo, bowiem obłęd nieszczęśliwego, starego monarchy, pozbawionego wszystkiego i pogrążonego w rozpacz, trwa od pierwszej do ostatniej sceny.



*BOGOWIE WOJNY.*



Wojna była zawsze dla umysłów ludzkich tematem pociągającym, nieustannie też wraca na porządek dzienny. Nie schodzi zeń niestety, bowiem cała masa wysiłków naszych i niezliczone wynalazki mają ją za cel główny, tak, iż wojna staje się czemś w rodzaju szatańskiego zwierciadła, w którym odbija się nawspak i odwrotnie cały postęp cywilizacji.

Zamierzam tutaj podjąć jeno punkt jeden, chcę stwierdzić ponownie, że w miarę jak zdobywamy coś nie coś na nieznanym nam potęgach życia, jednocześnie tracimy bez porównania więcej na rzecz tychże samych potęg nieznanym. Za ledwo dostrzeżliśmy jakieś światełko pośród ciemności, kędy śpi niezgłębiona przyroda, za ledwośmy dostali w ręce nową jakąś energję, stajemy się niezwłocznie jej ofiarami, a niemal zawsze jej niewolnikami. Mniemając, że zdobywamy wolność, wyzwalamy, rzeczby można, z więzów straszliwego wroga. Coprawda, w pewnym czasie nieprzyjaciele ci dają się opanować i oddają nam usługi, bez których obejśćby się nam już

trudno było. Ale za ledwo któryś z nich ugiął karku pod jarzmo, natychmiast naprowadza nas na ślad przeciwnika dużo groźniejszego jeszcze, a los nasz staje się coraz to bardziej zaszczepny i coraz niepewniejszy. Pośród owych wrogów są jednak, jak sądzę, wrogowie zgoła niepokonalni. Może być, że oporność ich polega na sprytniejszem wykorzystywaniu złych instynktów naszego serca. w każdym jednak razie opóźniają o całe wieki rezultaty zdobyczy naszego rozumu.

Tak się dzieje z większością wynalazków służących celom wojny. Widzieliśmy to w ostatnich, monstrualnych konfliktach. Po raz pierwszy to od zaczątków dziejów ludzkich na polach bitew prześcignęły o wiele człowieka potęgi zgoła nowe, dojrzałe do czynu, wynurzone z wiekowych cieniów prób przygotowawczych. Aż do czasu wojen ostatnich ukazywały się jeno w połowie, działały zdala i trzymały się na uboczu. Wahały się wystąpić samoistnie, związek istniał jeszcze pomiędzy ich niezwykłą działalnością a czynami rąk naszych. Strzał karabinu nie przekraczał przestrzeni dostrzegalnej okiem, destrukcyjna energia największej armaty i siła wybuchowej materji zachowała pewną proporcję do sił czło-

wieka. Dzisiaj potęgi te prześcignęły nas nie-słychanie, musieliśmy abdykować, skończyło się władztwo nasze i oto niby raby pokorne staliśmy się niewolnikami potęg straszliwych i zagadkowych, któreśmy śmieli wzywać sobie ku pomocy.

Od najdawniejszych, coprawda, czasów był udział w bitwach samego człowieka najmniej ważnym i najmniejszym. Już za Homera bóstwa Olimpu wraz z śmiertelnymi stawały do walki na równiach Troi i napoły jeno widzialne, osnute srebrzystą mgłą, kierowały skutecznie zapasami, chroniły, lub porażały strachem bohaterów. Były to jednak bóstwa jeszcze niezbyt potężne, niezbyt tajemnicze. Interwencja ich wydawała się nad-ludzka, ale odzwierciadlała psychologję człowieka. Zaziemskość ich tajemnic wkraczała w ciasną orbitę ziemi. Wyłaniały się z nieba naszej świa-domości, miały nasze namiętności, podległe były naszym niedolom, snuły nasze myśli nieco wyższe jeno, dostojniejsze i czystsze. Potem, w miarę posuwania się człowieka w czasie, w miarę jak wynurza się z złudy i nabiera coraz to większej świadomości, świat jego rozśłania się, zwiększa, a bogowie rosną, dostojnieją, ale oddalają się zarazem. Stają się bardziej mgliści, a jedno-

częściej potęga ich wzrasta. Fala niepoznawalności wzbiera w miarę wzrostu poznania i zdolności mierzenia i zalewa terytorjum świata. Armje organizują się i rosną, broń się udoskonala, wiedza rozkwita i niewoli siły przyrody, a losy bitew wymykają się jednocześnie z rąk wodza i zaczyna władać kompleks praw nieodgadnionych, zwanych szczęściem, przypadkiem lub przeznaczeniem.

Zwróćmy uwagę na piękny obraz bitwy pod Borodino, lub Moskwą w dziełach Tolstoja, w których wyczuwamy niezaprzeczną autentyczność opisu. Są to typowe bitwy okresu cesarstwa. Obaj wodzowie, Kutuzow i Napoleon są tak oddaleni od frontu, że dostrzegają drobne zaledwo i małoznaczne epizody, a nie wiedzą niemal nic o całokształcie działań bojowych. Kutuzow, z istic słowiańskim fatalizmem, ma świadomość „siły faktów“. Wysoki, jednooki, zaspany wiecznie, rozparty na ławce, pokrytej dywanem, stojącej pod jakąś chałupą, czeka wyników sprawy i nie daje rozkazów, godząc się lub nie godząc jeno na to, co mu doradzają inni. Natomiast Napoleonowi zdaje się, że kieruje tem, czego zgoła nie widzi. W przeddzień bitwy wieczorem dyktował rozporządzenia i dawał rozkazy, z których żaden, skutkiem tej właśnie



„siły faktów“, której zaufał Kutuzow, wykonanym zostać nie mógł. Mimo to, wierny fantastycznemu planowi, obalonemu zupełnie przez rzeczywistość, sądzi, że kieruje bitwą, a w samej rzeczy, spóźniając się ciągle, spełnia jeno rozkazy losu i powoduje się wolą, ową siłą wyższą, której ulegają wszędzie jego marszałkowie oszaleli i przerażeni. A bitwa płynie łożyskiem, wykreślonem przez naturę, niby rzeka niebaczna na krzyki ludzi zebranych na brzegu.

\*

Napoleon jest mimo wszystko jedynym z pośród wodzów czasów nowszych, podtrzymującym pozory kierownictwa indywidualnego i ludzkiego. Nieznane moce władające wojskami jego wyłaniały się dopiero na świat, były, rzecz można, w wieku dziecięcym. Cóżby uczynił dzisiaj? Czyż mógłby się zdobyć na setną bodaj część dawnego wpływu na los bitwy? Dzisiaj dzieci tajemnicy urosły i stały się bogami nowymi, które naciskają na szeregi nasze, rozbijają w puch oddziały, łamią fronty, zdobywają fortece i zatapiają okręty. Nie posiadają już ludzkiej postaci, wynurzają się z przedstworzennego chaosu, a ojczyzna ich dalszą jest bez porównania od osiedla poprzedników. Potęga ich, prawa, za-

miary, wszystko to tkwi poza kręgiem naszego życia, po drugiej stronie sfery poznania, w świecie zupełnie obcym, wrogim przeznaczeniom naszego gatunku, w prymitywnym bezkształcie martwej natury. Tym to właśnie nieznanym, ślepym i straszliwym, z którymi nie mamy nic wspólnego, powodującym się impulsami i rozkazami równie niepojętymi jak rozkazy, których słuchają ciała niebieskie, żyjące w przepastnych dalach, tym nieprzeniknionym i przepotężnym energjom oddaliśmy dziś prawo kreślenia dróg w przyszłość, która to funkcja była dotąd zarezerwowana wyłącznie i jedynie dla nas samych, przedstawicieli tej najwyższej do dziś formy bytu, jaka zjawiała się na ziemi. Tym to, nie dającym się sklasyfikować, potworom oddaliśmy boskie niemal prawo tworzenia nadbudowy gmachu rozumu naszego i władania dobrem i złem.

\*

Jakimże to potęgom wydaliśmy w ręce swoiste przywileje swoje? Marzy mi się czasem człowiek, jeden z pośród nas, obdarzony spojrzeniem ogarniającem wszystkie zjawy żywe wokół nas bytujące, wszystko co zaludnia światliste przestworza, po których ślizgają się oczy, z pozoru przejrzyste i puste, podobnie jak ślepiec

mniemałby (gdyby mu inne zmysły nie umożliwiły poprawki sądu), że pustą jest ciemń, otulająca go zewsząd. Wyobraźmy sobie, że przenika on powierzchnię owej sfery kryształowej, gdzie żyjemy, odzwierciedlającej zawsze i ciągle jeno własne oblicza nasze, nasze gesty i nasze myśli. Wyobraźmy sobie, że nadejdzie dzień, w którym poprzez wszystkie więżące nas pozory dosięgniemy wreszcie zasadniczej rzeczywistości, i że to coś, co niewidzialnie z wszech stron nas obejmuje, pognębia, pobudza, pędzi i powstrzymuje, rozśłoni się pewnego dnia, ukazując rzeczy ogromne, ohydne, niepojęte, będące kształtem ukrytych w przestrzeni zjawisk i praw natury, których jesteśmy jeno zabawką, kruchą i marną.

— Nie sążmy, że jest to jeno marzenie poety. Przeciwnie, teraz właśnie, kiedy nam się wydaje, że prawa owe nie posiadają ni formy ni oblicza, teraz właśnie, kiedy zapominamy tak łatwo o ich wszechpotężnej, nieustannej obecności, teraz snujemy nikłe marzenie człowieczej złudy. Zbudziwszy się z owego snu, wstąpilibyśmy w żywot wiekuisty, w bytowanie bez granic, w przeczyste wody źródła życia. Jakże druzgocącą byłaby rewelacja taka, jakże przerażnym widok? Zaprawdę, obezwładniłby i poraził wszelką energję człowieka piorunami strachu, ciskanemi z głębi

nicości! Spójrzmy na przykład, wzięty z pośród wielu złudnych triumfów naszego zaślepienia, spójrzmy na dwie floty, sposobiące się do bitwy.

Garstka kilku tysięcy ludzi, równie nieostrzegalna i bezsilna w porównaniu z rzeczywistością, zbudzonemi do działania potęgami, jak kupka mrówek w dziewiczym lesie, kilka tysięcy tych ludzi oddaje się złudzie, że zdoła zniewolić i zużytkować dla celów idei zgoła obcej wszechświatowi najniwymierniejsze i najniebezpieczniejsze z praw natury. Spróbujmy nadać każdemu z tych praw wygląd i postać proporcjonalną do jego potęgi i funkcji. Nie chcąc potknąć się na początku samym o niepodobieństwo i o niewyobrażalność, pominiemy, jeśli nas strach zbiera, największe z pośród nich, na przykład prawo ciężenia powszechnego, któremu posłuszne być muszą zarówno okręty niesione falami morza jak też ziemia dźwigająca to morze, a wreszcie planety utrzymujące w równowadze ziemię. Chcąc ziścić założenie nasze, musielibyśmy sięgnąć po składowe elementy tak daleko, w taką pustą, w taki bezkres, w tak niesięgalną przestrzeń planetarną, że nie starczyłoby wszechświata dla stworzenia realnej maski tego prawa, ni marzenie żadne nie byłoby w stanie nadać mu prawdopodobnej postaci.

Bierzmy się tedy zrazu do najbardziej ograniczonych praw, o ile posiadają one wogóle szranki, do najbliższych, o ile wogóle być nam bliskie mogą. Ograniczmy się do siły opanowanej rzekomo przez statki bojowe, zamkniętej w ich lonie, posłusznej córce człowieka i wykonawczyni jego woli. Jakież potworne oblicze nadamy, jakimże gigantycznym wyposażymy kształtem tę rzecz, o której mówić chcemy, mianowicie siłę materiału wybuchowego, owo bóstwo nowe i potężne, które zdetronizowało w świątyni wojny wszystkie bóstwa bitewne czasów dawnych? Skądże to, z jakich głębin, z jakich zawrotnych przepaści wyłonił się ten demon, nie znający dotychczas światła słonecznego? Do jakiej go zaliczyć familji terrorów, do jakiej grupy tajemnic nieogarniętych, jawiących się nagle? Melinit, dynamit, panklastyt, kordit, roburyt, liddyt, balistyt... Oto widziadła potworne, wobec których stary, czarny proch, będący postrachem ojców naszych i piorun, reasumujący starożytnym najtragiczniejszy przejaw boskiego gniewu — wydają się poprostu kumoszkami gadatliwymi wprawdzie, skłonniemi do bicia po twarzy, ale dobrotliwemi niemal i poprostu traktującemi nas po macierzyńsku. Nikt pobieżnie nawet nie zbadał niezliczonych tajemnic po-

tworów owych, a natury ich istotnej nie zna ani chemik, który je tworzył i usypia, ani artylerzysta, który je budzi do czynu. Nikt nie wie czem są właściwie, skąd pochodzą, jaką jest ich dusza, jakim ulegają podnieciom i nieobliczalnym kaprysom, oraz jakim są momentalnie posłuszne prawom. Czyżby to była rewolta rzeczy od przedwiecza trzymanej na uwiezi, piorunowa transfiguracja śmierci, straszliwy wybuch radości, który wstrząsa nicością, erupcja nienawiści lub szal wesela? Czyż jest to forma życia nowego, tak płomiennego, że w jednej sekundzie zużywa to, co zgromadziła cierpliwość dwudziestu wieków? Czyż jest to błysk tajemnicy światów, przedzierający się szczeliną groty milczenia, która ją ukrywa? Czyż to zuchwała pożyczka wzięta z rezerwy energii, utrzymującej glob nasz w przestrzeni? Czyż zbiera się w sobie na moment, by uczynić skok w przyszłość w kierunku nowych przeznaczeń, to wszystko co się sposobi dopiero, wypracowuje, gromadzi i akumuluje pod osłoną skał, mórz i gór? Czyż jest to dusza, czy materja, czy może inny, trzeci, nienazwany jeszcze stan życia? Skądże biorą rozmach niszczycielski, gdzie opierają koniec dźwigni, wyłamującej olbrzymie dziury w globie, i gdzie jest punkt wyjścia owej energii, któraby

przeniknąć mogła ponad gwiazdy, gdzie rządzi wola ich matki, ziemi?

Uczony na wszystkie te pytania odpowiada poprostu, że siła materji wybuchowej jest wynikiem nagłego wytworzenia się wielkiej ilości prężnych gazów, w przestrzeni zbyt małej, by je pomieścić, znajdujących się pod ciśnieniem atmosferycznem. Uczony przekonany jest oczywiście, że tłumaczenie to wszystko wyjaśnia i starczy najzupełniej. My jednak zapuszczamy się na dno prawdy i wiemy już teraz, jak zazwyczaj co o tem wszystkim sądzić.





*PRZEBACZENIE KRZYWD.*

PREPARED BY

Pożyteczna to, zaprawdę, rzecz pytać od czasu do czasu o właściwe znaczenie niektórych wyrażzeń, będących odwiecznym uniformem odczuć, które uległy zmianie.

Słowo: — przebaczenie — naprzykład, z pierwszego wejrzenia najpiękniejsze bodaj w ludzkiej mowie, zaliż ma ono dotąd, zali miało kiedyś wogóle przyznawane mu przez nas znaczenie amnestji zupełnej i boskiej niemal? Czyliż nie należy go raczej zaliczyć do określeń wyrażających jeno rozpęd dobrej woli człowieczej, ideał, jakiego ziścić nigdy nie zdołano?

Ileż prawdy istotnej zawierają słowa nasze, gdy mówimy do krzywdziciela swego: — Oto przebaczam ci i zapominam! — Zaiste w ten sposób bierzemy na siebie zobowiązanie: — Nie będę się starał mścić i szkodzić ci! — Reszta, którą obiecujemy, nie zawisła wcale od woli naszej. Nie sposób zapomnieć doznanego zła, albowiem z wspomnieniem tem związany jest bezpośrednio najgłębszy i najistotniejszy z naszych instynktów, to jest instynkt samozachowawczy.

Nie rozpoznajemy nigdy w sobie człowieka, który w danym momencie wdziera się w egzystencję naszą. Jest nam jeno obrazem, wyrysowanym przezeń samego w pamięci naszej. Coprawda, życie, jakiego jest pełen, objawia nam mnóstwo rzeczy, nie dających się zdefiniować, a potężnych. Oblicze owo przywodzi całą masę obietnic, głębszych niezawodnie i szczerzych od słów, czy czynów, któreby je niezadługo zdementować musiały. Ale ten wielki znak posiada jeno idealną wartość. Znajdujemy się w świecie, gdzie bardzo niewielka liczba istot żyje wedle prawdy, o jakiej świadczy sama ich egzystencja, a dzieje się to skutkiem naporu okoliczności, albo zasadniczego, początkowego błędu. Z biegiem czasu długie, ponure doświadczenie uczy nas nie liczyć się z owem zbyt tajemniczem obliczem. Okrywa je maska twarda, ostro zarysowana, nosząca piętno wszystkich faktów i odruchów, jakie zaszły w nas lub obok nas. Czyny dobre nadają jej barwy ponętne i delikatne, zaś czyny złe żłobią w niej bruzdy głębokie. W rzeczywistości tedy człowieka, zbliżającego się do nas, dostrzegamy pod kształtem takiej jeno maski, wymodelowanej przez wspomnienie chwil miłych lub przykrych. Gdybyśmy tedy powiedzieli, o ile nas skrzywdził, że mu prze-

baczamy, to znaczyłoby to poprostu, iż go nie poznajemy wcale.

\*

Trzeba się dowiedzieć teraz jaki wpływ będzie miało owo rozpoznanie na stosunki nasze z człowiekiem, który nas skrzywdził. Dzieje się tutaj podobnie jak w wielu innych razach, że pierwsze nieświadome jeszcze kroki dobrej woli naszej, bezpośrednio po przebudzeniu kierują się w stronę ideału religijnego. Na szczycie tego ideału, niby symbol jego, możnaby wyobrazić legendarną grupę chrześcijanki grzebiącej z narażeniem własnego życia zwłoki nienawistnego i przekłętogo Nerona. Nie ulega kwestji, że czyn tej kobiety wznioślejszy jest i bardziej niesięzny dla rozumu ludzkiego, niżli uczynek Antygony, w którym wyraża się ideał pogański. Mimo to nie wyczerpuje wcale całego zakresu przebaczenia chrześcijańskiego. Wyobraźmy sobie, że Neron nie zginął, ale znajduje się w stanie takim, iż jakiś heroiczny ratunek mógłby mu ocalić życie. Otóż obowiązkiem chrześcijanki będzie pospieszyć mu z tą pomocą, mimo że wie z pewnością absolutną, iż powrót tyrana do zdrowia wywoła wznowienie prześladowań. Może wznieść się wyżej jeszcze. Wyobraźmy sobie, że ma do wyboru ratować

brata, lub potwora, który ją skaże na śmierć i że ci dwaj ludzie znajdują się w tem samym stadium niebezpieczeństwa. Otóż szczyt ideału osiągnie chrześcijanka dopiero wówczas, gdy popieszy z pomocą tyranowi.

\*

Cóż sądzić mamy w świecie naszym my, którzy nie uznajemy świata innego w tym ideale tak szczytnym, mimo nagród zaziemskich, jakie zostały przyrzeczone wyznawcom jego? Któregoż z bohaterów miłosierdzia nazwiemy szaleńcem i który moment wyda nam się najprzepastniej nadludzkim? Pierwszy, to dziedzina, kędy widać jeszcze czasem ślad stopy człowieka, dwie jednak ostatnie pustacie ducha są dziś zgola bezludne. Uświadommyż sobie, że istnieje tu rodzaj heroicznego traktatu handlowego, opartego o wiarę, a dziś niemożliwego już. Ale choćbyśmy pominieli samą wiarę, to w samej bezdni nierozumu tego ideału istnieje coś specyficznie ludzkiego, co pozwala nam przeczuwać do jakich wyżyn mógłby sięgnąć człowiek, gdyby życie nie było tak okrutne.

Nie sądźmy, że przykłady tego rodzaju, wzięte z krańców wyobraźni, są bezistotne i absurdalne? Życie daje nam ciągle ekwiwalenty mniej

tragiczne może, ale równie bezsprzecznie trudne, a umysł zdolny do aktów najwyższych jest wykładnikiem tego, jak wysoko wznieśćby się mogli małuczcy. Wszystko, cośmy zamierzili na wielką skalę, jawi się swego czasu w skali pomniejszonej, a wybór, jakiśmy uczynili na szczytach, jest miarodajny dla wyboru, jakiego dokonamy na nizinach.

\*

Możemy się zresztą nauczyć przebaczać, tak jak to czyni chrześcijanin. Podobnie jak on nie jesteśmy więźniami tego świata, który oglądamy cielesnemi oczyma naszymi. Starczy wysiłek podobny, tylko w inną skierowany stronę, a wyrwać się możemy z łatwością. Chrześcijanin, podobnie jak my, nie zapomniał krzywdy, nie starał się dokonać rzeczy niewykonalnej, ale poprostu zatopił całą urazę i żądze pomsty w nieskończoności bóstwa swego. A owa nieskończoność, gdy się jej lepiej przyjrzymy, nie różni się tak bardzo od naszej. Obydwie są w gruncie jeno owem nienazwalnem odczuciem nieskończoności, które przepelnia nas wszystkich. Religja podnosiła, że tak rzekę, mechanicznie wszystkie dusze na tenże sam poziom, na owe wyże, na które piąć się teraz musimy o własnych siłach. Ponieważ atoli znaczna ilość dusz, jakie

za sobą porwała, dotknięta była jeszcze ślepotą, przeto religja nie czyniła daremnych wysiłków, by dawać im wyobrażenie jasne o prawdach dostrzegalnych z szczytów owych. Poprzestała na obrazach przystosowanych do ich zdolności apercepcyjnych i łatwych do ujęcia, a metoda owa, z przyczyn najrozmaitszych, dawała niemal te same wyniki, co nasze wysiłki, to jest wywoływała wizję realną, jaką osiągamy dzisiaj. — Należy przebaczać doznane krzywdy, albowiem wskazuje to Bóg i sam dał przykład przebaczenia najdoskonalszego, jakie sobie wyobrazić możemy. Rozkaz ten, który spełnić można, nie otwierając zgoła oczu, jest wprost identyczny z tym jaki nam daje konieczność i głęboka bezwina życia całego, o ile na te sprawy spoglądamy z dostatecznej wyżyny. Jeśli zaś rozkaz nasz nie zmusza nas do miłowania wroga ponad brata, to nie dlatego, by ideał nasz był mniej szczytny, ale dlatego, że zwraca się do serc mniej interesownych i inteligencji, która nauczyła się nie sądzić ideału jedynie wedle tego, czy jest łatwiejszy, czy trudniejszy do ziszczenia. Naprzykład w pokucie i umartwieniu, a także w ofierze, istnieje cała serja coraz to uciążliwszych zwycięstw duchowych, a są one realnie szczytne nie przez to, iż przekroczyły już kręgi atmosfery ludzkiej



i nie przez to, że błyszczą w próżni, niepotrzebne, a nawet często zgoła szkodliwe. Człowieka żonglującego kulami ognistymi na szczycie wieży, czyli dokonywającego rzeczy trudnej, nikt chyba nie porówna z człowiekiem, który rzuca się w ogień czy wodę by ocalić dziecko, mimo, że niebezpieczeństwo, na jakie się wystawia, jest znacznie mniejsze. W każdym razie i skuteczniej może niż pierwszy rozkaz, o którym mówimy, rozprasza nienawiść, albowiem nie jawi się z woli obcej, ale rodzi się w samych nas na widok nieogarniętego mnóstwa przejawów życia, gdzie czyny ludzkie nabierają właściwego znaczenia i zajmują przynależne im miejsce. Niema już złej woli, niewdzięczności, niesprawiedliwości, ni przewrotności, niema już nawet egoizmu w niewysłowionej i bezkresnej ciemni, gdzie męczą się egzystencją własną biedne istoty, prac się poprzez mroki z dobrą wolą, którą daje przekonanie, że spełniamy obowiązek, lub wykonywamy przysługujące nam prawo.

\*

Nie obawiajmy się, że obraz ów i jeszcze inne podobne, równie ściśle, a wspanialsze zapewne, które przytomne być winny zawsze oczom naszym, wytrąca nam z ręki broń i uczynią nas ofiarami w życiu realnem o ciaśniejszym zakresie

i twardszych warunkach bytu. Niewielu już, zaiste, z pośród nas musi wzmacniać środki obrony, wyostrzać swą roztropność, lub zwiększać podejrzliwość czy egoizm. Instynkt i doświadczenie życiowe sprawę tę doprowadziły do doskonałości wielkiej. Do utraty równowagi nie doprowadzi nas, zaiste, dzisiaj to, co staje w sprzeczności z drobnymi codziennymi sprawami. Zapanowały one niepodzielnie, a cały wysiłek czujnej myśli starczy ledwo na to, by nie zejść z drogi na beznadziejny manowiec. Atoli nie jest rzeczą obojętną ani dla otoczenia naszego, ani dla nas samych, czy akty ataku i obrony rysują się na ponurem tle nienawiści, pogardy i rozczarowania, czy otacza je przejrzysty widnokrąg pobłażliwości i cichego przebaczenia, które rozumie i wyjaśnia wszystko. Nadewszystko unikajmy lekcji nikczemności, jakie z biegiem upływających lat życia niesie nam doświadczenie. Mieszczą się w nich rzeczy ciężkie i nieprzejrzyste, leżące w sferze instynktu i sięgające zapewne dna życia. Niema potrzeby zajmować się nimi, bowiem same kielkują i mnożą się na podłożu nieświadomości.

Są atoli inne sprawy czystsze i subtelniejsze i winniśmy się nauczyć chwycić je i utrwać zanim rozpierzchną się w przestrzeni. Każda myśl da się na tyle różnych interpretować spo-

sobów, ile różnych sił mieści świadomość nasza. Najniższe wydają się zrazu najprostszemi, naj-  
słuszniejszemi i najnaturalniejszemi, albowiem  
jawią się najpierw i idą po linii najmniejszego  
oporu. Jeśli nie będziemy walczyli bezustannie  
z ich zalewem chytrym i codziennym, podgryzą  
i zatrują z wolna każdą nadzieję i wszystką wiarę,  
która w młodości utworzyła najszlachetniejszą  
i najrodzajniejszą sferę umysłowości naszej. Wy-  
jałowiłyby się dusze i na ostatnie dni życia nie  
pozostałoby nam nic, poza nader smutnymi  
ruinami rozumu. Konieczną jest przeto rzeczą  
gromadzić jak najszczytniejsze ujęcia faktów, na  
które natykamy się co chwila w miarę mno-  
żenia się niskiego i przyziemnego dorobku prak-  
tycznego zmysłu życia. Im głębiej zanurza się  
w głębę ziemi korzeń życia naszego, tem górniej  
sięgać winien wierzchołek jego rozkwiecony  
i okryty owocem. Niezbędną jest ciągle czujna  
myśl, któraby przewietrzała i ożywiała martwość  
lat co płyną, a idea ta jest tak praktyczna, po-  
zytywna i tak niewątpliwie ujmuje samą istotę  
rzeczy, że gdybyśmy ją zastosowali do najtaj-  
niejszych faktów i przeprowadzili w najdrobniej-  
szych rozgałęzieniach, to niezawodnie analiza  
wykazałaby w końcu niewątpliwie, iż stanowi  
najprawdziwszą życia samego zasadę.



*PRZYPADEK.*



Im bardziej uczymy się władać siłami przyrody, mnożą się coraz to więcej możliwości przypadku, podobnie jak wzrasta niebezpieczeństwo pogromcy wraz z liczbą dzikich zwierząt, z którymi wyprawia harce w klatce. Dawniej unikałszy ile możności zetknięcia się z temi siłami, dzisiaj atoli obcujemy z niemi ustawicznie. To też, mimo coraz to większej roztropności w życiu praktycznym i złagodzenia obyczajów, dużo częściej niż ojcowie widzujemy zbliżoną śmierć. Nie ulega wątpliwości, że wielu czytelników niniejszego szkicu doznało tychże samych wrażeń i poczyniło analogiczne spostrzeżenia.

\*

Jedną z pierwszych, nasuwających się tu kwestyj, to problem przeczucia. Jest to rzecz, zdaniem wielu, oczywista, że od samego rana mamy przeczucie przypadków, zagrażających nam w ciągu dnia. Trudno jednak ująć ściśle ową intuicję, albowiem doświadczenie nasze dotyczy jeno faktów, które nie przybrały złego

obrotu, a przynajmniej nie pociągnęły złych skutków za sobą. Otóż owe bezskuteczne zdarzenia nie tykają nawet, rzecz można, głębokiej toni naszego instynktu w sposób aprioryczny, nie posiadają mocy ostrzegawczej. Inne, pociągające za sobą śmierć bliższą czy dalszą, są nader nieuchwytnie i rzadko ofiara zdobywa się na tyle jasnowidztwa, by zaspokoić w pełni naszą ciekawość. Wszystko, czego doświadczenie osobiste może nam w tej mierze dostarczyć, owiewa mgłą niepewności, a kwestja ciągle trwa w tej samej formie.

Przypuśćmy, że o świcie pogodnego dnia wyruszyliśmy automobilem, rowerem, motocyklem lub łodzią motorową. Nie idzie o to czem, gdyż przypadek jest zgoła niezależnym od środków naszej lokomocji faktem. Celem jednak sprecyzowania obrazu weźmy auto lub motocykl, gdyż są to przedziwne narzędzia nieszczęścia i najśmielej igrają z losem w hazardowej grze życia i śmierci. Nagle, bez powodu, na zakręcie, pośród ścielącej się w dal szerokiej drogi, czy na stoku góry, wyskakuje w momencie kiedy chwytamy kierownicę czy hamulec przeszkoda i zatarasowuje całą wolną przestrzeń. Może to być bylejakie nawet, przejrzyste napoly drzewo,



mur. skała. słowem dowolny przedmiot i oto staje przed nami śmierć nieprzewidziana, bezpośrednia, niewątpliwa, nieunikniona i zamyka jednym gestem cały horyzont, nie pozostawiając wyjścia.

Natychmiast rozpoczyna się pomiędzy naszą świadomością a instynktem scena gwałtowna, desperacka, trwająca zaledwo sekundę. W niezwykle ciekawej sytuacji znajduje się nagle nasza inteligencja, rozum czy świadomość, bez względu jakie temu kompleksowi funkcji nadamy miano. Uświadamiamy sobie niezwłocznie, zupełnie trzeźwo i logicznie, że wszystko stracone bez ratunku. Nie popadamy jednak w szal, ni strach. W myśli zarysowuje się wyraźnie katastrofa z wszystkimi szczegółami i konsekwencjami, a rozum stwierdza z zadowoleniem, że nie boi się i nie traci bystrości. Ma on pomiędzy upadkiem a ciosem śmiertelnym bardzo dużo czasu, to też rozważa, sądzi, bawi się myślami, zbacza w różne strony, wywołuje wspomnienia, snuje analogje, robi spostrzeżenia drobiazgowo i dokładne. Drzewo, które widać poprzez śmierć, to jawór, kora miejscami poodpadała i nie tak jest piękny jak jawór w parku. Skała, o którą zmiążdży się czaszka, posiada żyłki błyszczącego lyszczyku i białe wprysnięcia kwarcowe. Uświa-

damiamy sobie, że skała ta nie jest niczemu winna, że nie możemy jej czynić zarzutów żadnych. Zda się do nas uśmiechać, odczuwa jakąś jakby niewyraźną rozkosz i czeka na to, co musi nastąpić nieuchronnie z łagodną rezygnacją, przelśnioną rozciekawieniem przedziwnem.

\*

Rzecz oczywista, że gdyby życie nasze zależnem było jeno od interwencji owego nie-  
dołęznego obserwatora, zbyt logicznego i jasno-  
widzącego, to jest rozumu, każdy przypadek  
kończyłby się nieuchronną katastrofą. Na  
szczęście, ostrzeżony przez nerwy rozszalałe,  
wibrujące, wołające ratunku, niby dzieci wrzesz-  
czące w ciemku, wychyla się na scenę inna istota,  
niesamowita, brutalna, naga, muskularna i, roz-  
bijając wszystko w puch, chwyta gestem mo-  
carnym resztki autorytetu i szans ocalenia, jakie  
ma pod ręką. Zwiemy istotę ową instynktem,  
podświadomością, intuicją, a zaprawdę, nie za-  
leży zgoła na tem nazwaniu. Niewiadomo gdzie  
był dotąd i skąd przybywa zbawca? Spał, czy  
pełnił jakieś niedostrzegalne funkcje w głębi  
prymitywnych podziemi naszego ciała? Dawniej  
królował niepodzielnie nad życiem, ale z biegiem  
długich wieków wydalono go w suterény ciemne

i zimne, dano mu na mieszkanie norę, niby biednemu krewniakowi bez wychowania, obdar-temu, niesfornemu, będącemu niemiłym świadkiem minionej dawno niedoli i nędzy. Przypominamy sobie o nim i wzywamy jego pomocy jeno w rozpacznych sekundach najwyższej trwogi. Na szczęście jest to istota wolna od ambicji osobistej i nie żywi urazy. Wie zresztą dobrze, że wszystkie owe przyozdoby górnych pięt, to majak i nicość, który znika w momencie, gdy się nim wzgardzi i że w gruncie rzeczy on sam jest istotnym panem owego mieszkania ludzkiego. Ogarnia sytuację błyskawicą spojrzenia, szybszą niż straszliwy rozmach niebezpieczeństwa, szereguje szczegóły, przewiduje sposoby wyjścia, uświadamia sobie wszystkie możliwości i wspa-niałym, niezapomnianym gestem, wyzwajającym całą potęgę i odwagę, precyzję i wolę, sprawia, iż niezwyciężone życie wygrywa bój z niezwy-ciężalną śmiercią.

\*

Szampjon istnienia jawi się w najściślejszym, najdokładniejszym sensie nagle, niby kosmaty dzikus legendarny, spieszący na ratunek zroz-paczonej księżniczce i iści cud. Posiada nade-wszystko niezrównane zalety bezwłoczności, nie

wie co namysł, łamie przeszkody i władnie niepodobieństwem. Nie liczy się nigdy z klęską, nie uznaje rzeczy nieuniknionych i w chwili ostatecznego pogrążenia działa zgoła wbrew nadziei tak, jak gdyby wątpliwość, niepokój, strach i zniechęcenie były pojęciami zgoła nieznanymi siłom pierwotnym, którymi włada. Poprzez mur granitowy dostrzega jeno ocalenie podobne szczelinie sączącej światłość, a przez to właśnie, że je dostrzega, draży je w skale zatraty. Bez wahania powstrzymuje spadającą górę, usuwa na bok skałę, skacze na cienki drut żelazny i wciska się pomiędzy kolumny, które, biorąc rzecz z punktu matematycznego, nie dopuszczają przejścia. Pośród kilku drzew wybiera nieomylnie to, które zwalić się musi pod uderzeniem, albowiem niedostrzegalny robak podgryzł mu korzeń. Pośród gęstwy listowia dostrzega jedyną silną gałąź, zdatną utrzymać ciężar nad przepaścią, a w stosie ostrych odłamków skalnych ściele, zda się, naprzód miękkie łoże, na którym spocznie ciało.

Po drugiej stronie niebezpieczeństwa staje rozum zdumiony, oszołomiony, drżący, niepewny, zbity z tropu i, obróciwszy głowę, gapi się przez chwilę na ową rzecz nieprawdopodobną. Potem obejmuje na nowo kierownictwo, wchodzi w swe

prawa, a dobry dzikus, któremu nikt nie składa oczywiście podziękii, wraca cicho i spokojnie do swojej nory.

\*

Nie jest nawet zgoła rzeczą dziwną, że instynkt chroni nas od wielkich, a ciągłych niebezpieczeństw i czyni to od niepamiętnych czasów. Zawdzięczamy mu ocalenie od wody, ognia, upadku, ciosu, napadu zwierząt. Wzwycał się niezawodnie do czynów takich, a atawistyczne doświadczenie tłumaczy wielką jego wprawę. Zachwyca mnie jednak łatwość i natychmiastowość, z jakimi przystosowuje się do najbardziej skomplikowanych i najdziwniejszych wynalazków i pomysłów inteligencji naszej. Starczy pokazać mu raz jeden mechanizm najprzedziwniejszej maszyny, nawet zgoła cudacznej i nieprzydatnej naszym realnym potrzebom, a zrozumie niezwłocznie i w ostatecznej potrzebie potrafi wyznać się w jej najskrytszych tajnikach, tak, że pokieruje nią nierównie lepiej, niż sama inteligencja, która ją wytworzyła.

To też choćby nie wiedzieć jak nowy, dziwny, czy straszliwy był przyrząd, wywołujący niebezpieczeństwo, można powiedzieć, że niema katastrof nieuniknionych. Instynkt staje zawsze na wyżynie każdej sytuacji, jaką sobie jeno

zdołamy wyobrazić. Nawet w kleszczach, ściskających nam gardło, możemy jeszcze liczyć na zbawczy odruch instynktu, który włada środkami niewyczerpalnymi jak wszechświat, czy przyroda, bo z tych właśnie źródeł nieznanych czerpie pełną dłoń.



Mówiąc otwarcie, przyznać się winniśmy, iż nie wszyscy możemy z równą pewnością liczyć na tę wszechpotężną interwencję. Instynkt nie umiera, nie grymasi i nie myli się nigdy. Mimo to wielu nie jest w stanie powołać go do działania, albowiem wrzucili go oni w tak przepastne głębie zapomnienia, tak rzadko zezwalają mu wyrzeć na słońce, gwałcą go tak w okrutny i upokarzają w tak bezlitosny sposób, że w momencie potrzeby ostatecznej zawodzi. Ludziom tym poprostu brak fizycznie czasu na uprzedzenie i na rozpętanie instynktu osadzonego w kajdanach, w ciemnej „zapomince“ podziemnej. Kiedy jawi się na miejscu czynu ożywiony jak najlepszymi chęciami, zbrojny w narzędzia, gotowy do dzieła, zło się już stało, śmierć dokonała swego i na pomoc zapóźno.

We wszystkich przypadkach ujawnia się zawsze owa nierówna dzielność instynktów, którą

zdaniem mojem, przypisać należy raczej szybkości wyzwolenia, niżli jakości żądanej odeń pomocy. Wyobraźmy sobie dwu automobilistów w dwu podobnych groźnych sytuacjach, gdzie śmierć jest niemal pewna, a wszystkie warunki zupełnie identyczne. Otóż jednego ocali coś wprost nieuchwytnego, pęknięcie osi, skok wozu, skrzywienie, zwrot, zatamowanie ruchu, słowem, cud oczywisty, drugi zaś pójdzie drogą normalną i roztrzaska się bez ratunku na przeszkodzie. W wozie mieści się sześć osób i wszystkie czeka ten sam los. Trzy z nich uczynią gest jedyny i jedynie możliwy, nielogiczny, niespodziany, ale konieczny, reszta będzie postępowała nader rozumnie, w przeciwnym sensie, i przypadnie.

Byłem niemal świadkiem pewnego wypadku. Przybyłem na miejsce tak bezpośrednio po katastrofie, że wszystkie świeże szczegóły wryły mi się nader żywo w pamięć. Dramat rozegrał się na stoku Gourdonu, w górzystej wioszczyźnie, znanej dobrze turystom na przestrzeni Cannes-Nicea. Wioszczyzna ta odwieczna mieści się na pionowej niemal skale, a położenie to zabezpieczało ją dawniej przed napadami barbaresków afrykańskiego wybrzeża. Skała ma ośmset metrów wysokości, a wiedzie po niej serpentynowa droga, otoczona z obu stron przepaściami. Niebezpieczną

tą drogą toczyła się bryczka z ośmiu osobami pośród nich zaś jechała matka z kilkumiesięcznym dzieckiem. Nagle koń spłoszył się, stanął dęba i skoczył w przepaść. Podróżni, pewni nieuniknionej śmierci, znikli w bezdni najeżonej straszliwymi złomkami skał, ale matka zdołała przedtem rzucić dziecko na drogę po drugiej stronie bryczki. Przedziwny to był odruch instynktu miłosnego. Aliści cudem jakimś, zdarzającym się dosyć często, gdy idzie o życie ludzkie, siedm osób zatrzymały gęste krzewy kolczaste, porastające skały, tak że poza lżejszemi odrapaniami nie poniosły szkody, natomiast dziecko uderzyło głową o kamień, doznało załamania czaszki i skonało na miejscu. Walczyły tu dwa instynkty sprzeczne, a właśnie ten, w którym przejawił się błysk świadomości, uczynił gest niezręczny. Możliwość tu mówić o tak zwanem szczęściu i fatalności. Nie mam nic przeciw wskrzeszeniu tych słów tajemniczych, pod warunkiem że zostaną użyte dla określenia niepojętych aktów podświadomości, czy instynktu. Dobrze jest, zaprawdę, ile razy tylko można, doszukiwać się źródła tajemnicy w nas samych, gdyż tą metodą zacieśniamy smętny teren błędu, zniechęcenia i poczucia niemocy.



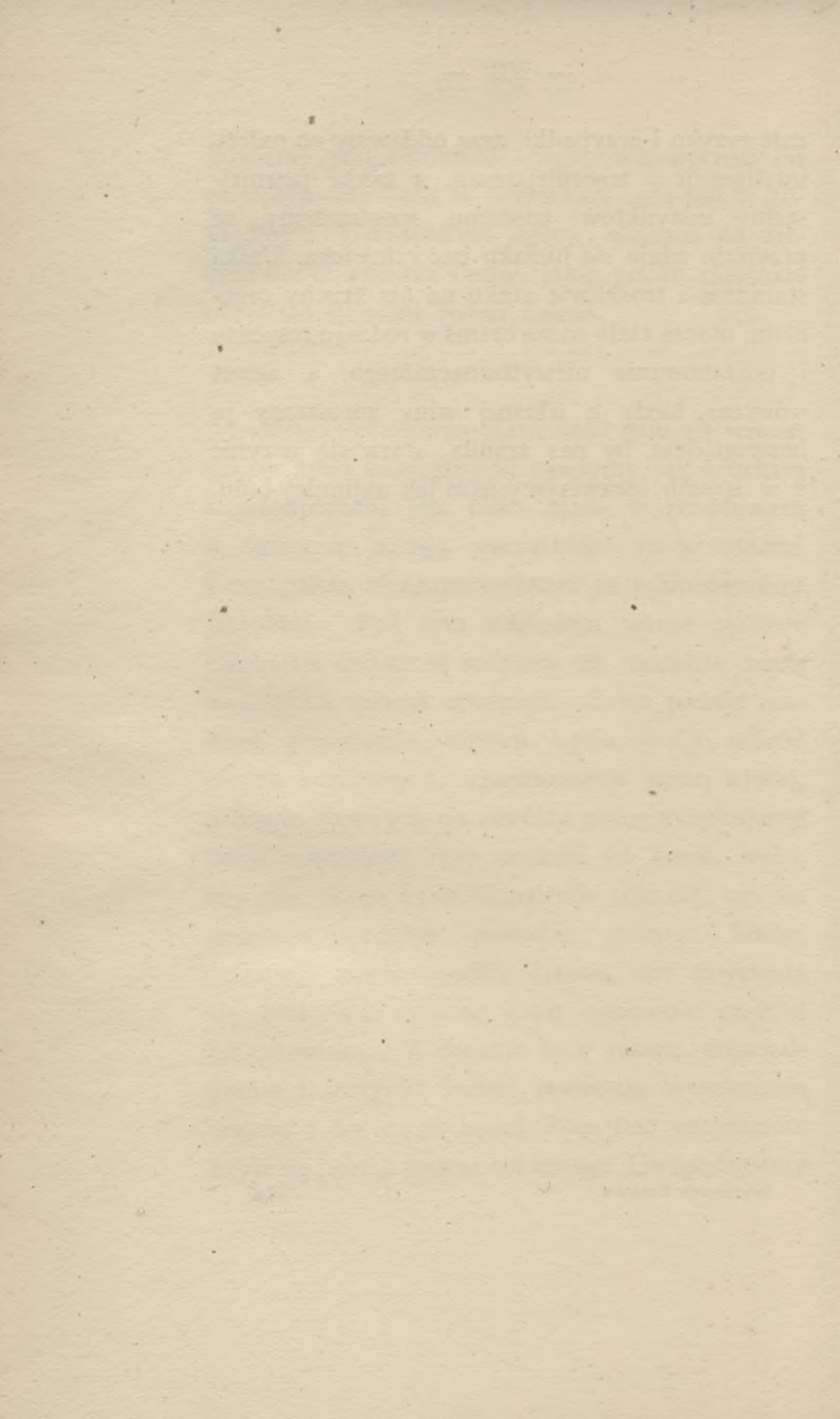
Należy teraz zastanowić się, czy możemy, nie powiem udoskonalić instynkt, gdyż uważam go za doskonały pod każdym względem, ale czy możemy go zbliżyć do woli, rozpętać jego więzy i przywrócić mu pierwotną swobodę. Kwestja ta domaga się oddzielnego studjum. Zanim je ktoś podejmie, podkreślam, że zdaniem mojem częste, nawykowe, a systematyczne zbliżenie się do sił przyrodzonych, faktów materialnych, do onego całokształtu wielkich spraw, zwanego przez nas naturą, że wszystko to zmniejsza z dniem każdym odległość, jaką będzie miał przebiec instynkt, ile razy pospieszy nam z pomocą. Właśnie odległość ta, niewymierna wprost u człowieka pierwotnego, prostaczka, czy szaraczka życia, wzrasta wraz z wykształceniem i cywilizacją. Przekonany jestem, że możnaby ustalić konkretne dane, iż wieśniak, czy robotnik, nawet starszy i mniej zręczny od swego pracodawcy, czy inżyniera, ma dwa, do trzech razy więcej szans ocalenia w tejże samej katastrofie niżli wymienieni, przewyższający go wykształceniem. W każdej zresztą katastrofie, ofiara *a priori* jest winną. Musi sobie powiedzieć bez żadnych ceregieli, iż każdy inny na jej miejscu ocalałby niezawodnie, to też człowiek, ulegający katastrofie, nie ma już z góry kwalifikacyj życiowych,

bowiem podświadomość jego, nieodłączna od podtrzymania życia w przyszłości „nie jest w porządku“. Upośledzona zgóry, skazana na nieaktywność, posiada cechy, jakie prawo rzymskie określało słowami *minus habens*.



Mimo to cudowną przedstawi nam się wprost szansa życia naszego, jeśli zważymy, jak kruchem i nieodpornem jest ciało nasze w porównaniu z ogromną potęgą wszystkiego, co je otacza, i mnogością niebezpieczeństw, na jakie narażeni jesteśmy. Pod tym względem szanse życiowe człowieka wyższe są znacznie od takichże szans wszystkich innych stworzeń. Żyjąc pośród maszyn, przyrządów, trucizn, ognia, wody, pośród owych rozlicznych, ujarzmionych mniej więcej, a ciągle gotowych do rewolty potęg, ryzykujemy życie trzydzieści razy częściej od konia, wołu, czy psa. Mimo to w katastrofie ulicznej, czy na gościńcu, podczas powodzi, pożaru, burzy, trzęsienia ziemi, upadku drzewa, czy zawalenia się budynku, zwierzę ginie nierównie częściej od człowieka. Widocznie tedy rozum, doświadczenie i instynkt ludzki posiadają wyszkolenie wyższe i bronią go lepiej. Poza tem wszystkim kryje się jednak jeszcze coś innego. Uwzględniwszy

całe ryzyko i przypadki, oraz oddawszy co należy inteligencji i zręczniejszemu, a także pewniejszemu instynktowi naszemu, spostrzeżemy, że przyroda zdaje się niejako bać człowieka. Unika starannie i troskliwie ataku na ów kruchy organizm, otacza ciało nasze czemś w rodzaju respektu i poszanowania niewytłumaczalnego, a nawet wówczas, kiedy z własnej winy zmuszamy ją bezwzględnie, by nas zraniła, stara się uczynić to w sposób sprawiający nam jak najmniej bólu.



*NASZ OBOWIĄZEK SPOŁECZNY.*



Wyznajmy szczerze tę wielką prawdę, że dla ludzi wyposażonych w dobra tego świata istnieje przede wszystkim obowiązek wyzbycia się ich na korzyść tłumu, nie posiadającego nic, i zrównania się z ową masą nieposiadaczy.

Każdy, kto posiada umysł jasny i logiczny, przyzna, że niema obowiązku wyższego, a jednocześnie spostrzeże, iż brak odwagi czyni spełnienie tego obowiązku niepodobieństwem. Przywołując sobie na pamięć całe dzieje bohaterskiego pełnienia obowiązków ludzkości, spostrzegamy, że nawet w epokach najzarliwszych, nawet w początkach chrześcijaństwa i u początków zakonów, które za cel główny postawiły sobie ubóstwo, był to jeden jedyny obowiązek, który dopełnionym w zupełności nie został nigdy. To też zastanawiając się nad innymi naszymi, niejako subsydjarnymi obowiązkami społecznymi zapamiętać trzeba, że ten właśnie zasadniczy został z umysłu wyeliminowany. Uświadomić to sobie należy z całą jasnością i nie zapominać, że żyjemy i rozumujemy niejako w cieniu, rzucanym przez

tę naczelną prawdę, i że najśmielszy, najdalej posunięty gest nie zdoła postawić nas na jasnym punkcie, to jest tam, gdzie znaleźć winniibyśmy się z samego początku.

\*

Ze względu, że mamy tu, jak się wydaje, do czynienia z niemożliwością absolutną, a wszelkie deliberacje na ten temat byłyby zgoła jałowe, przeto przyjąć musimy naturę ludzką taką, jaką z musu jest. Nie mogąc iść drogą prostą, jedynie wiodącą do celu, starajmy się na drogach innych dotrzeć do zagadnienia będącego wielkim ciężarem, uciskającym sumienie ludzkości. Zapytajmy tedy poprostu co czynić winni ludzie dobrej woli w obecnym stanie społecznym? Czy przyłączyć się mamy *a priori* i systematycznie do tych, którzy dezorganizują społeczeństwo dzisiejsze, czy do tych, którzy wysilają się na podtrzymywanie jego ekonomji? Czy może lepiej, nie łącząc się z żadnym stronnictwem, stawać w obronie spraw i czynów poszczególnych, jakie w jednym, czy drugim obozie wydadzą się dobre? Rozważania takie dają zaprawdę umysłowi szczeremu i woli dobrej dużo pola do wahań i niepewności, to też jest rzeczą pożyteczną zważyć to, co przemawia „za“ i „prze-



ciw“ w tej chwili właśnie, kiedy wybór jawi się każdemu uczciwemu człowiekowi jako konieczność nieodzowna i nagląca. Musimy uczynić to z większą niż zazwyczaj w życiu powszednim starannością i tak obiektywnie, jakbyśmy byli bezinteresownymi mieszkańcami którejś z pobliskich planet.

\*

Nie będziemy przechodzić wszystkich odwiecznych argumentów, ale podejmiemy jeno te, których moc dowodowa jest niewątpliwą. Przedewszystkiem napotykamy tedy argument uzasadniający nierówność społeczną tem, że jest nieunikniona, zgodna z prawami natury i panuje w całym świecie zjaw żywych. To prawda zupełna, ale zdaje się, rodzaj ludzki został powołany do życia po to, by wznieść się ponad pewne, dotychczas obowiązujące prawa i stworzyć nowe. Gdyby rzekł się swej misji przewyciężenia wielu takich praw, samo istnienie ludzkości byłoby zagrożone. Skutkiem specjalnych cech swoich, człowiek zmuszony jest powodować się prawami innymi, przekraczającemi prawa animalne. Takie przeciwargumenty wytoczyćby można. Zresztą sam zarzut jest oddawna zaliczony do klasy niebezpiecznych, bowiem na zasadzie tej możnaby zgodzić się na mordowanie

słabych, chorych; starców i tym podobne zwierzęce czyny.

Koniecznem jest, mówią inni, i to właśnie dla ziszczenia triumfu sprawiedliwości, by najlepsi w społeczeństwie nie pozbawiali się przedwześnie broni tak dzielnej, jaką jest bogactwo i swoboda. Ludzie, mówiący tak, uznają konieczność wielkiej ofiary, stoją tylko na stanowisku oportunistycznym i praktycznym, a słusność przyznaćby im należało, gdyby byli szczerzy, to jest gdyby bogactwo i swoboda służyły jedynie i wyłącznie dla celu przyspieszenia dzieła sprawiedliwości.

Następny argument konserwatywny opiera się na zasadzie, że pierwszym obowiązkiem człowieka jest unikanie gwałtu i rozlewu krwi. To też rozwój społeczeństwa winien być powolny, dojrzewać w sposób naturalny, należy go poskramiać, dając czas masom do osiągnięcia świadomości, a ludzi wieść trzeba równym krokiem, bez wstrząśnień, ku wolności i pełni dóbr, inaczej miast udoskonalenia człowieka rozpętałyby się jeno najgorsze jego instynkty i żądze. Dowód to przekonywający, mimo to byłoby jednak rzeczą ciekawą obliczyć, czy zło spowodowane rewolucją gwałtowną, radykalną i krwawą nie jest przypadkiem mniejsze od onej sumy zła, jaką mieści

ewolucja powolna, rozłożona na wieki. Trzebaby sobie zadać pytanie, zali nie należy działać jak najszybciej i czy ostatecznie utrapienia i eicha niedola mas, żyjących pod jarzmem niesprawiedliwości i przez wieki czekających zbawienia, nie przeważają owego zła, na jakie narażeniby byli dzisiejsi uprzywilejowani w ciągu kilku tygodni, czy nawet miesięcy. Bardzo łatwo zapominamy o okropnościach nędzy, bowiem są one nie tak hałaśliwe, nie tak sceniczne, chociaż nierównie liczniejsze, okrutniejsze i aktywniejsze od okropności najdzikszej rewolucji.

\*

Przechodzimy do argumentu najbardziej wstrząsającego może. Ludzkość, powiadają opo-  
nenci, przebywa od lat stu okres najżywo-  
szego rozwoju, najwyższe iści zwycięstwa i zdaje  
się, przebywa wiek klimakteryczny swych  
przeznaczeń. Biorąc pod uwagę przeszłość,  
sądzić można, że weszła w decydujące stadjum  
ewolucji. Jawią się coraz to liczniejsze oznaki,  
że rodzaj ludzki dochodzi do swego apogeum.  
Żyjemy w okresie natchnień, z którym porównać  
się nie da żaden inny okres historii. Być może,  
dzieli nas od odkrycia wielkich tajemnic drobiazg  
jakiś jeno, ostatni wysiłek, błysk światła, myśl

syntetyczna, która połączy i zesumuje odkrycia dokonane, przecucia rozpiezchle lub wibrujące w powietrzu. Może rozwiążemy problemy, których rozwikłanie zniweczy wroga odwiecznego, to jest wielką niepoznawalność wszechświata i sprawi, że zgoła niepotrzebną stanie się owa wielka ofiara, jakiej się sprawiedliwość domaga od ludzi. Czyż nie jest rzeczą niebezpieczną powstrzymywać ten rozpęd, mącić ową chwilę bezcenną, niepowracalną i najszczytniejszą? Przymuszając nawet, że to, cośmy osiągnęli, nie zostałoby jak w poprzednich katastrofach straconem, zachodzi obawa, by niesłychana dezorganizacja spowodowana zaprowadzeniem sprawiedliwości nie położyła kresu tym genialnym wzlotom i temu rozwojowi ducha. Nie posiadamy żadnej pewności, iż okres taki powróci, że zaczną ponownie działać czynniki natchnienia rodzaju ludzkiego, albowiem prawa owe są równie nieuchwytnie i nieobliczalne, jak prawa kierujące indywidualnym genjuszem twórczym.

Jest to, jak powiedziałem, argument wstrząsający do głębi i groźny, ale zdaje mi się, przypisuje się zbyt wielkie znaczenie niebezpieczeństwu, które nie jest aż tak dalece oczywiste. Ponad to nastąpić musi niezmiernie doniosła kompensacja wzamian za ową krótką przerwę w zwycięskim

pochodzie ludzkości. Czyż możemy przewidzieć co się stanie, kiedy cała ludzkość weźmie udział w pracy intelektualnej, kiedy stanie do dzieła swego własnego wyzwolenia? Dzisiaj jeden za ledwo umysł na sto tysięcy znajduje warunki w zupełności sprzyjające czynom jego. Prowadzimy potwornie rozrzućną gospodarke i dewastujemy złoza sił duchowych. U góry lenistwo unieruchamia tyleż sił mentalnych, ile ich u dołu niweczy i depce nadmiar pracy fizycznej. Uważam za fakt niewątpliwy, że kiedy wszyscy będą mogli wziąć się do pracy, będącej dziś udziałem kilku jeno wybrańców losu, ludzkość pomnoży milionkrotnie swe szanse zwycięskiego dotarcia do wielkiego, okrytego tajemnicą, celu.

\*

Oto, zdaniem mojem, wszystko istotne i ważne co się da przytoczyć „za“ i „przeciw“ reorganizacji społeczeństwa i to jeno winno zajmować ludzi rozsądnych, rozważających spokojnie problem. Pośród argumentów owych wznosi się potworny monolit ucisku niesprawiedliwości. Niema potrzeby zastanawiać się nad jego argumentami, gdyż ciężą one sumieniom i obezwładniają umysły. Nie istnieje też kwestja, czy ma zostać obalony, czy nie, jeno pewna grupa ludzi

prosi tych, którzy go chcą obalić, o krótki czas zwłoki, a to w celu uprzątnięcia terenu, aby padający kolos sprawił jak najmniej szkód. Czy należy zwłokę ową przyznać, czy nie, oraz jakie za jednym i drugim przemawiają motywy, oto cały problem i zagadnienie dla ludzi dobrej wiary,

\*

Trudno odrazu zdecydować się na zwłokę. bowiem argumenty za nią przemawiające są nikłe, natomiast niesprawiedliwością byłoby odrzucać je zgory, nie ujmując sprawy z stanowiska dominującego ponad względami czysto rozumowemi. Ten punkt widzenia zachowywać należy zawsze, ilekroć idzie o sprawy przekraczające zakres doświadczenia człowieczego. Możnaby naprzykład twierdzić, że wolny wybór nie wszystkim przysługuje. Gatunek, posiadający niezawodnie świadomość swych przeznaczeń i celów tak daleko sięgającą, że pojąć jej nie może indywidualium, mógł doskonale podzielić między ludzi role w wielkim dramacie swego rozwoju. Z powodów dla nas niezrozumiałych może być rzeczą konieczną, by się odbywał powoli. Dlatego ta olbrzymia jego masa fizyczna związana jest z przeszłością i czasem obecnym, a w masie tej mogą się znajdować najlojalniejsze umysły, nato-

miast może się udać wymknąć i prześcignąć ruch masy umysłem zgoła przeciętnym. Obojętnem jest zupełnie, zali zadowolonych będzie więcej po stronie cienia, czy światła, albowiem zależy to raczej od predestynacji i otrzymanej roli, niżli od wolnego wyboru. Tymczasem dla nas, którzyśmy wydali już sąd ujemny o argumentach przeszłości, będzie to nowym motywem zniecierpliwienia. Przypuśćmy teraz rzecz bardzo możliwą. Oto niezadowoleni jesteśmy dzisiaj na przykład z narzuconego obowiązku, że tak rzekę, organicznego zburzenia wszelkich podpór dzisiejszego stanu rzeczy, a to w celu przysposobienia jutrzejszej sytuacji. Mamy z naszego punktu widzenia rację i dostrzegamy wszystkie niebezpieczeństwa i trudności spowodowane ewolucją zbyt szybką. Ale wszakże sprawa została postanowiona, przeto winniśmy spełnić wiernie funkcje przydzielone nam przez genjusz gatunku i przejść do porządku nad całą własną cierpliwością i rozwagą. Jesteśmy w atmosferze społecznej przedstawicielami tlenu, jeśli się tedy zachowamy jak tępy i nieruchawy azot, sprzeniewierzmy się misji, jaką nam wyznaczyła przyroda, a wina ta jest w skali grzechów i zbrodni ludzkich najcięższą i najmniej przebaczalną. Nie naszą jest rzeczą troszczyć się o smutne za-

zwyczaj skutki pośpiechu, gdyż tego nie zawiera rola nasza, i, licząc się z tem, wypowiedalibyśmy słowa nieprawdziwe, nie mieszczące się w tekście autentycznym natury. Ludzkość wyznaczyła nam pieczę nad tem, co widnieje na horyzoncie, dała nam rozkaz, którego analizować niewolno. Rozdziela wedle woli siły swoje. Na każdym rozstaju drogi, wiodącej w przyszłość, postawiła przeciw każdemu z nas dziesięć tysięcy zbrojnych, strzegących przeszłości, nie obawiajmy się tedy, by złą i niedostateczną miały obronę piękne wieżyce dawnych bastyl. Nazbyt jesteśmy nawet skłonni zwlekać i marudzić, oraz rozczulać się ruinami, które są koniecznością, i to nasz błąd największy może. Najdzielniejsi z pośród nas nie mogą uczynić nic ponad niedorzucanie głazu do ogromnej masy martwej, z jaką boryka się przyroda w swym rozwoju, tedy idźmy wprzód, a inni pójdą oślepieni za nami, nie zdając sobie zgoła sprawy z rozpędu, jakiemu ulegli. Gdybyśmy nawet nie mieli ze strony rozumu naszego zatwierdzenia owych środków ostatecznych, które stosujemy, to czynmy swoje dalej i wiermy wbrew rozumowi, pamiętni, że we wszystkim, skutkiem prawa przyciągania ziemi, mierzyć trzeba wyżej niż widnieje cel, do którego trafić zamierzamy.



Nie bójmy się, że pójdziemy za daleko i niech żadna, najbardziej nawet uzasadniona i słuszna refleksja nie osłabia zapału. Nasze ekscesy w przyszłość skierowane konieczne są dla równowagi świata i życia. Mnóstwo ludzi wokoło nas ma jeno ten ściśle określony obowiązek i tę jeno misję, by gasić rozpalane przez nas ogniska. Idźmy zawsze w najwyższe sfery myśli naszych, nadziejom tamy nie kładźmy i nie kielzajmy poczucia sprawiedliwości. Niech nam się nie wydaje, że wysiłki takie to jeno rzecz największych i najzdolniejszych z pośród nas. Tak nie jest, najskromniejsi bowiem z pośród nas, marząc o gwieździe, czuć się tuż przy niej w przestworzach niesiężnych powinni. Choćby niedobrze pojmowali co czynią, obecność ich na tym szczycie sprawi, że wypełni się zwolna owa próżnia przestrzeń w przestrzeni i od ziemi do krańców nieba, od genjuszów do martwej masy utworzą się łańcuchy duchów, konieczne dla komunikacji idei w wszechświecie.

Pomyślmy czasem o owym wielkim, niewidzialnym okręcie, który poprzez fale wieczności wiezie losy ludzkości. Podobnie jak okręty naszych ciasnych oceanów ma on swe żagle i balast swój. Bojąc się, by nie zatonął u wyjścia z przystani, nie należy powiększać balastu, kładąc

na dno reje i zwinięte, piękne, białe żagle. Nie są one przeznaczone na to, by gnić w ciemnościach obok kamieni i piasku. Wszakże balastu wszędzie pod dostatkiem, zaś żagiel to rzecz cenna i nie łatwo o niego w drodze. Nie powinno się ich tedy pograżać na dnie, ale wznieść wysoko na śmigłe maszty, w światłość i wiatr wiejący przez otchłanie przestrzeni.

\*

Nie mówmy sobie także, że prawda rzeczywista mieści się pośrodku, że polega na uczciwym umiarkowaniu. Takby być mogło, gdyby wszyscy myśleli szczytnie, tymczasem myśli ich pelzają nader nisko. Dlatego to inni powinni sięgać wzwyż i żywić nadzieję prześcigającą rozsądek. Nawet ta średnia przeciętna na dziś, utworzona w ten sposób, okaże się jutro czemś wprost nieprzystojnym człowiekowi. Przypadkowo dostała mi się niedawno w ręce stara, flamandzka kronika Marka van Warnewycka i w niej to znalazłem doskonały przykład tego, tak zwanego uczciwego myślenia po średniej, przeciętnej. Marek Warnewyck był bogatym patrycjuszem gandawskim, wykształconym i nawet mądrym bardzo. Pozostawił nam skrupulatny opis wydarzeń, jakie miały miejsce w jego rodzinnem mieście od

roku 1566 do 1568. Opisuje wszystkie szaleństwa obrazoburców, oraz straszną represję tego ruchu przez księcia Albę. W opisie tym autentycznym i wytwornym podziwiam nietyłe żywość kolorytu i szczegółowość malowniczą najdrobniejszej sceny wieszania, palenia, tortur, buntów, walk, czy kazań, która upodabnia utwór ten do obrazów Brueghela, ile zachwyca mnie czysta, pogodna i dziecięca wprost bezstronność autora. Będąc gorącym katolikiem, potępia z umiarkowaniem wielkiem i sprawiedliwie zarówno reformistów, jak i Hiszpanów. Jest to sędzia nieprzekupny i absolutnie rzeczowy, praktyczny i mądry, zrównoważony i powodowany najlepszą wolą, przytem wyrozumiały, łagodny i światły. Pozwala sobie czasem wyrażać żal z powodu, iż sytuacja domaga się aż tylu ofiar. Ze słów jego przebija przypuszczenie, którego jednak nie ma odwagi zamienić w twierdzenie, że możeby nie było niezbędną rzeczą palenie aż tylu codziennie heretyków. Nie postoi mu jednak ani na moment w głowie, że palenie ich wogóle jest niepotrzebne. Ta ostatnia myśl posiada w jego czasie cechy tak niezwykle, tak bardzo odległa jest jeszcze od średniej przeciętnej myśli społeczeństwa, tak dalece znajduje się jeszcze pod horyzontem rzeczy dostrzegalnych ludziom epoki, nawet

osobnikom jak autor wybitnym, że nie jawi mu się wogóle w głowie. A jednakże dzisiaj przekonanie takie jest udziałem całego świata. Czyż nie podobnie ma się rzecz z nierozwikłanemi dotąd kwestjami małżeństwa, miłości, religji, władzy, wojny, czy sprawiedliwości? Czyż ludzkość żyje za krótko jeszcze, by zdać sobie sprawę z faktu, że słuszność jest cechą idei szczytowej, to znaczy najdalej posuniętej. W chwili obecnej najrozsądniejszą ideą w kwestji organizacji społeczeństwa jest usiłowanie zmniejszania w miarę możliwości różnic klasowych i równomierniejszego rozdziału dóbr ekonomicznych. Idea szczytowa, krańcowa domaga się natychmiastowego zrównania, zniesienia własności, zaprowadzenia przymusu pracy itp. Nie wiemy jeszcze jak zostaną zrealizowane te wymagania, ale dziś już nie ulega żadnej kwestji, że nader proste i nieskomplikowane okoliczności uczynią je pewnego pięknego dnia tak samo naturalnemi i zrozumiałemi jak n. p. zniesienie prawa pierworodztwa, lub przywilejów szlachty. W kwestjach tych, które dotyczą bytu gatunku, nie zaś ludów czy indywidualów nie należy ograniczać się do ciasnego zakresu doświadczenia historycznego. To co ono nam powiada, nie może mieć znaczenia dla szerszego terenu życia ludzkości, a prawda tkwi w tym

wypadku nie tyle w rozumie, zawsze zapatrzonym w to co minęło, ile w wyobraźni wychylającej się daleko poza najdalsze rubieże przyszłości.

\*

Niechże tedy rozum nasz stara się wyjść poza doświadczenie. Jest to rzecz łatwa dla młodych, ale trzeba także, by ludzie dojrzali i starcy przyuczyli się wznosić na świetlane wyże młodocianej niewiedzy. Winniśmy w miarę jak mijają nasze lata ubezpieczać się coraz to bardziej przeciw zatraceniu wiary, którą podkopują ustawicznie napotykanymi w życiu ludzkiej woli. Wbrew wszystkiemu co mówią, starajmy się działać, kochać i żywić niewygasłą nadzieję, jakby ludzkość, z którą mamy do czynienia, była idealna. Ów ideał jest to jeno rzeczywistość szersza i ogólniejsza od tej, którą dostrzegamy. Błędy indywidualów nie mącą bardziej czystości i niewinności ogółu, niżli fale powierzchni morza, widziane z pewnej wysokości, które, jak powiadają lotnicy, w niczem nie naruszają bezruchu przeźroczych głębin.

\*

Ufajmy temu jeno doświadczeniu, które nas pędzi naprzód, bo jest ono zawsze wyższe

i szczytniejsze od doświadczenia, odrzucającego nas wstecz, lub trzymającego w miejscu. Odsuwajmy od siebie każdą radę przeszłości nie dającą nam na przyszłość wskazówek. Zrozumieli to przedziwnie i to po raz pierwszy może w dziejach świata wielcy ludzie Wielkiej Rewolucji i dlatego właśnie rewolucja owa dokonała istotnie wielkich i trwałych rzeczy. Doświadczenie to poucza nas, że wbrew nawykowi życia codziennego należy przedewszystkiem niszczyć. W każdym postępie socjalnym trudną jest jeno wielka praca usunięcia przeszłości i jej destrukcja. Niech nas o to nie boli głowa co postawimy na miejsce ruin, bowiem zajmie się tem samo życie i natura. Spieszono im aż nadto do rekonstruowania i wcale nie na miejscu byłoby dopomagać onym potęgom. Natomiast nie wahajmy się doprowadzić idei niszczycielskich do granic możliwości, bo dziewięć dziesiątych ciosów naszych zatraci się w bezwładzie martwej materji, podobnie jak najtęższy cios młotu rozdzieli się na tyle części w masie wielkiego kamienia, iż nie odczuje go nawet wątpła dłoń dziecka, która trzyma ów kamień.

\*

Nie obawiajmy się, że możemy kroczyć za szybko. Jeśli wyda się czasem, że niebezpiecznie

jest ściągać etapy i palić za sobą mosty, to pocieszajmy się tem, iż pośpiech ów ma na celu wyrównanie nieuzasadnionych opóźnień i odzyskanie czasu zmarnowanego przez całe wieki bezczynu. Podczas owych wiekowych spoczynków odbywał się nieprzerwanie rozwój wszechświata i koniecznem jest widocznie, by ludzkość znalazła się na jakimś odległym, a ściśle określonym punkcie swego przeznaczenia, w momencie danego fenomenu syderalnego, tej czy innej tajemniczej przemiany planety, lub nawet w oznaczonym dniu narodzin tego, a nie innego człowieka. Instynkt gatunku kieruje temi sprawami, a wyroki głosi przeznaczenie. Jeśli zaś nawet myli się ten instynkt, czy to przeznaczenie, to nie jest rzeczą naszą interwenjować, gdyż tutaj ustaje wszelka kontrola. Stajemy w momentach takich u celu i na szczycie samych siebie, a powyż nie istnieje nic, coby mogło błęd nasz sprostować.





## *NIĘŚMIERTELNOŚĆ.*



## I.

Życie pozagrobowe, to problem, budzący największe zaniepokojenie w tej nowej erze, w którą wkraczamy, kiedy to religje nie są już w możności rozstrzygnięcia najważniejszych zagadnień ludzkości. Zapytujemy, czy wszystko kończy się wraz z życiem, lub czy można sobie wyobrazić jakieś życie inne? Pytamy, dokąd zmierzamy i co się z nami stanie? Co nas czeka po drugiej stronie owej kruchej złudy zwanej istnieniem? Czy materja, czy może duch odnoszą triumf w minucie kiedy serce nasze bić przestaje, czy rozpoczyna się władztwo światłości wiekuistej, czy może ciemni bezkresnej?

Jak wszystko w przyrodzie jesteśmy niezniszczalni. Pojąć nie możemy, by coś zagaść mogło w wszechświecie. Nie sposób wyobrazić sobie wobec nieskończoności, by gdzieś miała istnieć nicość, w której zagaśćby mógł jeden bodaj atom materji. Wszystko, co istnieje, istnieje będzie wiecznie, wszystko istnieje, a niema czegoś

co by nie istniało. Gdyby było inaczej, to chyba mózg nasz nie ma nic wspólnego z wszechświatem, który pojąć się stara. Należałoby przyjąć wówczas, że funkcjonuje wbrew jego prawom, co przecież jest zgoła niemożliwe, albowiem może być jeno czemś w rodzaju odbłasku tegoż wszechświata.

Ginać mogą tedy jeno, lub znikać i jawić się ponownie same tylko kształty i postaci, w jakich spostrzegamy niezniszczalną materję, ale nie wiemy zgoła, jakiej rzeczywistości odpowiadają owe pozory. Jest to tkanina zasłony spoczywającej na oczach naszych, której ucisk oślepiający wywołuje jednocześnie wszystkie obrazy życia. Cóż się stanie, gdy zasłona owa spadnie? Czy wkroczymy wówczas w rzeczywistość istniejącą niewątpliwie poza nią, czy może przestaną dla nas istnieć nawet pozory owe?

## II.

W gruncie rzeczy niewiele nas obchodzi, czy możliwą jest nicość i czy po śmierci naszej wszystko pozostanie tem czem było, lub też zniknie. Jedna jedyna rzecz pośród swego wiekuistego istnienia interesuje nas żywo, a mianowicie jaki los spotka ową małą cząsteczkę życia

naszego, która spostrzegała zjawiska tegoż życia podczas egzystencji naszej. Zwiemy ją świadomością swoją, czyli swoim „ja“. To „ja“, o którym myślimy, rozważając co się stanie po destrukcji jego, nie jest ani duchem, ani ciałem naszym, albowiem poznaliśmy, że zarówno duch jak i materja są to jeno fale odplywające i przyplywające bez końca, to zaś „ja“ jest punktem stałym, niezmiennym. Niepodobna, by było ni formą ni substancją, które podległe są ciągłej ewolucji, ani też życiem, przyczyną czy skutkiem formy i substancji. Jakże go ująć, jak określić, jak powiedzieć gdzie się mieści? Śledząc aż do pierwotnych źródeł owego „ja“, odnajdujemy jeno coraz to nowe wspomnienia, napotykamy coraz to inne jeno ideje, zmienne zresztą i nieokreślone, związane z instynktem życia. Znajdujemy jeno nawyki wrażeń naszych, reakcje świadome, lub podświadome na otaczające nas zjawiska. Ostatecznie najtrwalszą rzeczą pośród tego mglistego chaosu to pamięć nasza, ale i ona przedstawia się jako cecha dość zewnętrzna, dodatkowa, w każdym zaś razie krucha i nikła zdolność umysłu, która znika bardzo szybko z byle przyczyny, bo opuszcza nas już przy najmniejszym zachwianiu zdrowia. — To właśnie, co się we mnie domaga wielkim głosem nie-

śmiertelności, to zginie wraz ze mną! — powiedział słusznie pewien angielski poeta.

### III.

Uświadomić sobie musimy, że punktem środkowym naszej istoty, że tem co nas obchodzi najbardziej jest owo niejasne „ja“, ów majak nieuchwytny, lotny i zawisły od wszystkiego, a wobec niego wszystkie inne rzeczywistości życia są niczem. Jest nam zgoła obojętnem, że w ciągu eonów ciało nasze, czy substancja jego zaznała wszystkich możliwych form szczęścia i chwały, przeszła najwspanialsze przemiany, była kwiatem, zapachem, pęknięciem, światłością, eterem, gwiazdą, bez wrażenia przechodzimy obok myśli, że inteligencją sięgnęliśmy w zaświat, żeśmy pojęli jakim jest i uczymy się nim władać. Instynkt nasz przekonany jest, że to wszystko byłoby nam wprost niczem i nie sprawiałoby nam żadnej przyjemności, nie dochodziłoby prosto do nas, gdyby nie pamięć, czy wspomnienie kilku, zawsze niemal błahych faktów, gdyby nie ów świadek tego niewyobrażalnego szczęścia. Cóż mi stąd, że wiecznie żyć będzie najszczytniejsza, najpiękniejsza i najswobodniejsza część mego ducha, cóż mi stąd, że świetlana będzie i radosna, kiedy nie będzie ona częścią mego

„ja“ tedy nie poznam jej. Śmierć zburzyła sieć nerwów, poprzecinała wiązadła wspomnień, zdemolowała ową stację centralną, niewiadomo gdzie istniejącą, gdzie jedynie żyć mogłem i czuć się sobą. Podobnie jak obojętnym mi jest los gwiazdy błędzącej po przestrzeni, nic mnie a nic nie obchodzi los mego ducha, o którym nie wiem nic. Wszystko istnieje dla mnie jeno pod warunkiem, że je odniosę, związę i wywiode z owego mistycznego punktu, o którym nie wiem czy gdziekolwiek istnieje, a który jest jak lustro wszechświata, tak że zjawy życia nabierają rzeczywistości dopiero wówczas, gdy się w niem odbijają.

#### IV.

Widzimy tedy, że nasze pożądanie nieśmiertelności zatracą się przez samo formułowanie, natomiast cały gmach naszego nadżycia zbudowany jest na czemś zgoła dodatkowem, ulotnem i będącem jeno małą cząstką całokształtu tegoż życia. Wydaje nam się, że jeśli życiu pozagrobowemu nie będą towarzyszyć wszystkie niedole, bląhostki i błędy, znamionujące życie obecne, niczem odróżnić się ono nie będzie od życia istot innych, czyli przestanie być życiem naszym, stanie się kroplą bezświadości w oceanie

niebytu, a przeto wszystko, co potem nastąpi, nic a nic nas obchodzić nie może.

Jakąże nieśmiertelność przyobiecać można ludziom, którzy muszą ją z konieczności pojmować w ten sposób? Trudno na to poradzić, powiada nam instynkt zgoła dziecinny, ale zarazem głęboki. Wszakże niczemby była dla nas każda nieśmiertelność, nie wlokąca poprzez bezkres wieków kul łańcucha galerniczego, który nas krępował za życia, czyli owej dziwnej świadomości, ukształtowanej w ciągu tych kilku lat życia doczesnego, i nie nosząca w ten sposób znamion naszej osobniczej identyczności. Wszystkie religie niemal zrozumiały to dobrze i wzięły w rachubę ów instynkt, który łaknie nieśmiertelności i niweczy ją jednocześnie. Kościół katolicki, poczynając od pożądań najprymitywniejszych, gwarantuje nam nietylko zachowanie w nietkniętym stanie naszego ziemskiego „ja“, ale ponadto zabezpiecza zmartwychwstanie własnego, wyreparowanego i odnowionego ciała.

Oto punkt centralny całej zagadki. Owa mała świadomość, owo odczuwanie osobniczego „ja“, tak w gruncie głupkowato dziecinne, a już co najmniej niesłychanie ograniczone, to najwyraźniej niedomoga naszej dzisiejszej inteligencji.



Czyliż żądanie, by nam towarzyszyło poprzez bezlik wieków, a to w celu zmierzenia, zliczenia i poznania ich, oraz radowania się nimi nie jest poddyktowane chęcią spostrzegania danego przedmiotu przy pomocy organu, nie przeznaczonego do tegoż spostrzegania? Czyliż nie wygląda to jakbyśmy chcieli ręką poznać światło, a okiem zapach? Wyglądamy jak chory, który, chcąc upewnić się co do swej realnej istności, chciałby kontynuować chorobę swą po ozdrowieniu i nie rozstawać się z nią nigdy? To porównanie ściślej jest od wielu porównań. Wyobraźmy sobie ślepcę, który jest jednocześnie sparaliżowany i głuchy. Stan ten jego trwa od urodzenia, a w danym momencie osiągnął trzydziesty rok życia. Cóż wyhaftowały lata na pustej tkaninie biednego życia jego? Nieszczęśnik ten zgromadził w spichrzu pamięci swej w braku wspomnień innych zaledwo pewną ilość wrażeń zimna i gorąca, znużenia i spoczynku, mniej czy więcej dotkliwego cierpienia fizycznego, oraz głodu i pragnienia. Prawdopodobnie wszystkie uciechy ludzkie, nadzieje, marzenia o ideale i rajy redukują się w nim do mętnego uczucia zadowolenia po chwilowej przerwie w cierpieniach. Oto jedyne możliwe wyposażenie nędznego „ja“ tego biedaka, bowiem inteligencja jego, nie odbierając nigdy

wrażeń ni podniet z zewnątrz, śpi ujęta głębokim snem i nie zna sama siebie. Posiada on mimo to swe życie osobnicze i złączony jest z niem więzami równie silnemi jak najszczęśliwszy człowiek ziemi. Pragnie gorąco żyć, boi się śmierci i myśli, że wpadnie w nicość, nie zabierając wrażeń i wspomnień swej ciemnej, głuchej nory. pogrąża go w takiej rozpacz, jak nas pogrąża myśl porzucenia życia pełnego chwały, światła i miłości dla wstąpienia w lodowatą czerń grobu.

## V.

Wyobraźmy sobie teraz, że cud jakiś otworzył nagle jego oczy i uszy, że spostrzegł przez okno otwarte u wezłowania łóżka swego świt pogodnego dnia na wsi, że posłyszał śpiew ptaków w koronach drzew, poszum wiatru w liściach, brzękliwą nutę strumyka, oraz rozgwar ludzkich głosów po łąkach i górach. Przypuśćmy dalej, że tenże sam cud, wieńcząc dzieło swoje, przywrócił mu władzę w członkach. Wstaje, wyciąga ramiona ku onym dziwom, nie mającym dlań realności rzeczywistej, ni miana. Otwiera drzwi, chwieje się na nogach, a olśnione zmysły jego zatapiają się w niepojętej toni zjaw. Wkracza w życie niewyrażalne, w niebiosy, o których nie mówił mu sen żaden. W dodatku, skutkiem jakiegoś

kaprysu losu, przypuszczalnego w uzdrowieniu tego rodzaju wraz ze zdrowiem, które go wprowadziło w nową zgoła egzystencję, znikły do szczętnie wspomnienia dni minionych.

W jakimż stanie znajdzie się teraz owo „ja“ owo *receptaculum* wszystkich, wrażeń, ów punkt, do którego zmierza wszystko co stanowi komponent swoisty życia, ów punkt najściślej egotyczny naszej istoty? Czyż po unicestwieniu pamięci odnaleźć zdoła ów ozdrowieniec jakiś cień człowieka dawnego w sobie? Zbudziła się siła nowa, inteligencja i rozwija się z żywotnością niesłychaną, jakież tedy istnieje stosunek pomiędzy nią a ową ciemną, martwą dotąd zarodzią, z której wystrzeliła nagle, o jakież fundament przeszłości oprze się, by trwać dalej? Czyżby nie przetrwało w nim jakieś uczucie, czy instynkt niezawisły od pamięci, inteligencji lub innej jakiegś zdolności rozpoznawczej, coby mu umożliwiło uświadomienie sobie, że to dobro niepojęte, wywołane cudem wyzwolenicznym, jest jego własnem życiem, nie zaś życiem sąsiada, że to on właśnie został przeistoczony do niepoznania, ale pozostał w gruncie identyczny z sobą, że tylko wyszedł z ciemności i ciszy, a żyje dalej w światłości i harmonji? Czyż możemy sobie wyobrazić chaos i zamęt straszliwy oszalałej z nadmiaru

świadomości jego? Czyż wiemy w jaki sposób owo „ja“ wczorajsze zunifikuje się z dzisiejszem jego „ja“ i czyż pojmiemy jak się zachowa pośród przewrotu ten punkt egotyczny, owo centrum poznania, na którego zachowaniu tak nam bardzo zależy?

Spróbujmy przede wszystkim znaleźć dostatecznie ścisłą odpowiedź na to pytanie, dotyczące naszego aktualnego, dostrzegalnego życia. Jeśli tego nie zdołamy dokonać, jakąż możemy rościć sobie nadzieję rozwikłania problemu drugiego, stojącego przed każdym z ludzi w momencie śmierci?

## VI.

Ów punkt egotyczny, owo centrum wszelakiego poznania, reasunuje w sobie cały problem. A o to jeno chodzi, gdyż z wyjątkiem spraw, jego samego dotyczących, nieśmiertelność żadnej nie ulega kwestji. Ów punkt centralny i tajemniczy, któremu w śmierci tak wielką przypisujemy wagę, tracimy, o dziwo, w życiu co chwila z oczu i nie odczuwamy jakoś zgoła zaniepokojenia. Nie tylko zatracą się on każdej nocy w śnie, ale nawet w stanie jawy bywa ciągle pogrążany przez każde wydarzenie, czy wrażenie. Starczy mu na zagładę byle jakie zranienie, upadek, nie-

dyspozycja, kilka kieliszków wódki, odrobina opjum, lub tytoniowego dymu. Co więcej, nawet w chwilach, kiedy go nic nie napastuje, nie uświadamia nam się stale i trzeba pewnego wysiłku, nawrotu do siebie samego, by go pochwycić, by uświadomić sobie jasno, że to właśnie nas spotyka, to, a to. Za lada roztargnieniem przechodzi mimo szczęście, nie tknąwszy nas, nie dawszy zakosztować rozkoszy, jaką niesie. Można by powiedzieć, że funkcje owego organu, przez który bierzemy udział w życiu i odnosimy je do siebie, odbywają się z przerwami, dorywczo niejako i że obecność naszego „ja“, z wyjątkiem momentów bólu, jest to jeno szybkie następstwo odlotów i powrotów. Uspakają nas jeno i pociesza pewność, że odnajdziemy owo „ja“ nasze po zbudzeniu, po zrozumieniu, po upadku, czy roztargnieniu, gdy przeciwnie, wiedząc jak jest kruche, przekonani jesteśmy, że zginąć musi na zawsze w straszliwej katastrofie, jaka ma miejsce na przelomie życia i śmierci.

## VII.

Jedną z wielu prawd, jakie przyszłość ujawni niezawodnie, jest fakt, iż w kwestji życia i śmierci wyobraźnia nasza pozostała dotąd niesłuchanie naiwną. We wszystkim niemal innem prześciga

rozum, tutaj zaś pozostała na punkcie, gdzie była w niemowlęcych latach ludzkości. Snuje marzenia i żywi pożądania wprost barbarzyńskie zupełnie jak to się działo, gdy władala nadziejami i obawami człowieka jaskiniowego. Domaga się rzeczy niemożliwych, a drobnostkowych jednocześnie. Upiera się przy przywilejach, które w razie uzyskania ich byłyby straszliwsze w skutkach od największych katastrof, jakimi nas straszy nicłość. Czyż można pomyśleć bez drżenia o wieczności zamkniętej z całym swym ogromem w znikomej łupinie naszej świadomości współczesnej? Jesteśmy ofiarami nielogicznych urojeń fantazji naszej! Gdybyśmy zasypiali dziś wieczór, mając naukowo i eksperymentalnie stwierdzoną pewność, że zbudzimy się po latach stu w obecnym stanie, z nienaruszonym ciałem, to każdy z nas, nawet pod warunkiem utraty wspomnienia swego minionego życia, zgodziłby się niezawodnie na ten sen wiekowy z tem samym zaufaniem, z jakim przyjmuje krótki sen jednej nocy. Miał bać się, ludzie zdjęci ciekawością poddawaliby się temu eksperymentowi bardzo ochotnie. Niezawodnie tłoczono by się do owych szafarzy snu czarodziejskiego i błaganoby ich o udzielenie tego, co uważano by niewątpliwie za przedłużenie życia. Cóżby atoli zostało z zaćmionych przez

cały czas trwania odrętwienia i cóżby odnaleźli z siebie po zbudzeniu? W chwili zamknięcia ócz przestałoby ich łączyć cokolwiek bądź z istotą, która obudzić się ma bez wspomnień, nieznana, w zgoła odmiennym świecie, a jednak cała ich zgoda na zaśnięcie, cała nadzieja zabrana w długą noc polegałaby właśnie na wierze w ów węzeł nierozzerwalny, nie istniejący zgoła. Pomiędzy śmiercią zwykłą a tym snem istnieje w rzeczywistości jeno różnica zbudzenia się po stu latach, a zbudzony nie różniłby się w zasadzie niczem od dziecka, które przyszło na świat po śmierci ojca swego.

### VIII.

Jakąż znajdujemy odpowiedź na postawione pytanie, gdy nie idzie o nas samych, ale o te żywe zjawy, które dostrzegamy na świecie? Czyż się troszczymy na przykład o życie pozagrobowe zwierząt? Pies, nasz towarzysz wierny, przywiązany, inteligentny, w chwilę po śmierci staje się nam obrzydliwym ścierwem, którego pozbywamy się co prędzej. Nie przychodzi nam nawet na myśl, by było możliwem zadawać sobie pytanie, zali istnieje poza naszą pamięcią jakiś inny świat dla zwierzęcia, którego życie poczęści uduchowione już, bliskie naszemu i mile dopiero

co ustało. Wydałoby się nam wprost śmieszną myśl, że w czasie i przestrzeni trwa, troskliwie zachowana na wieczność, unosząca się pośród gwiazdnych bezkresów dusza biednego Brysia, na którą składało się sześć czy siedm funkcyj, wzruszająco naiwnych, pożądanie jadła i napoju, spanie w ciepłe i umiejętność obcowania towarzyskiego z podobnymi sobie. Cóżby zostać miało z owej istoty prymitywnej, pytamy zdziwieni? A jakimże to prawem wykopujemy przepaść pomiędzy sobą a tem stworzeniem, skoro niema jej zgoła pomiędzy światem mineralnym, roślinnym i zwierzęcym? Cóż nas napelnia taką dumą i tak odróżnia od reszty żywych istot, czy może pretensja zaliczania się do rzędu istot, do których sami nawet przez nas stworzeni bogowie nie zawsze mieli wolny dostęp?

## IX.

Nie sposób wspomnieć nawet o wszystkich paralogizmach stworzonych przez wyobraźnię naszą w zakresie interesującego nas zagadnienia. Godzimy się naprzykład dość łatwo z myślą o rozkładzie ciała naszego w grobie. Nie zależy nam zgoła na tem, by nam towarzyszyło przez bezkres wieków. W gruncie rzeczy nie byłoby nam to nawet na rękę, by nas eskortowało, obar-



czone ułomnościami, brzydotą i śmiesznościami swemi. Idzie nam jeno o to, by przewieźć na drugi brzeg duszę. Cóż odpowiemy atoli komuś, kto będzie twierdził, że dusza nasza to jeno zespół uzdolnień intelektualnych i moralnych, łącznie z cechami, jakie jej nadaje instynkt, czy podświadomość? Zważmyż, że nie niepokoi nas tak bardzo powolny zanik starczy, czy chorobowy tych wszystkich cech i uzdolnień, podobnie jak nie popadamy w rozpacz na skutek upadku sił fizycznych ciała naszego. Mimo, że w pierwszym wypadku niejako rozkłada się zwolna i znika to, co zwą niektórzy ludźmi duszą nietkniętą, pozostaje niejasna nadzieja nasza życia pozagrobowego. Wydaje nam się zgola naturalnem, że stan ciała i duszy zostają we wzajemnej zależności, gdy zaś ciało owo zostaje zniweczone w jakiejś drogiej nam istocie nie sądzimy wcale, iżemy ją utracili, ani też że ona utraciła swoje „ja“, swą moralną osobowość, mimo że nie pozostało nic, na czembyśmy mogli oprzeć nadzieję naszą. Nie przypisując znaczenia rozkładowi ciała, ani też zniweczeniu w ciągu życia owego kompleksu, funkcij stanowiących duszę, mniemamy, że śmierć oszczędzi czegoś jeszcze, żyjemy nieziszczalnem marzeniem realizacji niepodobieństwa.

X.

Nie jesteśmy w stanie, dziś przynajmniej znaleźć wiarogodnego wyjaśnienia kwestji nieśmiertelności i rzecz to nie dziwna; wcale. Oto lampa na biurku mojem. Niema w niej tajemnicy żadnej, jest to przedmiot stary, znany mi dobrze i oddawna pełniący swe funkcje. Widzę w niej naftę, knot, szkiełka szklanne, a wszystko razem daje mi światło. Zagadka zaczyna się dopiero w chwili kiedy spytam, co to jest światło, skąd się bierze, gdy go przywołam, i gdzie się podziewa, gdy je gaszę. I zaraz ów mały sprzęt łatwy do obejrzenia, rozłożenia i zbadania we wszystkich jego częściach staje się nierozwiązalnym problemem. Choćbym zgromadził wokół biurka mego wszystkich ludzi żyjących na ziemi, nie dowiem się od żadnego z nich, czem jest ów nieważki płomień, który powołuję do życia i unicestwiam wedle woli. A jeśli któryś z obecnych zaryzykuje objaśnienie, zwane definicją naukową, to zwiększy jeno niewiedzę i otworzy na wszystkie strony mnóstwo drzwi na ciemń bezkresną i straszłą. Jeśli nie znamy istoty, przeznaczenia i życia promyka światła lampy, której wszystkie części składowe są dziełem własnych rąk naszych, a przyczyny, skutki i funkcje mieszczą się w porcelanowej bańce, to skądże nam przyjdzie nadzieja

przeniknięcia niepoznawalnego i rozwikłania problemu życia, którego elementy składowe mieszczą się w oddali miliardów lat i miliardów mil od naszej świadomości.

## XI.

Od kiedy istnieje ludzkość, nie zbliżyła się ni na krok jeden do tajemnicy, nad którą się zastanawiamy. Jakiegokolwiek sobie stawiamy w tej sprawie pytanie nie dotyka, zda się, nawet sfery, w której ukształtowała się i funkcjonuje świadomość nasza. Być może, niema nawet żadnego możliwego lub wyobrażalnego stosunku pomiędzy organem poznania zadającym pytanie, a ową rzeczywistością, któraby miała dać odpowiedź. Nie przyniosły nam nic nowego najskrupulatniejsze i najściślejsze badania czasów ostatnich. Pracujące w warunkach bardzo korzystnych i niezmiernie gorliwe związki uczonych angielskich, oraz towarzystwa psychologiczne całego świata zebrały olbrzymi materiał faktów, które zdają się stwierdzać, że życie istoty duchowej, czy nerwowej może trwać jeszcze przez czas jakiś po śmierci istoty materjalnej. Choćbyśmy nawet przyjęli, że fakty te są niezaprzeczalne i ściśle naukowo stwierdzone, to przez nie tajemnica przesunęłaby się jeno o krok, o kilka

godzin. Dziwnym jest zaprawdę fakt, że astralna zjawia osoby drogiej, tak z pozoru realna, iż się do niej zwracam z pytaniem, wchodzi do mego pokoju tejże samej minuty, kiedy życie ulatuje z jej ciała oddalonego o tysiące mil, zaiste niezwykły to fakt, przyznaję, i nowa zagadka, ale wynika z niej tylko, że dusza, duch, tchnienie, siła nerwowa, nieuchwytna i najniematerjalniejsza z pośród rzeczy materjalnych, czy coś podobnego może się oddzielić na moment od materji i zawisnąć ponad nią, podobnie jak się odrywa czasem od knota i zawisa w powietrzu płomień lampy. Fenomen to szczególny zaiste, ale skoro jest realny, to dziwić się jeno należy, że nie możemy go wedle woli wywoływać wśród zwykłych warunków życia. Zresztą wcale nie odpowiada na nasze pytanie. Nigdy, żadne z onych widziadeł nie miało świadomości innego, nowego życia pozaziemskiego, odmiennego od życia, jakie właśnie ukończyło w swem ciele. Przeciwnie, życie duchowe wszystkich tych zjaw, w chwili, kiedy ma stać się czyste, wolne od materji, górne, nagle okazuje się dużo niższem od siebie samego z czasów, kiedy jeszcze tkwiło w onej materji. Zjawy pełnią zazwyczaj swe zwykłe, codzienne czynności, drobiazgowo, mechanicznie, wśród otępiłości somnambulicznej. Jedna z nich szuka

upornie kapelusza zapomnianego na jakimś meblu, druga troszczy się drobnym dłużkiem, lub pyta która godzina. Wszystkie zaś, w moment potem, w chwili kiedyby się zacząć miało prawdziwe życie spirytualne, pozaziemskie, rozplywają się i giną na zawsze.

Przyznaję, że to jeszcze nie dowodzi niemożliwości życia pozagrobowego. Nie wiemy, czy owe przelotne zjawy są to pierwsze przebrzaski egzystencji nowej, czy też może ostatnie zorze minionej. Być może, zmarli korzystają w ten sposób, nie mając innego, z ostatnich nici wiążących ich jeszcze z naszymi zmysłami, i czynią się nam dostrzegalnymi. Być może, żyją potem tuż obok nas dalej, ale mimo wszelkich wysiłków nie są w stanie porozumieć się i dać nam znaku swej obecności, a to z powodu, że brak nam organu koniecznego dla tej apercepcji. Oczywiście bylibyśmy w podobnem położeniu, chcąc dać pojęcie światła i barwy ciemnemu od urodzenia. W każdym razie nie ulega żadnej wątpliwości, że prace i badania najnowsze nad tak zwanym przez Anglików *broderlandem* (światem sąsiednim) miały ten jeno skutek, iż problem pozostał najdokładniej na tem miejscu, na którem trwa od zaczątków świadomości ludzkiej.

## XII.

Wyobraźnia może tedy wybierać z pośród koncepcyj pozagrobowego losu naszego dowolnie, albowiem świadomość nie dostarcza nam żadnych konkretnych faktów. Przyglądając się różnym możliwościom, spostrzegamy że najpiękniejsze nie są jednocześnie najbardziej prawdopodobne. Pierwsza, jak widzieliśmy, odepchnęła cały problem bez dyskusji i zawyrokowała, że czeka nas nicość zupełna. Druga, bardzo pojętna dla ślepych instynktów naszych, przyrzeka zachowanie mniej lub bardziej zupełne świadomości i osobniczego „ja“ przez wieki bezkresne. Brałiśmy pod uwagę również i tę hipotezę prawdopodobniejszą od pierwszej, ale okazało się, że w gruncie jest ona ciasna, naiwna i dziecinna, że niema podstaw ani dla ludzi, ani roślin, czy zwierząt, by trwać tak mieli wszyscy indywidualnie w bezgraniczach przestrzeni i czasu. Dodać należy, że z pośród wszystkich możliwości ta byłaby właśnie najstraszniejszą, a w porównaniu z nią, zagłada zupełna i natychmiastowa tysiąc razy lepsząby już była. Pozostają tedy dwie ideje, mianowicie życia pozagrobowego nieświadomego, albo też ze świadomością rozszerzoną, zmienioną, tak odmienną od obecnej, że nie możemy sobie o jej rodzaju wyrobić dokładnego

wyobrażenia. Przeszkadzałyby nam ona raczej pojmować, ukazując n. p. promienie świetlne z poza granicy ultrafioletowego i infraczerwonego wiśna, które dają prawdopodobnie silne wrażenia żrenicy inaczey od naszej zbudowanej.

Teorje te dwie z pozoru redukują się do jednej jedynej kwestji świadomości. Powiedzieć naprzykład, jak się nam to nasuwa samo, że życie pozagrobowe, nieświadome, równe jest śmierci zupełnej, znaczy to przeciąć *a priori* i bezwzględnie sam problem świadomości, najistotniejszy i najzawilszy z pośród wszystkich, jakie nas obchodzą tak żywo.

Jest to, jak świadczy metafizyka wszystkich czasów, zagadnienie najtrudniejsze, z tego już samego powodu, że przedmiotem jego jest właśnie sam podmiot poznający. Można powiedzieć że mamy przed sobą lustro, które ustawicznie i bez końca samo siebie odbija, a z odbić tych nie ma żadnych korzyści poznawczych. Mimo to właśnie jeno w owych bezsilnych odbiciach, mnożących się w nieskończoność, ukryty jest promień światła, mogący rozświetlić wszystko inne. Cóż tedy czynić? Niema innego środka wyłamania się z kręgu świadomości, jak ją zanegować, twierdząc, iż jest ona jeno organiczną chorobą ziemskiej inteligencji, a chorobę ową należy

starać się leczyć przez coś, co wydać nam się może aktem szaleństwa, albo umyślnym, desperackim czynem. Spojrzawszy nań pod innym kątem, przekonamy się jednak może, że był to zabieg leczniczy, śmiały i konieczny.

### XIII.

Niestety, wymknąć się z okola świadomości nie sposób, bo zawsze z konieczności zawróć będziemy musieli pod mury więzienia i krążyć wokół tego, co wsparte jest o naszą pamięć, najniklejszą z pośród wszystkich uzdolnień naszych. Wobec faktu, nie ulegającego wątpliwości, że nic zginąć nie może, musimy przyjąć, iż żyliśmy przed rozpoczęciem obecnego życia naszego na ziemi. Ponieważ jednak nie możemy związać owej uprzedniej egzystencji z dzisiejszą, przeto pewność życia przedtem jest nam zgoła obojętną i mieści się tak daleko, jak pewność wszystkich bytowań późniejszych. Jawi nam się tedy owo „ja“ nasze, jako utwór czysto pamięciowy, mnemoniczny i spytać należy, czy to, co nam daje w ciągu nader krótkiej egzystencji, jest aż tak ważne, by miało samo przez się decydować o całym problemie nieśmiertelności. Czyż z tego co bierzemy od naszego „ja“ ziemskiego w formie tak wyłącznej, specjalnej, niedostatecznej, kruchej



i znikomej wynikać ma, że nie istnieje inna postać świadomości i inny sposób używania życia? Lud ślepych od urodzenia, któremu jeden widzący opowiadałby o radości, jaką daje światło, twierdziłby nie tylko, że jest to niemożliwe, ale nawet niewyobrażalne. Wiemy napewno niemal, że brak nam tu na ziemi, oprócz stu różnych zmysłów, jeszcze zmysłu wyższego od naszej świadomości pamięciowej i nie pozwala nam to właśnie jak należy cieszyć się pełnią władania naszym własnym „ja“. Wydaje się nam czasem, że natrafiamy na niewyraźne ślady, na odruchy funkcji owego zanikłego już, albo może kiełkującego dopiero zmysłu, jaki w każdym razie wegetuje bardzo nikle przygłuszony i obezwładniony życiem ziemskim, które wszystkie ewolucje swe centralizuje w jednym punkcie, mianowicie w świadomości. Czyż nie zdarza się, że tuż obok egoizmu, znanego i naukowo aż do ostatnich zakamarków zbadanego i władającego nami, nie dostrzegamy w sobie czegoś zupełnie bezinteresownego, co raduje się szczęściem bliźniego, sprzecznem nawet ze szczęściem własnem? Czyż dalej nie są nam znane uciechy, jakie daje sztuka, uciechy bezcelowe, owo n. p. spokojne, ciche zadowolenie, owa radość kontemplatywna, gdy patrzymy na piękny posąg czy obraz, lub bu-

dynek, którego nie będziemy już oglądać nigdy po raz drugi, który nie wzbudza żadnego pragnienia zmysłowego i nie przyda nam się na nic? Czyż zadowolenie to jest bladym przeblyskiem odmiennej, nowej świadomości, dochodzącym przez szczelinę naszej świadomości pamięciowej? Nie możemy sobie wyobrazić tej odmiennej świadomości, ale to nie uprawnia nas jeszcze do zaprzeczenia jej istnienia, przeciwnie, sądzę, że rozum nakazuje właśnie uznać ją. Gdyby nam zmysły nasze nie zostały dane wszystkie razem, ale jeden po drugim, z roku na rok, całe życie toczyłoby się pośród mnóstwa spraw zgoła niepoznawalnych. Posiadamy zresztą zmysł genezyczny, budzący się dopiero w okresie dojrzałości płciowej i to poucza nas, że od pewnego stanu specjalnego organizmu zawisło wprost odkrycie nowego świata, nieznanego dotąd oraz przesunięcie wszystkich osi życia naszego. Przez ciąg dziecięstwa nie domyślaliśmy się nawet co to są owe namiętności, szaleńca, upojenia i bóle, jakie miotają dorosłymi. Czasem docierały do naszych ciekawych uszu fragmenty jakiegoś, zniekształcone urywki, ale z nich mimo wszelkich wysiłków wyrozumieć nie mogliśmy owej frenezji starszych i przyrzekaliśmy sobie zachowywać się rozsądniej i spokojniej w danym przypadku.

Niestety, pierwszy dzień miłości wyrzucił nas zupełnie z orbity i pozmieniał cały system grawitacyjny naszej duszy. Widzimy, że kwestja świadomości, lub jej braku nie jest to dylemat tak wyłączny, jedyny i ekskluzywny, byśmy nim mierzyli wszystko i podawali w wątpliwość istnienie czegoś, czego sobie nie umiemy wyobrazić.

#### XIV.

Dziedziczna rezygnacja, którą ogarnięci trwamy w ciemnem więzieniu naszych zmysłów, nie dozwala nam sięgnąć po skarby wszechświata i dziać się to będzie długo jeszcze. Wyobraźnia nasza obecna godzi się z łatwością, zgola nadmierną, na niewolę ową, bowiem jest córką pokorną zmysłów, z nich jeno czerpiąc swe zasoby. Nie stara się z należytą usilnością o rozwijanie owych instynktów i przeczuć, które ją pouczają, iż nie ma dać się więzić, ale że winna szukać wyjścia. A tak być koniecznie musi, wyobraźnia nabierać powinna z każdym dniem głębszego przeświadczenia, że świat realny sięga w miljardy mil dalej niż najambitniejsze marzenia i najzuchwalsze zakusy. Nie miała nigdy większego obowiązku ni prawa, niż teraz właśnie być bardziej szaleńczo odważną. To, coby się jej udało zbudować i powołać do życia w przestrzeni i naj-

dalszych rozłogach czasu, to, coby była w stanie ogarnąć pojęciem, jest ledwo drobną cząstką rzeczywistości. Najmniejsze nawet okruchy wiedzy i codzienne fakty życia świadczą, że nawet w tem skromnem środowisku nie może stawić czoła realnym sprawom, że bywa przez nie ciągle prześcigana, wprowadzana w błąd, olśniewana, że nie stać ją na pojęcie cudów niespodziewanych, zawartych w kamieniu, związku chemicznym, szklance wody, roślinie, czy owadzie. Owo przeświadczenie to już rzecz niemała, bo sprawia, że śledzimy z pod oka, czy nie zdarza się sposobność przekroczenia magicznego koła własnego zaślepienia. Teraz dostrzegamy, że w obrębie tegoż kręgu nie możemy się spodziewać żadnej prawdy ostatecznej, a wszystkie, o ile są, leżą poza niem. Człowiek, chcąc zachować zmysł proporcji, musi sobie powtarzać co chwila, że, umieszczony nagle pośrodku całej masy realnych faktów wszechświata, podobny byłby mrówce, która, znając jeno swe ścieżyny leśne, małeńkie otwory w ziemi, okolicę mrowiska i niezmiernie ciasny krąg swych codziennych metod, znalazłaby się nagle pośrodku Atlantyku na źdźbłe słomy. Zanim wyjdziemy z więzienia, które nam nie dozwala na wejście w kontakt z rzeczywistością pozawyobrazenną, winniśmy starać się schwytać

bodaj część prawdy, wyobrażając sobie rzeczy najmniej wyobrażalne, usiłując przeprowadzić poprzez wieczność, środkiem zasięków logiki i niepodobieństwa czasów swoich, marzenia tejsze wyobraźni. Starajmy się usunąć z oczu naszych, ile razy jawi się nowe marzenie, zasłonę ziemskiego życia. Powiedzmy sobie, że pomiędzy różnemi możliwościami, jakie zawiera w sobie jeszcze świat, jedną z najłatwiejszych do urzeczywistnienia, najmożliwszych, najskromniejszych i najprostszych, jest zdolność osiągnięcia poznania wyższego, szerszego, doskonalszego, trwalszego, oraz pewniejszego od tego, w jakie nas wyposaża obecna, dzisiejsza świadomość nasza. Przyjąwszy tę zdolność za fakt, a jest to rzecz bardzo nietrudna, spostrzeżemy odrazu, że problem naszej nieśmiertelności rozwiązał się zasadniczo sam przez się. Idzie teraz o to jeno, by ująć, lub przewidzieć, jakiej się trzeba jąć metody i rozeznąć pośród okoliczności najbliższych nam tę część intelektualnych i moralnych nabytków, która przejdzie w życie wieczne i uniwersalne. Nie jest to sprawa mogąca być dziś lub jutro załatwioną, ale przyjdzie dzień, który ją sam załatwi.

K o n i e c .





## SPIS TREŚCI:

Inteligencja kwiatów . . . . .	1
Woń kwiatów . . . . .	83
Miara czasu . . . . .	95
Chwiejność moralności współczesnej . . . . .	107
Pochwała boksu . . . . .	145
O Królu Learze . . . . .	157
Bogowie wojny . . . . .	168
Przebaczenie krzywd . . . . .	182
Przypadek . . . . .	195
Nasze zadanie społeczne . . . . .	211
Nieśmiertelność . . . . .	230

---





WYDAWNICTWO POLSKIE

SPÓŁKA Z OGRANICZONĄ PORĘKĄ

LWÓW



POZNAŃ

ULICA ZYBLIKIEWICZA L. 15

ULICA ZWIERZYŃSKA L. 6.

PROSPEKT

BIBLIOTEKA  
LAUREATÓW NOBLA

POD REDAKCJĄ DRA STAN. LAMA

P O RAZ pierwszy w Polsce ujęto w tem wydawnictwie literaturę przekładów w pewien system, dając dzieła o wysokiej wartości artystycznej z wszystkich piśmiennictw zagranicznych. Każdy z laureatów fundacji Nobla będzie tu reprezentowany szeregiem swych dzieł, tak iż z czasem cała biblioteka obejmie kwiat dorobku kulturalnego wszystkich narodów. Że zaś zarząd fundacji przy rozdawaniu nagród bierze pod uwagę nie tylko stronę estetyczną utworów, ale także ich wartość społeczną i moralną — przeto wydawnictwo skupiając w jedną całość te wszystkie prace — posiadać będzie również pewien podkład ideowy.

„BIBLIOTEKA LAUREATÓW NOBLA“ jest pierwszym tego rodzaju przedsiębiorstwem wydawniczym w Europie i dla tego też redakcja dołoży wszelkich starań, aby całe to przedsięwzięcie stanęło na wysokim poziomie. Główną więc troską jest dobór przekładów, któreby mogły godnie oddawać w słowie polskiem arcydzieła nowszej i najnowszej literatury zagra-

nicznej. Nie o poprawność tylko — do której zresztą daleko było dorywczym i przygodnym tłumaczeniom polskim — ale o artystyczne walory, odpowiadające wysokiej mierze oryginałów w tych przekładach iść będzie. Słowo bowiem jako wyraz treści jest z nią ściśle związane, a takie lub inne jego użycie obojętnem być nie może. Tłumacz, przyswajający piśmienictwu ojczystemu obce dzieło — musi być jego współtwórcą. I o tę współtwórczą pracę zabiegać będziemy jak najusilniej.

Dotychczas wyszły z druku następujące dzieła:

TOM 1.

ROMAIN ROLLAND. COLAS BREUGNON.  
Powieść. Przekład autoryzowany Fr. Mirandoli.

... „Książka ta nie tylko jest przepojona słońcem. Jest ona słońcem samem, które działa dobroczynnie, krzepi i uzdrowia. To słońce pijemy pełnymi haustami a ono rozchodzi się nam po tętnicach, dopływa do serca, sięga w samą głąb duszy i godząc z życiem, wywołuje na usta uśmiech i pozwala w mózgu kiełkować radości ...

Życzyć sobie należy, aby „COLAS BREUGNON“ rozposzechnił się jaknajszerzej i trafił do rąk jaknajliczniejszych czytelników“

ZDZISŁAW DĘBICKI (Kurjer Warszawski Nr. 314/921).

TOM 2.

RABINDRANATH TAGORE. NOC ZISZCZENIA.  
W przekładzie Fr. Mirandoli.

Niema ani jednej nowelki w zbiorze „NOC ZISZCZENIA“ wydanym w nienagannem tłumaczeniu F. Mirandoli, o której możnaby powiedzieć, że jest złą co do konstrukcji, bladą co do charakterystyki, nieciekawą co do akcji. Każda z nich odsłania nam delikatną rękę, nową strunę duszy, nową strunę życia tych ludzi, co do których w Europie najdziwaczniejsze panowały wyobrażenia. Osią akcji we wszystkich jest kobieta i jej stosunek do mężczyzny.

CHWILA z dnia 9. kwietnia 1922 r.

TOM 3.

**MAURYCY MAETERLINCK. ŻYCIE PSZCZÓŁ.**  
W przekładzie F. Mirandoli.

Twórca „Ślepców“, przywykły do badania najbardziej subtelnych przejawów duszy ludzkiej — z niemiejszą ruchliwością potrafi śledzić byt istot żyjących wokół nas. Najbardziej zajęły go pszczoły, jako organizacja najbliższa społeczności ludzkiej. Im też przygląda się w swem wspaniałem dziele — opisując nietylko zewnętrzne bytowanie pilnych pracownic — ale całą ich „logikę istnienia“. A logika ta przedziwnie zbliżona jest do ludzkiej walki o życie. Te same tu konflikty — takie same troski i kłopoty, taki sam ustrój pracy i hierarchja wartości. Istotnie trzeba być wielkim poetą, aby wżyć się w ten mikrokosmos i opisać go tak subtelnie, jak to Maeterlinck uczynił.

TOM 4.

**BJÖRNSTJERNE BJÖRNSSON. SYNŃÖWE SOLBAKKEN. MARSZ WESELNY.** W przekładzie F. Mirandoli.

Potężna indywidualność Björnssona, której wpływ daje się odszukać w całej literaturze europejskiej — stworzyła karty nieprzemijającej wartości — nie już artystycznej, co ulegać może modzie i nakazom chwili — ale pod względem tendencji bardzo szczytnej. Do takich należy właśnie „Synnöwe Solbakken“ — opowieść o prostej dziewczynie, której miłość szczerą i wielką dokazuje cudu przemian charakteru popędliwego młodzieńca. Psychologicznie bardzo prawdziwa — jakby z życia wzięta fabuła — rozwija się naturalnie i okazuje, jak wielki pisarz, bez żadnych sztucznych efektów buduje dzieło naprawdę piękne.

TOM 5.

**RUDYARD KIPLING. KSIĘGA DŻUNGLI.**  
Przełożył na nowo F. Mirandola.

„KSIĘGA DŻUNGLI“ zalicza się do stałego dorobku literatury świata całego. Ogarnęła od lat umysły wszystkich zdolnych odczuwać naturę. Jest to przyjaciel starych i mło-

dych, toteż każdorazowe wyczerpanie nakładu daje się odczuć bardzo dotkliwie. Dajemy przekład nowy, niewątpliwie lepszy, wolny od „nieporozumień“, jakie weisnęły się do poprzednich, absolutnie wierny i współwzórzy. Tłumacz zdawna pracujący w zakresie starej kultury Indji, zakochany w tem środowisku, zdołał wyczarować z oryginału określenia i obrazy nietylko nie słownikarskie, ale takie, jakich użyłby niezawodnie autor, gdyby pisał po polsku. Poetycka strona „KSIĘGI DŻUNGLI“ stoi też na poziomie, jakiego nie osiągnięto dotąd. *Mauli* i przyjaciele jego wstają na nowe życie w postaci właściwej, prawdziwi, żywi, bliżsi nam i zapewne zrozumialsii sercom i umysłom naszym.

Dając wielkie dzieło w takim opracowaniu dopełniamy zobowiązania, jakieśmy podjęli w prospekcie naszego wydawnictwa.

#### TOM 6.

**RABINDRANATH TAGORE. ROZBICIE. Po-  
wieść. Przełożył z oryginału Jerzy Bandrowski.**

„ROZBICIE“, dzieło genialnego Tagorego, jest jednym z arcydzieł przebogatej powieściowej literatury bengalskiej, w Europie jednak znane jest od niedawna, bo dopiero 1921 r. zostało przetłumaczone na język angielski, a 1922 r. na język niemiecki. Jak żaden inny utwór Tagorego wtajemnicza on czytelnika w psychologję hinduską, pokazuje mu przedziwną hinduską duszę, złożoną, zamkniętą w sobie, opanowaną niesłychanie subtelną i wrażliwą. W tej powieści, świetnie przetłumaczonej przez powieściopisarza, którego plastyka słowa jest znana, mamy przed sobą na cudnie malowanym tle Indji ludzi, takich jacy tam żyją, prawdziwych, rysowanych z bezprzykładną precyzją, a wplątanych w niesłychaną przygodę, istotnie tylko w dwustumiljonowych Indjach możliwą. Jestto jedna z tych książek, które czyta się z zapartym tchem, a których każda karta przynosi coś nowego i niespodziewanego. Genialny liryk bengalski staje tu przed nami jako epik niezrównany i głęboki znawca duszy ludzkiej, którą wprawdzie przenika naws kroś, ale dla której zawsze ma swój promienny i życzliwy uśmiech miłości. Książkę poprzedza krótka przedmowa tłumacza, wyjaśniająca niektóre nieznanne powszechnie instytucje bengalskie.

TOM 7.

**SELMA LAGERLÖF. TĘTNIĄCE SERCE.**  
Powieść. Przełożył F. Mirandola.

Jan ze Skrołyki nie kochał nikogo, a serce jego uderzyło poraz pierwszy, gdy trzymał w ramionach córeczkę swą, której ojcem chrzestnym uczynił słońce. Ideał ten rośnie, Klara Fina Gulleborga oddała się, a tętniące serce Jana wyczarowuje dla niej cesarską koronę nieistniejącego na świecie imperjum portugalskiego. Umysł jego się mroczy, a Bóg zapala inne, wewnętrzne światelko. Jan zostaje cesarzem, jasnowidzem, dobrodziejem swojej wsi, zapowiada nową erę dobra, szczęścia i sprawiedliwości, karze winnych, podnosi zwątpiałych, staje się rzeczywistym władcą dusz... Oto ideał, oto ukochanie podniosło go na tron. A tron to wysoki, zaziemski... tron człowieczy u podnoża tronu Boga. *Kto nie dozna głębokiego, trwałego, świętego wzruszenia czytając tę książkę, ten niema serca i dla tego pisać — nie warto.*

TOM 8.

**ANATOL FRANCE. POGLĄDY KS. HIERONIMA COIGNARDA.** Przełożył F. Mirandola.

Jest to satyra cięta, wesoła, zjadliwa, rubaszna, wykwintna i tak aktualna, że stosuje się — wprost do czytelnika i naszego własnego środowiska, a pełne lubej rozwiązłości dyskusje z dziewczętami, opisy justyfikacji winowajców, sceny rodzajowe, pijatyki, starcia i omyłki czynią owe „Poglądy“ zwierciadłem nieprześcignionej doskonałości, w którym przegląda się wiek XX. Autor jest tak zwięzły, kaśliwy, cięty, że gdyby nie mistrzowski przekład, nie umiejący po francusku (i to bardzo dobrze) czytelnik nigdyby sobie rady nie dał ze zrozumieniem całego znaczenia dzieła.

TOM 9.

**RABINDRANATH TAGORE. SADHANA. — SZEPT DUSZY. — ZBŁĄKANE PTAKI.**  
Przełożył Jerzy Bandrowski.

Możnaby bez przesady powiedzieć, że SADHANA została napisana ku większej chwale Boga. Jest to właściwie pieśń

o Bogu, jedna wielka, wciąż zachwyceniami wybuchająca modlitwa. *Tagore dokonał nią cudu.* Dzieło jego, tłumaczone na liczne języki, rozchodzi się po świecie w tysiącach i tysiącach egzemplarzy — iluż to dziś już językami śpiewa poeta bengalski pieśń o swym Bogu! A niepodobieństwo, aby dusza, przez którą przejdzie gorący prąd jego wiary, bodaj na chwilę nie rozżarzyła się blaskiem zachwycenia, nigdy później nie gasnącego na zawsze.

TOM 10.

KAROL SPITTELER. IMAGO. Przełożył F. Mirandola.

Nie znają czytelnicy polscy tego autora. Wprowadzamy go do Polski i to — słusznie pod łukiem tryumfalnej bramy. Tak mu się należy. Cóż uczynił? Zaprawdę, rzecz trudną wielce. Oto ponownie stworzył to, co nazywa menażerją duszy własnej — i w sposób zgoła nowy ukazał, jak nikt dotąd twory boskie i zwierzęce tej prastarej arki. Jeśli autora, niedoścignionego w koncepcji i formie nowej, zwiemy — oryginalnym, to Spitteler (Szwajcar) jest królem tych autorów, a jeśli cierpienie rodzi talent, to posiada on tę zdolność cierpienia w mierze niezmiernej. Jest to współczesny Werter i przejdzie jako taki do dalekich pokoleń.

TOM 11.

HENRYK PONTOPPIDAN. DJABEL DOMOWEGO OGNISKA. Przełożył F. Mirandola.

Autor wprowadza nas w kraj dziwny. Zasypana lotnym piaskiem Jutlandja. Morze rzuca coraz to nowe zwały jałowych wydm, wiehura szaleje przez rok cały, a ludzie uginają się przed potęgą natury i toczą z nią walkę o byt codzienny. Z wysiłkiem niezmiernym sadzą drzewa, by stawić opór morzu. Kraj ten wydaje typy ludzi zgoła nienapotykanego gdzieindziej. Napoły fantastyczne, napoły tylko realne pociągają jakąś bohaterką zaciętością, w której korzy się atoli strach przed — djabeł. Djabeł krąży po całej Jutlandji od wieków i siada raz poraz u każdego ogniska domowego. Niema niemal domu

gdzieby nie było kąta starannie mijanego przez mieszkańców. W kącie tym obwiesił się dziad, ojciec, syn, czy wogóle ktoś z rodziny. Ten pobożny, cichy, uległy i pracowity lud niezmiernie łatwo przenosi się na tamten świat. Przyczyna tego zjawiska jest nieznaną. A trwa od wieku, wiemy bowiem, że już w Hamlecie szekspirowskim spotykamy się z tragizmem przepajającym lud duński i książąt jego. Książka Pontopidana, pisana wprost porywająco, zapoznaje nas z mnóstwem ludzi tą niedolą dotkniętych. Są tu chłopci, mieszczenie, księża, studenci, właściciele rolni, kupcy, urzędnicy, słowem, całe społeczeństwo. Przeczytawszy to dzieło stajemy się bogatsi o znajomość typu ludzkiego, o którym nie mieliśmy wyobrażenia, Nikt nie jest winien, mimo dokonywania złych czynów, wszystkim bowiem rządzi owa siła przeludzka, symbolizowana djablem.

TOM 12.

## KNUT HAMSUN. BŁOGOSŁAWIENSTWO ZIEMI. Powieść. Przełożył Czesław Kędzierski.

Jedna z ostatnich ksiąg Hamsuna, najpotężniejszego ducha twórczego piśmiennictwa norweskiego, a zarazem jednego z najpotężniejszych twórców w literaturze światowej. „Błogosławieństwo ziemi“ — to nie powieść w pospolitem tego słowa znaczeniu, to nie literatura, lecz wspaniała, wielka epopea życia, a zarazem ewangelja nowego życia, nowej pracy, odrodzenia. Imię bohatera — Izak, przypadkowe czy celowe, wprowadza nas odrazu w nastrój jakby biblijny. Człowiek to mocny, spiżowy, człek niestrudzony, dla klórego podpisanie imienia swego na dokumencie — to praca najcięższa pracowitych rąk jego. Człek pierwotny o sercu gołębiem, niedźwiedz posiadający duszę, dusza subtelna z instynktami zwierzęcemi. Zmartwychwstały z dawnych wieków, ukazujący przyszłość. To Izak, chłop twardy, rolnik z krwi i kości, budowniczy nowego życia w dziewiczym, górskim Pustkowiu, praojciec nowego pokolenia. A obok niego Inger — biedna, zajęczą wargą oszpecona dzieciobójczyni, mocna, wielka, a przecież słaba i do głębi wzruszająca, nic nie znaczący okruh w wirze świata, a przecież dostojna westalka, stojąca na straży żnicza Izakowego. I ta cała przesuwająca się przed nami galerja ludzi pierwotnych i tęgich, lub przez cywilizację nagryzionych,

lub blagierów, lub duchowo ułomnych i przewrotnych. Każdy z nich żyje swem własnem życiem indywidualnem, a wszyscy złączeni jedną wspólnotą: ziemią. Ci, co swej ziemi wierni, ostoją się, ci zażywają obficie z bogostawieństwa ziemi. Nie-wierni zaś ziemi, odpadają, tych porywa wir świata, pochłania i niszczy. A nad całością unosi się to wielkie hamsunowskie serce, to bezgraniczne hamsunowskie współczucie, to dobre litościwe a wszystko widzące oko Hamsuna — upostaciowane w sołtysie Geisslerze, romantyku z krwi i kości. Hamsun nie zna nienawiści, do wszystkich i wszystkiego odnosi się z sercem, serdecznem współczuciem, wszystkie przewiny przebaczącem. Wszędzie odnajduje serce i duszę; cały wszechświat — zwierzęta, drzewa, skały — wszystko żyje u niego swem własnem tajemniczem życiem, pełnem uroku i rozhowerów tajemnych i dziwów... „Błogostawieństwo ziemi“ — to przemocny hymn na cześć ziemi i życia, to wielka księga, w której każda stronica, każde niemal zdanie porusza naszą duszę i do myślenia przymusza. Księga, do której się wraca ustawicznie, z którą trudno się rozstać. W literaturze nowoczesnej wszystkich narodów niema drugiej podobnej.

TOM 13.

## MAURZYCY MAETERLINCK. INTELIGENCJA KWIATÓW. Przełożył F. Mirandola

Maeterlinck, mistyczny poeta i znany dobrze autor dramatyczny stał się w najnowszej swej przemianie niezwykle znanym przyrodnikiem i filozofem natury. O ile zawsze ceniła go Francja i Europa, to teraz stał się wprost umiłowanym autorem całego świata. Z bezprzykładną zdolnością syntezy i cudowną iście łatwością szeregowania faktów, łączy takie mistrzostwo formy, iż rzeczy niezmiernie trudne czyni popularnemi. Książka, której przekład podajemy to obok „Życia pszczoł“ największe bodaj dzieło tego okresu twórczości wielkiego mistrza. Zdumiewające dowody inteligencji kwiatów ich niepojęta wprost wynalazczość w zakresie celów gatunku, sztuczki zmierzające do zniesienia skutków przysadnej nieruchomości, oraz metody rozwoju, to istny romans tem ciekawszy, że — prawdziwy. Dalsze rozdziały przynoszą zdumiewające wprost rzeczy o woni kwiatów, o działaniu przypadku, o mierze czasu, o kwestjach etycznych, a wreszcie o nieśmiertelności. Nie



sposób przypuścić, by inteligentny czytelnik pozostał obojętnym na tę treść bogatą, oraz na styl polskiego przekładu, który bez przesady jest niezmiernie piękny, pełny i godny wielkiego autora oryginału.

TOM 14.

**KAROL GJELLERUP. PIELGRZYM KAMANTA.** Romans starohinduski. Przełożył F. Mirandola.

Nowość zupełna, bo romans starohinduski z czasów Gotamy Budy Prastare prawdy hinduskiej literatury świętej jawią nam się tu w postaci powieściowej przepojonej satyrą, humorem, wiedzą, scenami rodzajowymi, słowem przenosimy się do odwiecznych Indji i bierzemy udział w ich życiu. Mało tego. W połowie książki kończymy wraz z bohaterką i bohaterem życie i przenosimy się do raju, a potem gry i on uległ po lat milionach śmierci, udajemy się w krainę stutysięcznego Bramy, by być świadkami zapadania się w nicosć i nowego odrodzenia się wszechświata. Problem tego rodzaju nie był, zda się, jeszcze podjęty przez żadnego autora, z powodu niezmiernych trudności samego ujęcia.



W dalszym ciągu pojawiają się następujące tomy:

RUDYARD KIPLING — DRUGA KSIĘGA DŻUNGLI

SELMA LAGERLÖF — LILJECRONA — POWIEŚĆ

PAWEŁ HEYSE — L'ARRABBIATA

GERHARD HAUPTMANN — KACERZ Z SOANY

„BIBLIOTEKA LAUREATÓW NOBLA“ wychodzi w odstępach mniejwięcej miesięcznych i każdy tom obejmuje od 15 do 25 arkuszy druku.

Do nabycia we wszystkich większych księgarniach; gdzie takiej niema, zamawiać można wprost u wydawcy.

**WYDAWNICTWO POLSKIE**

*Sp. z ogr. por.*

w POZNANIU, ul. Zwierzyniecka 6.











36.398  

---

I

35103

20/18

50  
✓

Biblioteka Politechniki Krakowskiej



10000231562